

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

OSADNICY

James Oliver Curwood

Rozdział I

OSADA W PUSZCZY

Piotr Gourdon kochał Boga całym swym uczciwym, dzielnym sercem, a w to słoneczne, lipcowe popołudnie doznawał wprost wrażenia, że wielka głusza kanadyjska, która się rozpościera wokół, zanosি wraz z nim korne modły do stóp najwyższego Stwórcy. Piotr bowiem był synem leśnego włóczęgi, człowieka, którego ojciec również zmierzył bory przepastne, i przepłynął rzeki burzliwe, toteż zamiłowanie do przygód i natury miał we krwi; jedynie na łonie przyrody, wśród dzikich ostępów i mateczników czuł jak jego dusza zespałała się z Bogiem, które to poglądy wywoływały lekki sprzeciw poczciwego katechety z St. Anne de Beaupre. Piotr ściśle łączył Stwórcę z przyrodą, i nie zamierzał zmieniać wiary aż do śmierci. Mimo że przebył na kolanach schody kościoła Św. Anny, mimo że święconą wodą uczynił na czole znak krzyża, że z lękiem pełnym czci spoglądał na stopy lasek i krukwi pozostawionych na znak wdzięczności przez tych, co przyszedłszy tutaj jako bezradne kaleki, odeszli jako ludzie zdrowi, zbywszy zarazem choroby duszy i ciała — mimo to wszystko, Piotr miał przekonanie najgłębsze, że tego słonecznego, lipcowego popołudnia znajduje się bliżej Boga, niżli w jakimkolwiek innym czasie i miejscu.

Żona jego, Józia, szczupła i wyczerpana, z odkrytą ciemną głową gorliwie i naiwnie modliła się w zachodzącym słońcu u boku męża, prosząc, by długa ich włóczęga w górę rzeki Św. Wawrzyńca dobiegła wreszcie kresu, i by mogli już raz wypocząć osiedliwszy się w jednym miejscu do końca swoich dni.

W głębi, nad strugą wypływającą z chłodnej gęstwy boru, chłopczyk łaził niestrudzenie na czworakach wśród zielonej trawy i pierzastych paproci poszukując leśnych truskawek, i mimo że pora jagód miała się już ku końcowi, buzia malca ociekała wciąż szkarłatnym sokiem.

Mężczyzna wskazał w dal, mówiąc:

— To jezioro sprawia zupełnie wrażenie czegoś żywego. Niby zaborcza ręka.

— Tak, z jeziora wycieka pięć strug, niby pięć palców — przyznała Józia, siadając ciężko na wielkim głazie. — Tylko, że wielki palec jest za długi w stosunku do innych.

Oto w jaki sposób miejscowość ta otrzymała swą nazwę „Pięć Palców” i po dziś dzień zachowała ją w tym samym brzmieniu.

Malec podbiegł do matki, niosąc jej pełną garstkę truskawek; mężczyzna zaś, wlaższy na blok skalny, przyłożył dłonie do ust w kształcie tuby, nawołując póty, aż w odpowiedzi zabrzmiał inny głos spośród gęstwy sosen i jodeł, a po chwili na skraju lasu ukazał się Dominik Beauvais. Zarośnięta twarz tego ostatniego promieniała radosną ciekawością; żona jego, Maria, będąc drobnego wzrostu, musiała dobrze wyciągać nogi, by nadążyć za ogromnym mężem.

— Dobrze się tu będzie żyło! — rzekł. — To jest właśnie to, czego szukaliśmy.

Dominik przytwierdził z zapalem. Kobiety uśmiechały się. Było wesoło i przyjemnie. Malec szukał dalej w trawie truskawek. Taki już miał wiecznie pusty brzusek.

Gdy wracali do obozowiska rozbitego w pewnej odległości przed dwiema godzinami, Piotr Gourdon ucałował gładkie włosy żony, po czym na całe gardło zaśpiewał dziką pieśń wioślarzy północnych, przejętą od ojca za owych dni, zanim w St. Anne Józia nawinęła mu się na oczy. Dominik zawtórował ochotnie poprzez gęsty zarost. Kobiety uśmiechały się słodziej i oczy miały bardziej błyszczące, gdyż skoro mężczyźni byli nareszcie zadowoleni, a miejsce pobytu ustalone, zmęczenie Józii i Marii pierzchno nieomal całkowicie.

Tegoż wieczoru, po kolacji, siedząc przy ognisku z płonącymi szczapami brzoszowymi snuli przyjemne plany; a chociaż dziewięcioletni Joe wpełzł już między dery służące mu za legowisko, oczy kobiet zaś mrużyły się do snu, Piotr i Dominik napychali fajkę coraz to nowym tytoniem, słowami i myślą budując wspaniałe zamki na lodzie.

Młodzi i radosni, pełni dziarskiego zapału będącego spuścizną po przodkach włóczęgach, mieli pewność niezachwianą, iż najbliższy wschód słońca przyniesie im spełnienie dawno pieszczonych w sercu życzeń. Wreszcie Józia usnęła, z głową przytuloną tuż do głowy synka, przy czym usta jej, świeże i dziewczęce mimo macierzyństwa i długiej włóczęgi, miały wyjątkowo pogodny wyraz.

Piotr i Dominik, ćmiąc nadal fajki, słowami malowali przyszłość. Niebawem księżyc wypłynął ponad szczyty drzew sąsiednich; wielki, złoty, uśmiechnięty przyjaźnie w stronę nowych przybyszów. Od jeziora dął wiatr coraz chłodniejszy, aż wreszcie, z niezmierzonej dali doleciał typowy dźwięk północnej głuszy: wycie wilcze.

Dominik nasłuchiwał chwilę milcząc, po czym starannie wytrząsnął popiół z fajki na wyciągniętą prawą dłoń.

— Gdzie wilki polują, tam jest dużo zwierzyny, a gdzie dużo zwierzyny, tam się opłaca zastawiać sidła! — rzekł.

Teraz zabrzmiał nowy głos, na dźwięk którego serca obu mężczyzn przestały bić na chwilę. Było to echo raczej, odległe i już ginące, bardzo słabe i bardzo niewyraźne, a jednak dające się pochwycić na tle ogromnej ciszy leśnej.

— Statek — szepnął Piotr.

— Tak, statek! — potwierdził Dominik, podnosząc się na wpół jakby w pościgu za zamierającą melodią.

Działo się to bowiem przed półwiekiem, gdy w tamtych stronach łatwiej było o wycie wilków, niż o gwizd parowca.

Osadnicy posnęli. Żółty księżyc piał się coraz wyżej, aż stanął tuż ponad ich głowami. W głębokim lesie poruszały się cienie, niby żywe istoty. Wyły wilki, podchodząc wybraną zdobycz, by wymilknąć nad świeżym padłem. Ciemność pulsowała energią. Pierzaste sowy ważyły się niby duchy na rozpostartych skrzydłach. Dziesiątki bacznych oczu stróżowały obóz śpiących ludzi. Jeżozwierz zawieruszył się w pobliżu gaworząc i chichocząc na swój zwykły, niemądry sposób. Kozioł czując niemiły zapach tupnął kopytkiem i świsnął ostrzegawczo. Coś szeptało wśród wierzchołków jodeł. Z nieprzebytych ostępów wynurzały się zwierzęta stąpając bezszelestnie futrzanymi łapami. Małe ptaszki, milczące za dnia, ściągły przez sen.

Pasmo księżycowego blasku oświetliło twarz Józii, nadając jej urodzie wyraz nieziemskiego wprost uduchowienia. Chłopczyk śnił o czymś miłym. Piotr spał z głową ukrytą w zgięciu ramienia. Dominik obrócił ku niebu brodate oblicze, surowe i groźne na pozór, jak gdyby trzymając straż u boku maleńkiej, zmęczonej żony. Tak minęła noc i nadszedł świt, budząc wędrowców hałaśliwym gwarem mrowia rudych wiewiórek, zamieszkujących w niezliczonej ilości ten ziemski zakątek, którego piękna i cisza nie zniweczyła dotychczas obecność ludzka.

Pierwszego zaraz dnia topory Dominika i Piotra poczęły czynić wyłom w pachnącej żywicy leśnej ścianie. Lecz wprzód rozejrzeli się jeszcze w okolicy, mającej odtąd stanowić ich siedzibę.

W głębi rosła się puszcza, przecięta skarpami urwistych parowów, węzowiskiem strug, z ukrytą tu i ówdzie łączką lub mokradłem. Ten sam kraj dziki, bezludny rozpościerał się milami, aż po odległe, morskie wybrzeże, wzdłuż którego tały się z rzadka mizerne ludzkie sadyby. Sosny w borze świeciły mosiężną barwą pni, czernią uschłych konarów, zielenią młodych igieł; słońce złociło murawę na kotlinach i pagórkach. Lecz Piotr wyobrażał sobie, jak te same dolinki i wzgórza

pociemniają podczas burzy lub jak je zimą skuje biel śniegu i lodu. Wiedział, że wiosną wezbrane wody potoków, strug i rzeczek ruszą hucząc we wściekłym pędzie, więc serce rosło mu z uciechy, bowiem lubił donośny głos i niepowstrzymany pęd żywiołów.

Miejsce na osadę obrali na krańcu małej zatoczki, która drążąc wąską smugą kamieniste wybrzeże jeziora, tworzyła najdłuższy z pięciu wodnych palców. Na jeziorze fala, lekko wzburzona nawet wśród największej ciszy, szemrała dniem i nocą. Lecz długie pasmo wody wąskie i wygięte, niby przełamany w połowie palec, miało łagodną barwę przetykanej srebrem zieleni. Pływały po nim mewy, pokrzykując przyjaźnie w stronę osadników; na białym piasku zaś było pełno śladów łap zwierzęcych oraz łapek ptasich, gdyż stworzenia leśne baraszkowały tutaj chętnie, przychodząc ugasić pragnienie.

Pomiędzy pogodną tonią a chłodną gęstwą boru, była gładka przestrzeń porośnięta soczystą murawą, malownicza jak zakątek parku. Na jej krańcu, w cieniu pierwszych jodeł, Piotr i Dominik wbili kolki, odmierzyli prostokąt, słowem szykowali teren pod przyszłą budowę.

Dni biegły. Co rano chór rudych wiewiórek witał pierwszy błysk słońca. W ciągu letnich godzin brzmiał niestrudzenie łoskot siekier, rozlegał się śmiech i gwar. Piotr śpiewał pełnym głosem pradziadowe pieśni, przy czym Dominik wtórował mu nieraz fałszywie, choć z przejęciem. Świergot ptasi oraz śmiech kobiet miały tę samą nutę. Józia i Maria przypominały sobie lata panieńskie, malec zaś wskazywał im coraz to nowe plantacje jagód, ukryte pośród mchu i paproci w malowniczych zakątkach.

Wtargnięcie ludzkich istot było na razie dla puszczy rzeczą zupełnie nową, toteż czas jakiś przyroda boczyła się jak gdyby. Lecz że ptaki i wiewiórki dały dobry przykład, więc inne zwierzęta poszły niebawem za ich namową. Jeleń zbiegał o zmierzchu do wodopoju, a wielkie łopaty łosia chrobotwały po nazbyt zwarto stojących pniach. Sikorki łowiły okruchy chleba prawie spod ręki; drozdy, podlatując tuż, wrzeszczały wyzywająco jak Indianie, a kukułka kukała tak donośnie, że Piotr często przerywał robotę, mówiąc:

— To dopiero przyjemnie będzie żyć, mając bór za plecami, a morze u samych drzwi!

Jezioro Superior nazywali morzem; w ciągu pierwszego tygodnia dwukrotnie zobaczyli w mglistej dali białe, połyskliwe centki, nie będące niczym innym jak tylko białymi żaglami mijających okrętów.

Pierwsza chata dźwigała się już formowana z wielkich, ciosanych siekierą bali. Ledwo wyprowadzono ją pod dach, już Józia wraz z Marią zasadzały wokoło pąsowe krzaki głogu i dzikie dzwonki. W zacisznych zakątkach szukały pilnie fiołków i konwalii; w kotlinach o podmokłej glebie hiacyntów i kaczeńców. Pod wieczór, po skończeniu dziennej pracy i zjedzeniu kolacji, kobiety i mężczyźni, wzięwszy się za ręce, oglądali najżyźniejsze skrawki ziemi radząc, gdzie zasadzą na rok przyszły kartofle, a gdzie marchew, gdzie znów wsieją słoneczniki oraz inne dobre rzeczy, do których przywykli w czasie długiego pobytu w St. Anne.

W sierpniu obie chaty stanęły pod dachem, małe rozmiarem, wygodne natomiast niby gniazdka, więc oczy Marii i Józii spowaźniały ponownie. Obarczał je na nowo obowiązek gospodyń i jakkolwiek skromny był zakres ich pracy i ograniczone środki, możliwości i nadzieje rozrastały się niezmiernie. Patrzyły z ciężkim sercem, że oto marnuje się tyle dobra, gdyż dojrzewały właśnie maliny w tak wielkich ilościach, że niedźwiedzie, pasące się na połoninach, oblewały się dosłownie tłuszczem. Pęczniały czarne jagody i jeżyny, kapały słodkim sokiem dzikie śliwy, a szkarłatne żurawiny czekały jedynie pierwszych mrozów, by nabrać właściwego smaku i aromatu.

Dominik zatem, wzięwszy dnia pewnego siekierę, wyznaczył drogę do najbliższego osiedla odległego o trzydzieści mil, po czym, kolejno, to jeden mężczyzna, to drugi szedł z pustymi sakwami,

by wrócić niebawem niosąc sześćdziesiąt funtów rozmaitego towaru. Teraz kobiety zaczęły smażyć konfitury, suszyć i zaprawiać owoce. Mężowie pytali śmiejąc się, czy mają się oblać sadłem jak niedźwiedzie i leniwie przespać całą zimę. Skoro już mowa o niedźwiedziach: upolowano dwa misie, a z wytopionego domowym sposobem tłuszczu sporządzono paręset świec na długie, zimowe wieczory.

Gdy zaczęły się pierwsze jesienne przymrozki, Piotr zaczął powtarzać częściej niż poprzednio: — Ależ tu się dobrze żyje w tej okolicy! — Józia i Maria wstawały również co ranka weselsze, jeszcze bardziej szczęśliwe niż przedtem. Jeśli bowiem wody jeziora połyskiwały posępnie od chłodu, a w głębi ich czaiła się po prostu groźba, to w zamian bór i preria jak sięgło oko nabrały przepysznych, nigdy nie widzianych barw.

Nocą wiało już zimą. Rosły wielkie stopy polan brzozowych, które Piotr i Dominik piętrzyli tuż u drzwi domostwa. Niebawem drzewa straciły czerwoną i złotą szatę mrących liści, stojąc nagie i umęczone wichrem. Tylko chojary i sosny zachowały żywą zielen. Huragan znęcał się nad pustkowiem, piętrząc u wybrzeża wody jeziora. O pół mili słyszał było posępny łoskot wzburzonych wód.

Zmiany zaszły w przyrodzie nie trwożyły osadników. Zimą dopiero rozpoczynał się właściwy sensistnienia. Długie miesiące rozlicznych przygód, głębokie śniegi, zadymki na linii siodła, a znów wieczorem zebrania przy rozżarzonej do czerwoności piecu, opowiadania i projekty, posiłek tym smaczniejszy im groźniej wichry dmie na dworze.

Gdyby to nawet było w ich mocy, nie zmieniliby z pewnością nic w normalnym toku wydarzeń. Mróz tężał. Wycie wilcze nabrało nowych brzmień, a na skraju poręby, nocą ujadały zgłodniałe lisy. O zmierzchu rozdzierająco nawoływały się łosie, niedźwiedzie zaś niespokojnie krążyły po puszczy szukając zimowych legowisk. Czereda ptasia umknęła na południe, zostały tylko drozdy i sójki oraz stada żałobnych kruków. Wielkie króliki śnieżne zmieniły barwę turzycy z brunatnej na szarą, z szarej zaś na czysto białą. Wtenczas właśnie, na początku listopada, Piotr oraz Dominik zanurzyli sidła w gorącym tłuszczu, dla zabicia ludzkiego zapachu i co wieczór zanosili modły do Boga, by raczył wreszcie zesłać śnieg.

Spadł nocą, tak cicho, że nikt nie posłyszał lotu puszystych płatków, a gdy mały Joe zerwał się o świcie, chcąc obejrzeć wnyki zastawione poprzedniego wieczora — świat był już zupełnie biały. Tak się zaczęła pierwsza zima w osadzie Pięć Palców. Była sucha, mroźna, przyjazna łowom, toteż co dnia niemal w tyle chaty, na drażu, wieszano ćwierć łosia lub jelenia. W sidła chwymano sporo zwierząt futerkowych, rósł więc zapas cennych skór w spiżarni. Piotr i Dominik promienieli, twierdząc wciąż głośno, że oto nareszcie znaleźli prawdziwy raj. Po sprzedaży zdobyczy, na wiosnę, obiecywali żonom moc prezentów. Wreszcie jezioro zamarzło, a zasy piętrzyły się wokół niby wzgórze. W styczniu termometr wskazywał trzydzieści stopni poniżej zera.

Będąc w cudownych humorach bawili się nieraz jak dzieci. Wesoło minęły Gwiazdka i Nowy Rok, po czym obchodzono uroczyste imieniny Marii. Przy rozgrzanym do czerwoności piecyku opowiadano bajki. Mężczyźni sklecieli sanki i ze szczytu najbliższego pagórka gnano nieraz na łeb na szyję po ośnieżonej łące, aż na skutą lodem gładź jeziora. Na pozór nikomu czas się nie dłużył, lecz gdy pewnego dnia, wróciwszy do chaty, Dominik oznajmił, że słyszał w zaroślach wiosenny świergot ptasi — Maria aż krzyknęła z radości, oczy Józii zaś rozblęły jak diamenty.

Ptaki świergocą, a więc zbliża się wiosna. W parę dni później Dominik oświadczył, że króliki śnieżne tracą niepokalaną biel futerka, czyli że wiosna będzie wyjątkowo wczesna. Niebawem zobaczyli pierwszy w tym roku trop niedźwiedzi, ślad jakiegoś niemądrego misia, który zgłodniały wyszedł szukać pożywienia. Przekonał się zresztą rychło, że mróz trzyma, aż trzeszczy, więc jak

niepyszny musiał szukać nowego legowiska.

Lecz rankami słońce dogrzewało coraz silniej, a po południu zmierzch zwlekał z nadejściem. Zanim jeszcze śnieg począł tajać na dobre, Piotr przyniósł gałązkę topoli, by pokazać, jak silnie już nabrzmiały pąki. Omal że nie popękają. — Nigdy jeszcze nie były takie wielkie o tej porze! — rzekł. — Wiosna musi być naprawdę tuż!

Gdy pojawił się pierwszy gil, Józia oznajmiła mężowi, że czuje w powietrzu zapach kwiatów. Lecz biedny ptaszek kulił pod siebie łapki i jeżył piórka, rozczarowany i zdziwiony wobec panującego chłodu. Siedział tak chwilę, zziębnięty, na krawędzi dachu, po czym odleciał i tyle go na razie widzieli.

Ale ten gil właśnie dał początek wiosnie. Na słonecznych stokach wzgórz, poczęły wnet tajać śniegi. W kwietniu las cały rozbrzmiał gędbą strumieni i strużek. Kotliny i łąki stanęły pod wodą; ciche źródelka przeobraziły się w rwące potoki: stawy, jeziora i rzeki wystąpiły z brzegów. Łoskot żywiołów huczał niepowstrzymanie niby olbrzymia katarakta. Zwycięska pieśń przyrody działała na nerwy ludzkie niby wino, Piotr, optymista z natury, cieszył się mówiąc:

— Jak to dobrze, że zima była ciężka! Teraz przynajmniej cenimy wiosnę!

W ciągu jednej doby wróciły wszystkie ptaki, które na zimę uciekły do cieplejszych krajów. A więc ruchliwe gile, rade z nowej zmiany, szare wróbelki, i różne małe śpiewaki, które trudno wymenić z nazwy. Ziemia pokryła się zielenią; zakwitły pierwsze kwiaty. Topole rozwinęły drobne listki. Piotr i Dominik harowali od rana do wieczora, trzebiąc puszcę oraz przekopując żyzne grunty pod najbliższą uprawę.

Pewnego dnia Piotr głośno wypowiedział myśl snującą mu się po głowie już od jesieni. Stał właśnie wraz z Józia na zboczu zielonego pagórka, ze szczytu którego po raz pierwszy rzucił niegdyś wzrokiem na pięć wodnych palców.

— Kochanie — rzekł — doprawdy, w mieście nigdy nie było tak pięknie!

— Och, nie! — przyznała Józia. — Nawet wtenczas, gdy nie wycięto jeszcze lasów wokół St. Anne.

Piotr ujął teraz rękę żony tuląc ją łagodnie w swojej wielkiej garści, ona zaś oparła mu głowę o pierś, tak że mógł wargami musnąć gładkie włosy. Ogromnie lubił mieć ją tak zupełnie blisko.

— Miałem tak dziwny sen! — powiedział głosem lekko drżącym. Czuł pewne zmieszanie, zarówno ze względu na to co miał wyznać, jak i dlatego również, że przewidywał efekt, jaki słowa jego wywrą na żonie. — Zachowałem go na razie w tajemnicy, lecz myślałem o nim wiele. Czy nie sądzisz, że w tym miejscu właśnie, gdzie iglaste zarośla sięgają Środkowego Palca mógłby stać kościółek?...

— Kościółek? — szepnęła Józia, przy czym serce jej zabiło silniej.

— Właśnie, skromny kościół! — uśmiechnął się Piotr. — A znów tam, na zielonej łączce jest doskonale miejsce pod nową sadybę dla starego druha Poleona Dufresne'a, dla Sary oraz ich dzieciarni. Oboje Clamartowie zmieszczą się także, a Jan Croisset z żoną również. Ziemi mamy przecie pod dostatkiem, bardzo urodzajnej, a i zwierzyny nie brak. Sądzę, że byłoby niesłuszne używać tylu skarbów wyłącznie dla siebie. Co o tym sądzisz, kocha nie?

Maria Beauvais, spoglądając z progu chaty, zdziwiła się naraz, czemu Józia tak gwałtownie zarzuca ramiona na szyję mężowi i czemu całuje go z takim wylaniem.

Piotr, natomiast, mając w danej chwili serce pełne szczęścia ani przypuszczał, że wraz ze spełnieniem jego rojeń ponury dramat spadnie na tak cichą dotychczas osadę.

Rozdział II

NOWI PRZYBYSZE

Od tej pory minęło pięć lat, zanim Szymon Mac Quarrie oraz Herman Vogelaar przybyli do osady Pięciu Palców. Stanowili zabawną lecz sympatyczną parę. Szymon był Szkotem, szczupłym, dużego wzrostu, o pociągłej twarzy i rzadkim, jak gdyby wymuszonym uśmiechem. Towarzysz jego, Holender, był okrągły i tłusty niby pączek, o różowych, pyzatych policzkach i bladobłękitnych oczach. Lada żywszy ruch wywoływał w nim astmatyczne sapanie, co Szymon przypisywał chronicznemu obżarstwu. Przed czterdziestu laty ganiłi obaj jako chłopcy po małym miasteczku w stanie Ontario, teraz zaś tworzyli spółkę drzewną, handlując zresztą po trosze, czym się dało. Herman był wdowcem, przy czym jedyna jego córka, Gertruda, wyszła za mąż za Jeremiego Paulina z Quebec, spokrewnionego blisko z Clamartami, Jeremiasz sprowadził się z czasem do osady Pięciu Palców, i oto Herman odwiedził ich wreszcie, chcąc poznać pierwszego wnuka.

Ledwie sprytne oczy Szymona przyjrzały się osadzie, ledwo ocenił malownicze jej położenie oraz wąskie zatoczki sięgające od jeziora w głąb łądu — już w głowie począł mu kiełkować plan, którym zresztą nie zamierzał się dzielić na razie ze swym współnikiem.

Pięcioletni okres wywołał w osadzie niejedną zmianę. Znikły jednoizbowe chatyny wzniesione przez Piotra i Dominika, a na ich miejscu stanęły obszerne domostwa z pięknie dopasowanych bali, otoczone murkami z bielonych wapnem gładów. Pod oknami kwitły kwiaty na starannie uprawnych grzędach. Józia, dobiegająca czterdziestki, zachowała smukłą, dziewczęcą urodę, Piotr zaś kochał ją po dawnemu gorąco, mimo że w głębi serca taił wielkie rozczarowanie. Marzył przecie o dzieciach. Pragnął ich jak niczego na ziemi, tymczasem jednak Joe, obecnie czternastoletni wyrostek, był ich pierwszą i zarazem ostatnią pociechą. Wierząc niezachwianie w skuteczność modlitwy, Piotr od dawna już prosił Boga, by zechciał pomnożyć dzieciarnię osady.

Bóg wysłuchał prośby, jakkolwiek spełnił ją w sposób nieprzewidziany. Oto pomnożył rodzinę Dominika i Marii. Najpierw urodziły się im bliźnięta: Julcia i Ludwiś, potem kolejno: Amelia, Filip i Dominik. Po każdym położeniu Maria była coraz świeższa i różowsza, i już obecnie suszyła sobie głowę, jakie imię nada nowemu maleństwu.

Piotr pozbawiony egoizmu cieszył się mimo wszystko, rad, że osada się zaludnia. Poleon i Sara Dufresne przybyli z trojgiem potomstwa, a Gertruda, żona Jeremiego, powiła właśnie niemowlę. Na skraju zielonej łąki stały chaty Jana Croisseta oraz Telesfora Clamarta, a syn tego ostatniego, Aleck, zabiegał o względy Anny Croisset. W tajemnicy zwierzał się też Piotrowi, że gdy minie nowa zima, a łowy będą pomyślne, poprosi o rękę swej wybranki.

W miejscu upatrzonym wcześniej wznosił się mały, drewniany kościółek, gdzie gromadzili się w każde święto, a ojciec Albanel, wędrowny misjonarz, odprawiał tu mszę raz lub nawet dwa razy w miesiącu.

W miarę wzrostu ludności, rosła także wolna przestrzeń ziemi. Wytrzebiono już około dwunastu akrów ornego gruntu, w zagrodzie pasły się konie i krowy, a na polankach leśnych w okolicy pilnie układano na zimę stogi siana. Gosposie hodowały kury, gęsi i indyki, gromadząc zapasy jaj i masła. Z nadejściem chłódów każdy miał pełną spiżarnię. Piotr i Aleck zmajstrowali nawet łódź, potem ze wspólnych oszczędności sześciu rodzin zakupiono dwie sieci, więc i ryby na post nie brakło.

Szymon Mac Quarrie, sprytny niby lis i spostrzegawczy jak łasica, zakarbował to sobie w pamięci. Nikt znający Szymona powierzchownie nie potrafiłby go należycie ocenić. Był to w gruncie

rzeczy człowiek tak kryształowej uczciwości, że uciąłby sobie raczej własny palec, niżby kogo oszukał. Lecz z drugiej strony miał wyjątkową głowę do interesu. Węszył dolary na odległość. Toteż gdy dnia pewnego oznajmił: — Wiesz co, Herman, że nigdy jeszcze nie widziałem miejsca, które by się nadawało bardziej na postawienie tartaku!

— Holender spojrział na kolegę z uznaniem, wiedząc, że coś dobrego wisi w powietrzu.

Z właściwą sobie przebiegłością Szymon wysoko ocenił panującą w osadzie harmonię. Wzajemna przyjaźń i zaufanie, jednoczące wszystkich mieszkańców, stanowiły duży plus. Tartak można było postawić pod pozorem podniesienia ogólnego dobrobytu, przy czym parowiec kursujący z Duluth lub Fortu Williama mógł dwa razy do roku odbierać gotowy towar. Pobliska gęstwina brzoź, cedrów i jodeł dostarczyć miała surowca w dostatecznej ilości.

Podzielił się wreszcie myślami z Piotrem, tamten przywołał Dominika, aż zgromadzili się razem wszyscy ojcowie rodzin. Uradzili przy tym zgodnie, że nic nie może być lepszego dla osady, jak właśnie budowa tartaku. Szymon obiecał, że z pierwszego budulca postawi się szkołę, gdyż dzieci nie mogą tak długo pozostawać samopas.

Tak powstał tartak. Prezentował się na razie dość ubogo, skoro jednak pewnego wrześnieowego popołudnia holownik przyciągnął barcę z maszyną, cała ludność osady wyległa na brzeg. Na barce przybył także Mac Quarrie, dumny niby admirał dowódca wielkiej floty, a wraz z nim inżynier Norweg z żoną oraz anemiczny młody człowiek, który w zamian za utrzymanie i pensję, piętnaście dolarów miesięcznie, podjął się nauczania miejscowej dzieciarni.

Nad urządzeniem rozciągnięto na razie płachtę brezentową, po czym w lesie donośnie ozwały się siekiery. Trzy konie, stanowiące własność osady, brzęcząc łańcuchami wlekły z dala ciężkie pnie. Nawet kobietom i dzieciom udzieliło się radosne podniecenie, oczekiwano zatem z niecierpliwością, rychło li zgrzytnie piła, sypiąc drobnymi trocinami. Piątego dnia wreszcie maszyna rozpoczęła pracę — pas zaczął się obracać i zawirował wielki, zębaty krąg. Donośne wiwaty powitały tę czynność. Ostre, stalowe zęby chwyciły koniec pierwszej kłody, wgryzły się w nią i zadzwoniły zwycięską pieśnią, której ton miał odtąd brzmieć nieustannie w ciągu wielu, wielu dni.

Nikt, nawet tak bardzo ukochana Józia nie potrafiła odgadnąć, co się dzieje w sercu Piotra. Wraz z upływem czasu Piotr widział, jak topnieje umiłowany las, jak się go trzebi bezlitośnie na żer dla nienasyconej nigdy piły. Obserwował pełen żalu stosy pachnących żywicą trocin i złote strużyny oraz rosnące na brzegu sagi drzewa, które raz po raz zabierały przepływające barki. Rozumiał, że wszystko dzieje się tak, jak być powinno, że wzrasta powszechny dobrobyt, a jednak dręczył go smutek tak dokuczliwy, jak fizyczny ból.

Nie wałęsał się już po borze rozmieszczając sidła, tylko doglądał tartaku. Widząc go wciąż w pobliżu, Józia twierdziła, że szczęście jej nie ma granic. Wieczorami, gdy maszyna stawała, Piotr lubił otaczać się dziećmi, niestety cudzymi, gdyż nie mógł się jakoś doczekać przyjścia na świat córki, o którą tak gorąco prosił Boga. — Ale zobaczysz, że będziemy jeszcze mieć córkę, śliczną dziewczyneczkę do towarzystwa naszemu Joe — upewniał żonę z niesłabnącą nigdy wiarą.

Tymczasem nawet jednak Joe oddalał się jakoś od rodziców. Od lat paru zimę spędzał w St. Anne, najbliższym mieście, dokąd go posyłano dla dokończenia nauk. Dawniej nie chciał opuszczać domu, obecnie natomiast wydzierał się wprost z powrotem do miasta. Dobiegał właśnie lat osiemnastu, gdy Józia przejrzała jego tajemnicę. Śmiejąc się ucałowała najpierw syna, by potem opowiedzieć wszystko mężowi. Po prostu Joe się zakochał. Wybranką jego serca była Maria Antonina, śliczna córeczka Jacka Thiebouta, dawnego przyjaciela z St. Lawrence. O rok od chłopca młodsza, oznajmiła mu poważnie, że musi najpierw skończyć szkoły, lecz później zamieszka z nim razem w osadzie Pięciu Palców.

Tej nocy Piotr omal nie popłakał się z radości, jeżeli bowiem przestał się już spodziewać córki, zaczynał wierzyć teraz, że niebawem otoczy go gromadka wnuków.

Monotonnie mijały lata przy wtórze świstu piły. Sierkiery coraz głębiej wrąbywały się w las. Dwa lub trzy razy do roku niewielki stateczek przywoził zapasy dla osad, zabierał natomiast gotowy ładunek wspaniałego budulca.

Aż wreszcie dnia pewnego młody Joe Gourdon przywiózł sobie do domu żonę, śliczną Marię Antoninę.

Dnia tego świętowano w osadzie, więc nawet tartak stanął. Joe puszył się jak paw, Maria Antonina, popularnie zwaną Antosią, wysoka, szczupła, o ciemnych oczach i wesołym uśmiechu, promieniała szczerą radością. Skoro zaś Antosia, zarzuciwszy ręce na szyję Józsi nazwała ją matką, Piotr wyszedł z fajką przed chatę, by ukryć niemęskie wzruszenie.

Jakże dobrym był dla nich Bóg. Jak szczerze go obdarzył. W zachodzącym słońcu. Piotr zerknął na zielony wzgórek, którego nie tknięto pługiem, i na którym nie myślał stawiać chaty. Miejsce to przeznaczono od dawna na cmentarz. Lecz śmierć omijała jakoś mieszkańców wioski. Przepojony wdzięcznością Piotr pomyślał, że skoro szczęście jego jest zupełne, mógłby teraz odejść spokojnie i bez trwogi. Jeśli wreszcie łopaty naruszą zieloną murawę, niechże najpierw wykopią mogiłę właśnie jemu.

Rozdział III

TOPIELCY

Nieprędko zginie w pamięci ludzkiej wspomnienie strasznej burzy jesiennej z 1900 roku. Huragan ten przeszedł po prostu do historii, można by ponadto przytoczyć setki przykładów o zatopionych statkach i o licznych ofiarach. Jezioro Superior bowiem przeobraziło się w jeden odmęt wzburzonych wód, we wrzący, kipiący kocioł zniszczenia.

Było nawet dość ciepło. Słońce przebłyskiwało nieraz spoza burych chmur, w lesie zaś, w głębi łądu kwitły jeszcze kwiaty i ptaki śpiewały ostatnie pieśni przed bliskim już odlotem. Mieszkańcy osady dziwili się tym pozornym sprzecznościom, wysnuwając z nich rozliczne wróżby. Nie słyszano nigdy dotąd, by śpiew ptaków i łoskot oszalałych fal brzmiał w tak doskonałej harmonii.

Drugiego dnia huraganu Piotr zabrał Józję i Antosię na lesisty półwysep, dzielący czwarty palec wodny od środkowego. Chciał by się dobrze przyjrzały jezioru. Dla kobiet była to świetna zabawa. Wiatr zapierał po prostu oddech, toteż chcąc się podzielić wrażeniami musiały krzyczeć jedna drugiej zwierzenia na ucho. Roztargane długie włosy zwijały się im wokół ramion, więc zdyszane, z błyszczącymi oczyma szły uczone dłoni Piotra. Ten ostatni pochylając się ku żonie upewniał ją, że z tymi rozpuszczonymi włosami, mając ponadto twarz rumianą od wichru, wygląda jak młoda dziewczyna, nic nie starszej od Antosi. Józja odgadła raczej komplement, niż go usłyszała, gdyż fale grzmiały bez ustanku jak bliska palba karabinowa.

Skoro znaleźli się wreszcie poza obrębem pasma boru i mogli rzucić wzrokiem na czarne, ociekające wodą głazy, które powstrzymywały raz po raz napór szalonego żywiołu — Józja przyłgnęła bliżej do ramienia męża. Antosia zaś krzyknęła tak przenikliwie, że ten wrzask przeciął łoskot jeziora niby nożem.

W Piotrze zamarło serce. Spozierał na jezioro z twarzą nagle poszarzałą. Uśmiechnięte przed chwilą wargi wykrzywił nerwowy skurcz.

W pewnej odległości od wybrzeża znajdowała się grupa skał, częściowo stale pokrytych wodą, częściowo, przy łagodnej pogodzie wystających ponad toń. W słońcu strużki wodne przelewały się wśród głazów, jak srebrne pasma o zielonkawym połysku. Mewy lubiły się tam kręcić. Poprzez kamienne pułapki biegł kanał, którego przepływał holownik wlokący barki bądź w drodze do osady, bądź też w kierunku odwrotnym. Lecz dziś kanał znikł całkowicie, pod nawałem wzburzonych bałwanów, o pół mili zaś od łądu, na ostrych krawędziach skalnych, ginął miotany burzą statek.

Piotr zrozumiał od razu, że zdążyli w samą porę by być świadkami końcowej tragedii. Był to szkuner o pojemności około trzystu ton, przyparty do długiej, niskiej skały, którą Józja przeważała smokiem, ze względu na dziwaczny zarys jak gdyby grzbietu gada, zjeżonego jaszczurczym grzebieniem. Statek postradał już maszty. Pokład zawałyły pogruchotane reje, zdarte żagle. Mimo grzmotu bałwanów słyszało się prawie, jak trzeszczą wiązania, jak pękają liny, podczas gdy nieszczęsny kadłub to wznosi się, to opada na szczytach rozhukanych fal, bijąc o skały niby młotem. Na oczach oniemiałych i ogłupiałych z przerażenia ludzi statek wyskoczył właśnie ponad odmęty wodne, by grzmotnąć o kamienny zrąb z taką siłą, aż rufa pękła na dwoje. Spieniony żywioł wdarł się do wnętrza. Tylko część kadłuba zahaczona o wystające iglice skał wisiała nadal w powietrzu.

Antosia krzyknęła, blada jak воск, gdyż w tej chwili dostrzegła na dziobie statku ruchomą postać ludzką. Sekunda — i pod naporem fal postać znikła.

Piotr otrząsnął się z bezwładu.

— Jeśli tam są żywi ludzie — krzyknął — musimy im pomóc! Obracając się do synowej przywarł ustami do jej ucha.

— Śpiesz do osady! — wołał. — Sprowadź mężczyzn!

Ledwo skończył, Antosia porwała się do biegu, przy czym długie, rozpuszczone włosy powiewały za nią niby welon. Piotr spojrzał na Józję. Przestała się już bać. Twarz miała bladą, lecz spokojną, oczy zaś pełne ognia. Mówiła coś, ale słowa jej ginęły wśród wichury. Nagle, patrząc wciąż w stronę statku, dostrzegli oboje, jak coś się odrywa od burty i na fali płynie ku nim. Ciemny kształt zbliżał się szybko, wirując pośród skał, to zatopiony niemal całkowicie, to znów wzniesiony ponad toń. Wreszcie silniejszy bałwan grzmotnął łupiną o głazy, rozszczepił ją i osadził na zębatej krawędzi w tym miejscu właśnie, gdzie woda osłonięta wybrzeżem była cichsza już i spokojniejsza.

— Tratwa! — krzyknął Piotr. — Tratwa i człowiek!

— Kobieta! — wrzasnęła Józja przenikliwie. — Kobieta!

Miała rację. To była istotnie kobieta. Piotr, przerażony, kurczowo chwycił powietrze. Wobec niewielkiej stosunkowo odległości widział, jak słabe ręce czepiają się śliskich skał. We mgle wodnej białeły upiorne rysy, a fala odpływając rozpostarła na głazach długie, zmoczone włosy. Topielica dostrzegła zapewne ludzi stojących na brzegu i Piotr doznał wrażenia, że poprzez grzmot burzy słyszy jej pełen rozpaczony głos wzywający ratunku.

Bez namysłu obrócił się pędząc poszarpaną krawędzią skał, ku niższemu brzegowi nad zatoką. Lecąc wołał do Józji, by została na miejscu. Lecz gdy począł zdzierać odzież, Józja znalazła się tuż przy nim. Twarz miała bladą śmiertelnie, tylko na policzku, skaleczonym po drodze o wystający głaz, sączyła się strużka krwi. Z oczyma gorejącymi dziwnym ogniem upadła na kolana, szybko rozplątując sznurowadła jednego z trzewików mężowskich, podczas gdy Piotr sam rozwiązywał drugi trzewik. Spojrzała mu prosto w oczy. Mając serce rozdarte przerażeniem uśmiechała się odważnie. Piotr pochylił się, ucałował jej wargi i bez namysłu skoczył w wodę.

Wyprostowana patrzyła, jak walcząc z przybrzeżnym przypiływem zbliża się do kipieli wodnej, wśród której, uczepona skał, ginie obca kobieta. Obdarzona doskonałym wzrokiem Józja rozróżniała ją wyraźnie. Widziała bryzgi pian wkoło drobnej postaci, lepkie, chwytne jęzory targające jej mokrą odzież, wlokące ją wstecz i w głąb. Schwytła siebie na gorącym pragnieniu, by Stwórca odjął wreszcie siły tamtej i pograżył ją w odmęcie, gdyż wtenczas Piotr zawróci. Na moment opuściła ją odwaga. Krzykiem przywoływała męża, tłumacząc, że winien dbać tylko o nią, że przecież tamta jest dla niego niczym. Lecz oto doznała wrażenia, że przez dzielącą je odległość tonąca kobieta patrzy wprost w jej oczy z błagalnym wyrzutem, więc Józja wyciągnęła ręce gestem pomocy i ochrony, rzucając słowa otuchy i obiecując rychły ratunek.

Wszelako Piotr nie dosłyszał nic prócz ryku fali. Płynął, szarpany setką sprzecznych wirów, wytężając całą energię, całą umiejętność, by się utrzymać na powierzchni i zachować właściwy kierunek. Wiedział, że jeżeli pozwoli się zawlec poza ową grupę skał, na głębie zwaną studnią, zginie bez ratunku. Wessie go podwodny prąd i dopiero z czasem martwe ciało zostanie wyrzucone na ląd. Nie bał się jednak wcale. Myśl, że Józja spogląda nań z brzegu, dodawała mu sił.

Jedynie obie kobiety, ta na stałym lądzie i ta na skale, mogły zmierzyć nieskończenie długi okres czasu, jaki mu zajęła przeprawa. Wreszcie coś na kształt potwornej ręki chwyciło go z siłą niewiarygodną i cisnęło o głazy. Uczepił się ich, mając tonącą kobietę tuż przed sobą. Była równie blada jak Józja. Jej ciemne oczy miały straszny wyraz, gorszy od najokropniejszego lęku. Piotr czuł kompletne wyczerpanie. Wydźwignął się na skałę, przy czym nie mogąc mówić z utrudzenia, uśmiechał się do nieznamomej. Skoro znalazł się na równym poziomie z nią, zobaczył, że kobieta nie jest sama.

Pod pachą trzymała dziecko, dziewczynkę, sześć- lub siedmioletnią. Piotr, zdumiony, zapomniał na chwilę o groźbie śmierci, by spojrzeć na tę małą z zachwytem. Nigdy nie spotkał istoty równie pięknej. Na pozór nie poniosła żadnego szwanku. Oczy miała szeroko otwarte, olbrzymie, głębokie, przerażone do dna. Anielskiej wprost urody twarzyczka wyzierała z gęstwy kruczych włosów, ociekających wodą, plecionych wokół szyi i ramion niby przędza jedwabna lub porosty. Całość sprawiała wrażenie wizji nierealnej, snu, który niespodzianie stał się jawą. Taką mogła być córeczka, o której Piotr marzył latami nadaremnie. Przetarł nawet oczy łokciem, by się upewnić, że nie śni. Ostrożnie wyciągając ramię ujął dziecko w pól i przytulił do piersi kruche, drobne ciało. Twarz kobiety uległa raptownej zmianie. Pierzchła z niej wola i energia. Zwiśla prawie bezwładnie, co widząc, Piotr podparł ją szybko, w obawie, że najbliższa fala może ją od skały oderwać.

— Trzymaj się! — krzyknął. — Przeniosę cię na brzeg, ale trzymaj się tymczasem!

Nachylił się ku dziewczynce.

— A ty, mała...

Dziecko tuliło mu się do piersi, szeroko otwartymi oczyma obserwując zbawcę. Jak na istotę ziemską miało oczy po prostu nazbyt piękne. Usta zachowywały jeszcze różaną barwę, twarz natomiast zbieleła zupełnie w otoku czarnych włosów. Nic, tylko boginka — pomyślał Piotr — boginka, którą jezioro wyrzuciło na powierzchnię.

Kobieta przyczepiła się do Piotra. Wielki bałwan z rykiem grzmotnął o skałę, na chwilę przykrywając ich oboje. Spod zasłony wodnej zabrzmiał głos:

— Jestem Mona Guyon! — wołała kobieta z ustami prawie u jego ucha — to moje dziecko. Ojciec zginął przed chwilą. Zabierz małą na brzeg!...

Chłoszcząca fala przewaliła się znów ponad nimi. Gdy woda na moment opadła, Piotr kurczowo chwycił oddech.

— Trzymaj się! — odkrzyknął. — Wrócę po ciebie! Wrócę na pewno, tylko się trzymaj!

W urywanych zdaniach pouczał teraz dziecko. Powinna mu zarzucić ramiona na szyję, gdyż weźmie ją na barana. Powinna także, ilekroć wynurza się ponad wodę zaczerpnąć dobrze powietrza. Dopłyną szybko i zaraz wróci zabrać mamę. Śmiał się, zapewniając, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, ani krzty! Pocałował świeżą, zbielełą z trwogi twarzyczkę. Potem, leżąc płasko na głazach, umieścił ją wygodnie na własnym karku, i związał sobie pod brodą jej małe rączki przy pomocy skrawka koszuli. W ten sposób nie mógł jej po drodze zgubić. Trafiają zatem wspólnie na brzeg, w ten czy inny sposób.

Ostrożnie ześlizgnął się ze skały, żegnając uśmiechem Monę Guyon. Nadeszła godzina próby. Serce biło w nim na równi z sercami dwu rozmodlonych kobiet; tej, która mu powierzyła dziecko oraz tej, dla której był całym światem. Wiry podwodne oplotły go od razu mackami tak ruchliwymi, jak ramiona ośmiornicy. Czuł, że wleką go na dno. Walczył ze zdwojoną siłą, wspomagany błagalnym spojrzeniem kobiety leżącej na głazach. Józia, stojąca po pas w wodzie, nie miała ani siły, ani energii, wszystko przekazawszy mężowi. Wątle rączki dziecka zaciskały się wokół szyi Piotra i one to przede wszystkim napawały go wiarą i otuchą w opiekę boską.

Walczył zaciekle, sam nie wiedząc, jak i kiedy znalazł się na mieliźnie. Józia pomogła mu wydostać się na kamienie przybrzeżne, po czym upadła, tuląc dziecko do piersi. Podczas strasznej przeprawy w miarę możliwości utrzymywał dziewczynkę wciąż nad wodą, teraz zaś przyglądała mu się swymi dziwnymi oczami, ni to z uwielbieniem, ni to z trwogą. Przytulił ją mocniej. Krzyknęła i pocałowała jego ociekający wodą policzek.

Rozwiązał szmatkę krępującą jej piąstki, wręczył małą żonie i wstał.

Skoro rzucił znów wzrokiem na skałę, targnął nim okropny lęk. Fale urosły wyżej jeszcze, a

kobieta wyglądała teraz jak nieżywa. Spoczywała twarzą w dół, zupełnie bezwładna, ot, mokra szmata, i właśnie nowa fala posunęła ją bliżej krawędzi. Jeszcze parę takich fal, silniejszy napór wody i ciało spłynie.

Obrócił się do Józi. Młoda kobieta klęcząc wśród ostrych głazów tuliła do siebie dziewczynkę, przy czym obie nie spuszczały wzroku z Piotra widząc, że jedynie on sam będzie decydował o dalszym losie wszystkich czworga.

— Wracam! — rzekł Piotr Gourdon. — Tym razem pójdzie łatwiej .

Usiłował mówić ze spokojnym przekonaniem, lecz wśród łoskotu wód usłyszał własny głos słaby i chwiejny, więc uprzytomnił sobie, od razu, że kłamie. Józia wrzasnęła teraz rozpaczliwie, że trzeba poczekać, jeszcze chwilę, że zaraz nadejdzie pomoc. Puścił mimo uszu jej słowa, choć nie stracił z nich jednej sylaby. Każda chwila była droga. Z każdą sekundą śmierć zbliżała się do kobiety na skale.

Tym razem walka była o wiele cięższa. Piotr w każdym razie miał takie wrażenie, stracił już bowiem częściowo normalny zasób sił. Mięśnie pracowały mniej sprawnie, a serce biło nierównym rytmem. Gdyby zdołał chociaż dopłynąć do skały, uczepić się zrębu i przytrzymać zarówno siebie, jak i Monę, zanim Antosia sprowadzi pomoc! O to się modlił i o tym jedynie marzył. Kobieta, ostre głązy, ratunek. Płynąc czuł wokoło śmierć. Fale biły weń, dławily go, oślepiały, aż doznawał wrażenia, że lada moment pójdzie na dno, w niezbadaną głąb czarnej studni. Porwał go wreszcie olbrzymi bałwan, na kształt potwornej ręki i cisnął nim o skałę.

Spróbował wypełznąć na skalny garb, lecz ześlizgnął się w wodę. Spróbował po raz drugi i trzeci, sunąc cal za cal. W głowie miał taki szum, jakby w pobliżu pracował pełną parą znajomy tartak. Odpoczął, dysząc ciężko. Nie widział szczytu skały, lecz dostrzegał brzeg, a na nim wiele ruchomych sylwetek: mężczyzn biegających to tu, to tam, i Józię stojącą po pas w wodzie.

Zbierając resztki sił, podźwignął się wyżej. Wtem krzyknął, wydał straszny wrzask przestrogi, błagania i rozpachy. Kobieta ześlizgnęła się nad samą krawędź, zwiśla nad spienionym odmętym, i wolno zjeżdżała w dół: już ją wchłaniała topiel.

Piotr szybko podpełzł ku niej i przechylony usiłował pochwycić ręką długie włosy. Złapał jedno pasmo, lecz mokry włos wymknął mu się z garści. Pochylił się bardziej jeszcze, chwytając tym razem pełną dłonią. W tej chwili właśnie jezioro zabrało kobietę. Wir wessał ją i powłókł w dół. Piotr zaś, uczepiony kurczowo poszedł również na dno, w czarną głąb śmiertelnej studni.

Tonąc już, szeroko rozwartymi oczyma objął błękit nieba, wierzchołki drzew ukochanego boru i rzecz dziwna, nie poczuł wcale lęku. Pomyślał tylko, że Bóg był dlań i tak nieskończenie dobry przez długie, długie lata.

Troszczył się także o tę kobietę, którą miał ocalić. Nie chciał, by ginęła samotnie rozdarta o skały. Podczas gdy wir wchłaniał ich i miotał nimi, zdołał jakoś opasać ją ramieniem. Nie walczył już z przeznaczeniem, tylko trzymał kobietę nie dając jej sobie wydrzeć. Nie mógł zresztą uczynić nic innego. Był niby drobna skorupa we wrzącym garnku, miotany tu i tam, to w dół, to w górę, nigdy dość wysoko jednak by zaczerpnąć świeżego powietrza. Raz po raz uderzał o skały. Wreszcie wir wessał go w głąb, w niezmierną przepaść bez dna. Stracił poczucie rzeczywistości, ale machinalnie trzymał wciąż Monę w objęciach.

Jedynie silne garści Joe'ego Gourдона i Szymona Mac Quarrie'a utrzymały Józię na brzegu, bowiem wydzierła się rozpaczliwie chcąc skoczyć w ślad za mężem. Walczyła, krzycząc, że takie jest jej prawo, że nie wolno im jej tego bronić! Przemocą odnieśli ją w głąb ładu, pod skałę, kędy w zaciszu spoczywała ocalona z topieli dziewczynka. Na widok bladej twarzyczki, z której wiatr odmiótł ciemne włosy, Józia uczuła żrącą nienawiść. Piotr zginął dla tej małej, dla niej i dla jej

matki. To one winne są jego śmierci!

— Mamo, mamo! — załkało dziecko.

Z głośnym płaczem Józia padła na kolana obok maleństwa, obejmując je i tuląc. Na chwilę zapomniała nawet o własnej tragedii. Dominik swą wysoką postacią przesłaniał jej widok jeziora. Toń wodna miała dotychczas niewzruszone swoje prawa; nie lubiła zwracać raz pochłoniętej zdobyczy. Niegdyś utopiony pies zostawał na dnie przeszło tydzień. Innym razem piękny jeleń, po dobrych kilku dniach dopiero został wyrzucony przyplływem. Dziś zaszła niespodzianka. Joe Gourdon oraz Poleon Dufresne, brodząc po pierś w wodzie, zdołali właśnie wydobyć szcepione zwłoki obojga topielców i wynosili je na ląd.

Antosia przyklęła obok bezwładnych ciał, rozplatając ich kurczowo zaciśnięte ręce. W tej chwili Józia dostrzegła, co się dzieje. Chwiejnie stanęła na nogach, wyminęła Dominika, a podbiegłszy zajrzała wpierw w bladą i martwą twarz kobiety. Teraz ujęła oburącz głowę męża i pochylona nisko przysłaniała jego rysy gęstwą własnych, rozpuszczonych na wietrze włosów.

— On przecie żyje! — szepnęła.

Nikt nie dosłyszał tych słów, wymawianych zresztą tak cichutko, jakby były przeznaczone wyłącznie dla nich dwojga. — Nie umarłeś, prawda? — powtarzała Józia szeptem, kołysząc głowę Piotra. — Ja wiem, że żyjesz.

Szymon Mac Quarrie i Telesfor Clamart odnieśli już zwłoki kobiety poza występ skalny, a Józia powtarzała wciąż: — Nie umarłeś, kochany, żyjesz, prawda? — Gromada ludzi nadbiegłszy -z osady stałą w pobliżu, nie śmiąc się odezwać. Wszyscy czuli głęboki szacunek wobec majestatu śmierci.

Antosia pierwsza odważyła się przystąpić i ukłękłszy tuż obok objęła Józnię ramieniem. Kobieta obróciła ku niej oczy dziwnie ciemne w białej twarzy, po czym schyliła się znów nad mężem. — On nie umarł! — rzekła. — Nie umarł doprawdy!

Wstrzymując łkanie Antosia wyciągnęła rękę, zamierzając pogłaskać twarz Józii, lecz przypadkiem musnęła policzek Piotra. Aż się cała zatrzęsała: policzek był ciepły. W tej chwili właśnie Piotr otworzył! oczy.

Maleńka Mona, daremnie poszukując matki, przyplątała się w pobliże. Józia chwyciła ją na ręce. Wtenczas Piotr uśmiechnął się do nich obu, żony i niespodzianie znalezionej córeczki. Ostatnia myśl, która nawiedziła go w chwili, gdy sądził, że tonie, teraz również nappełniła go szczęściem i pogodą. Bóg był strasznie dobry dla niego. Piotra Gourдона...

Rozdział IV

TEK SPOŁECZEŃSTWA

Widok błękitnej sójki złagodził obawę śmierci w kołaczącym nierówno sercu Pietrka Mac Raego. Pietrek lubił zawsze wesołe sójki o błękitnym upierzeniu, a ten ptaszek właśnie, siedząc w odległości sta stóp na wierzchołku młodego chojaru, najwyraźniej obrzucił obelgami wrogów chłopca, jemu samemu dodając odwagi.

Nie zapuszczając się w dociekania filozoficzne, co nie licowałoby zresztą z jego młodym wiekiem — miał dopiero lat czternaście — Pietrek darzył błękitne plemię sójek ogromną sympatią i zaufaniem. Ich cechy odpowiadały jego własnemu usposobieniu. Zadzierzyste, odważne, sprytnie i pomysłowe, zawsze gotowe do walki i zawsze solidarne. Uprzykrzone, to prawda, złodzieje, i owszem, ale jak pełne fantazji i swoistego honoru!

W tej chwili Pietrek widział swoją błękitną sójkę najzupełniej dokładnie, krzyki i huk wystrzałów nie zmusiły jej do ucieczki. Biorąc gorący udział w zamieszaniu, darła się co sił na wierzchołku drzewa, aż małe gardelko pęczniało z natężenia. Lecz nie ona jedna okazywała męską odwagę. U końca zwalonej kłody, poza którą kryli się Pietrek z ojcem, zabawny dzieciół wytrwale kuł długim dziobem w poszukiwaniu jedzenia. Dwie świeżo skojarzone rude wiewiórki ganiały w górę i w dół na pobliskiej sośnie w nieustannym, radosnym pościgu. Wielki, żółty motyl ostrożnie otwierał i zamykał delikatne, podobne do jedwabnych wachlarzy skrzydła, prawie na odległość ręki Pietrka.

Obecność tych drobnych stworzonek sprawiała, że paniczny strach nie miał do chłopca dostępu. Choć z trudem, panował jednak nad nerwami. Wąska, delikatna twarzyczka zbieleła doszczętnie; błękitne oczy rozszerzyły się nadmiernie; ciało, mniej wyrosnięte niżby mogło być w tym wieku, kulilo się za kłodą, a serce waliło w piersi jak szalone — jednak nie tracił przytomności. Nie płakał. W garści ścisnął nawet sękaty kij.

Z błękitnej sójki, z dziecięcia i żółtego motyla, przeniósł teraz wzrok na twarz ojca, Donalda Mac Raego. Ojciec ten, jak daleko Pietrek sięgał pamięcią, był mu nie tylko ojcem, lecz również matką, bratem i najlepszym kolegą. — Pamiętaj jedno — mawiał nieraz Donald — masz być druhem swego synka, jeśli go kiedy będziesz miał. Jeśli syn i ojciec nie żyją w przyjaźni, lepiej żeby ich w ogóle na świecie nie było!

Żyli więc razem latami, ogromnie bliscy, nie mając przed sobą tajemnic z wyjątkiem tej jednej, której wynikiem była dzisiejsza tragedia. Pietrek nie rozumiał wcale, co takiego zaszło. Wiedział tylko, że dla jakiejś tajemniczej przyczyny muszą walczyć o życie, muszą się kryć za zwalonym pniem, gdy w pobliżu ludzie zbrojni w strzelby dybią na ich zdrowie i wolność.

Donald uśmiechnął się, a potem zachichotał półgłosem, co Pietrek zazwyczaj niezmiernie lubił. Lecz ani śmiech, ani chichot nie odmieniły wyrazu jego oczu patrzących tak postępnie. Twarz zachowała nadal bladą barwę, a przez policzek ciekła wciąż struga krwi, mocząc i brudząc miękki od potu kołnierzyk. Był cały spocony i bez czapki; jasna czupryna, tej samej barwy co włosy Pietrka, wichrzyła się na głowie. Oburącz ścisnął karabin, leżąc płasko na brzuchu, a pod wygięciem pnia, tuż nad ziemią, wydłubał sobie mały otwór na kształt strzelnicy. Przez tę dziurkę obserwował wrogów. Zwrócił się teraz do Pietrka, jak do dobrego kolegi:

— No i co? — spytał. — Wszystko dobrze? Nie boisz się? Pietrek odpowiedział najpierw przeczącym ruchem głowy, potem dopiero słowami:

— Nie, nie boję się.

— Głodny?

— Nie.

— Pić ci się chce?

— Troszeczkę. Nie bardzo.

Mężczyzna roześmiał się. Nie mając do tego najmniejszej ochoty baczył pilnie, by śmiech wypadł jak najnaturalniej.

— Dzielny chłopak z ciebie, Pietrku! Słowo daję!

Śród karłowatych jodeł na przedzie, o sto pięćdziesiąt metrów, huknął wystrzał, i kula odłupała drzazgę z kłody nad głową Donalda. Mężczyzna otarł chustką skaleczony wcześniej policzek. Zmięta szmata zabarwiła się krwią.

— Bardzo boli, ojczu?

— Głupstwo, zwykle draśnięcie!

Przylgnął twarzą do ziemi, spojierając przez improwizowaną strzelnicę.

Pietrek ostrożnie zmienił pozycję, wyciągnął zdrętwiałe nogi i rozpląszczył się znowu wzdłuż pnia. Błękitna sójka darła się co sił, dzięcioł, przechylając na bok głowę, obserwował chłopaka oczkiem błyszczącym jak paciorek.

Pień leżał prawie na samym brzegu rzeki, tak w tym miejscu wygiętej, że zamykała się wokół dwu zbiegów jak agrafka. Głęboki, wzburzony nurt zapewniał im bezpieczeństwo, tak przynajmniej twierdził ojciec Pietrka. Żadna żywa istota nie ważyłaby się puścić wpław, jak również nikt by się nie ośmielił wejść w wąski przesmyk, gładką, nagą smugę idącą w głąb łądu. Dopiero na odległość strzału zieleniała leśna gęstwa.

W ciągu ostatniej godziny Pietrek nieraz kłął rzekę, która, osłaniając przed wrogami, trzymała ich równocześnie niby w pułapce. Po drugiej stronie, niewiele dalej niż o dobry rzut kamieniem, rosła zwarta, dziewicza puszcza, pełna znakomitych kryjówek; oglądając wzburzoną wodę, tęskniąc do bezpieczeństwa tamtego brzegu chłopak zastanawiał się dziecinnie, czemu sójka, motyl i dzięcioł mają skrzydła, gdy oni z ojcem tylko nogi i ręce.

Jedynie skrzydła mogły ich przenieść poprzez toń. Podczas znojnego lata sączył się tu zaledwie płytki strumień, pełen łach i mielizn, ze sterczącymi w łożysku złomami głązów. Obecnie, wśród wiosennej powodzi, bujna rzeka rozlała się szeroko, wartka i nieokiełznana. Czarny nurt rzeki szalonym pędem podmywając brzegi, wyrывая drzewa z korzeniami i waląc je z łoskotem, spieniony i wściekły przesadzał skały rozsiane po drodze. Ze swego miejsca Pietrek widział fragment porohów, gdzie woda wrzała jak w kotle. W normalnych warunkach oczarowałby go ten widok. Wszakże rzeka płynęła z głębi tajemniczej głuszy kanadyjskiej i ginęła w jakimś niezbadanym kraju. Przynosiła tyle ciekawych rzeczy: stopy polan zespolonych w jedno niby tratwy czy wyspy ruchome; wielkie kłody podobne w pędzie do żywych istot; całe, wydarte z korzeniami drzewa, których rozwiane gałęzie porośnięte liśćmi lub igliwem zamiatały wodę, niby bity świszczące nad grzbietem konia.

Pietrek gapił się właśnie teraz na rzekę, gdy coś delikatnie musnęło mu włosy. Donald Mac Rae obserwował wyrostka, a cierpienie paliło mu twarz i podkręzało oczy. Kochał syna bardziej niżli życie własne, bardziej nawet niż Boga, w którego przecież wierzył tak gorąco. Jedynie obecność tego malca, jego dobry humor, dowcip i energia nadawały wartości istnieniu. Wielbił niegdyś matkę Pietrka, związany z nią najściślej, póki nie odeszła w zaświaty. Po jej śmierci przeniósł całe uczucie na jedyne dziecko. Gdyby nie Pietrek...

Muskając dłonią włosy syna, Donald Mac Rae z trudem przełknął ślinę. Lubił mówić z tym

malcem jak z dorosłym. Męski wzrok Pietrka dodawał mu teraz odwagi.

— Póki jest jasno — rzekł — nie poważą się podejść bliżej! Będą się bali. Lecz o zmroku ruszą na pewno. Musimy zniknąć.

Twarz chłopca rozpromieniła się w uśmiechu. Miał niezachwianą wiarę w swego ojca. Czekał cierpliwie, kręcąc między palcami drobny kwiatek zerwany spod nóg.

— Czy boisz się rzeki, synku?

— Phi, woda płynie szybko, ale to nic!

— Oczywiście, że nic. Nie byłbyś moim synem, gdybyś się bał! Spójrz na tę kłodę, tę wielką, na pół suchą! Tę, co wystaje z wody! Widzisz, to dobrze. Gdy ściemnieje, podpełzniemy ku niej, i przejedziemy się jak na łódce. Nic w tym nie ma trudnego!

Pietrek ozwał się teraz głosem po raz pierwszy drżącym i niepewnym.

— Papo, ale czemu oni do nas strzelają? Co złego zrobiliśmy?! Donald Mac Rae udał, że się czemuś bacznie przygląda poprzez

wywierconą pod pnem strzelnicę. Chciało mu się płakać i krzyczeć, wzywać pomsty nieba na tych, co go jednak doścignęli, co go osaczyli niby zwierzę w cichym, szczęśliwym zakątku. I cóż miał odpowiedzieć synowi? Co złego zrobiliśmy, papo? Właśnie, co? Podnosząc głowę spojrzął w twarz chłopca.

— Jest dokładnie piąta. Musimy się trochę posilić. Gdy trafimy do wody, jedzenie nam przemoknie.

Z kieszeni leżącej opodal kurty dobył parę sucharów i parę kawałków mięsa. Pietrek zjadł jedno i drugie, że zaś chciało mu się pić, tęsknie spoglądał na ciemną toń rzeki. Gdy skończyli posiłek, mężczyzna dobył z innej kieszeni niewielki pugilares, ołówek i zakorkowaną flaszkę, do połowy wypełnioną zapałkami. W pugilaresie znalazł arkusz papieru i dobrą chwilę pisał coś na nim pilnie. Włożywszy papier do flaszki, zakorkował starannie i podał buteleczkę synowi.

— Schowaj to do kieszeni, i uważaj, co ci teraz powiem. Udamy się do osady zwanej Pięć Palców. Mieszka tam pewien człowiek imieniem Szymon Mac Quarrie. Zapamiętaj dobrze: Szymon Mac Quarrie z osady Pięć Palców! Kartka, którą napisałem i schowałem do flaszki przeznaczona jest właśnie dla niego. Gdyby mi się stało coś złego... — Tu przerwał śmiejąc się sam z siebie. — Rozumiesz, mówię na wszelki wypadek, ale oczywiście nic mi się nie stanie! Otóż, gdyby się coś ze mną stało, obiecaj mi, że dostarczysz ten papier...

— Na pewno.

— A więc dokąd?

— Do osady Pięciu Palców.

— Komu?

— Szymonowi Mac Quarrie'owi.

— Doskonale. Patrz teraz przez tę strzelnicę, podczas gdy ja wykroję parę rzemieni z własnych moich butów. Musimy okiełznać nasz pień, gdy go dosiędziemy na wodzie. Wyobraź sobie, Pietrek, jak się tamci zdziwią, gdy nas tu nie znajdą. Zdziwią się, co?

— Myślę, że się zdziwią! — przyznał chłopak z zapałem. Ostrożnie zerknął przez wywierconą pod pnem dziurę. Oddech miał nieco przyśpieszony, rozumiał bowiem doskonale, jak ważną spełnia rolę w danej chwili. Wczoraj marzył wyłącznie o tym, by skoro dorośnie, móc nosić mundur: barwne naszywki, rząd mosiężnych guzików oraz wielki rewolwer na zarzuconym wokół szyi sznurku. Spoglądał na przedstawicieli policji konnej z szacunkiem i podziwem, jak każdy chłopak — wielbiciel przygód i niebezpieczeństw. Dziś nienawidził tych sług prawa. Zaledwie parę godzin temu oczekiwał powrotu ojca, dumny, że mu się powiodło przyrządzić smaczny obiad. Ojciec

przygłopolował konno na jakimś nieznanym wierzchowcu, i zaraz w progę rzekł:

— Miałem drobne nieporozumienie z policją. Muszę uciekać do lasu.

Wszystko to stało się tak niespodzianie, że Pietrek wprost zaniemówił. Nie mieli nawet tyle czasu, by przełknąć gotowy obiad. Jednak mimo najwyższego pośpiechu policja omal ich nie przyłapała w drodze. Policjantów było czterech. Ojciec trzymał ich w szachu przy pomocy fuzji, lecz Pietrek uważał, że on sam umiałby stanowczo lepiej strzelać. Donald nie trafił dotychczas nikogo, jakkolwiek jego kule gwizdały tak blisko ścigających ich mundurów, że te uznały za bezpieczniejsze kryć się za pniami drzew. Pietrek nie mógł tego pojąć. Miał zawsze ojca za strzelca pierwszej klasy.

Musnął dłonią chłodną, gładką lufę fuzji, i przebiegł go dziwny dreszcz. Nigdy dotąd nie doświadczył podobnego uczucia. Tak, był zupełnie pewien, że trafi. Strzelał przecież nieraz do królików na tę odległość stu pięćdziesięciu jardów, i zawsze z dobrym skutkiem. Człowiek był od królika większy.

Cał za całem, wolno i ostrożnie, by nie zwrócić na siebie uwagi ojca, chłopak przesunął lufę fuzji poprzez wydrążony w ziemi otwór. Chciał być zupełnie gotów na wszelki wypadek. Nie bał się już wcale. Podniecenie zabiło wszelki lęk. Ojciec uczył go zawsze, że należy walczyć uczciwie, nie używając podstępów, i bronić kobiet bez względu na to, kim są. Co prawda żadna kobieta nie wchodziła obecnie w grę, ale trudno nazwać uczciwą sytuację, gdy czterech drabów dybie na jego ojca. Niech by wyszli po kolei, jeden za drugim i przyjęli otwarcie walkę na pięści, zamiast strzelać z daleka!...

— Widzisz, Pietrek — mówił Donald urzynając wąski rzemień z buta. — nie mogłem zostawić cię samego w chacie. Wolę, abyś trafił do Pięciu Palców. Jeśli Szymona Mac Quarrie'a tam nie ma, to poczekasz na niego. Ale pamiętaj, żebyś nikomu nie pokazywał tego papieru!

Pietrek nie słuchał. Serce skoczyło w nim niespodzianie tak gwałtownie, że po prostu stracił oddech. W kępie karłowatej jedliny coś się poruszyło. W następnej chwili ojciec się odwrócił, w samą porę, by schwytać go za rękę, zdjąć mu palec z cyngla i odciągnąć go od strzelnicy. Nigdy, do końca życia nie miał zapomnieć, okropnego wyrazu twarzy ojca. Chcąc ukryć ten wyraz Donald przygarnął syna do piersi, przytulił go silnie, i tak się zapamiętali obaj w tym uścisku, że prawo mogłoby ich teraz wziąć jak swoich.

Ze skraju iglastej gęstwy kapral Crear spozierał w kierunku zwalonej kłody. Wokół niego leżeli trzej podwładni policjanci.

— Gdy ściemnieje dostatecznie, musimy go podejść! — rzekł kapral. — Nie strzelajcie, o ile nie zajdzie stanowcza konieczność, ale jeśli już macie strzelać, to przynajmniej celnie. Tylko uwaga, nie trafić mi chłopca. W ogóle nie mogę zrozumieć, czemu Donald Mac Rae zabrał chłopaka ze sobą!

Jedynie sam Donald i Pietrek mogliby wyjaśnić tę tajemnicę, chociaż kto wie, czy nawet wtenczas Crear byłby zrozumiał. Na razie obaj zbiegowie wyczekiwali cierpliwie, aż słońce da nura w gęstwinę lasu poza rzeką; leżąc na ziemi stykali się bokami, czasem jeden ujął drugiego za rękę, a czasem, obróciwszy głowę, spoglądali sobie w oczy.

W przywiązaniu mężczyzny do dziecka było coś z psiej wierności. Wiedział, że jeśli straci Pietrka, straci zarazem odwagę i inicjatywę, Pietrek bowiem był jedyną pozostałością z ogromnego, nigdy nie gasnącego uczucia. Na samą myśl, że los ich kiedykolwiek rozłączy Donald Mac Rae doznawał dreszczu trwogi. Modlił się po prostu, by cokolwiek ma się zdarzyć, spotkało ich obu równocześnie. Nawet teraz nie odesłałby syna z powrotem do domu.

Po drugiej stronie rzeki świtała nadzieja ratunku oraz bezpieczna przystań dla Pietrka w osadzie Pięciu Palców, pod opieką Szymona Mac Quarrie'a. Donald wspominał gwiazdziste oczy zmarłej żony, jej odwagę i ufność w Boga, a potem stwierdził z dumą, że jedyny syn, z taką samą odwagą i

ufnością wygląda teraz zachodu słońca.

W miarę jak długie, mroczne cienie kładły się w poprzek rzeczno-żyziska, niepokój Pietrka ustępował zupełnie. Serce biło mu silnie i miarowo. Obecność ojca, dotyk jego ręki działały niby najlepszy kordiał. Donald mówił przy tym dużo, tłumacząc na przykład tajniki budowy mrowiska, które naruszyli niechcący, to znów opowiadając z humorem, jak puścił się raz w dół strugi na pniu jodłowym, ot, tak sobie, dla sportu, i co to była za uciecha.

Cienie gęstniały. Wreszcie ponad borem została jedynie złota smuga. Sójka i dzięcioł znikły. W pobliskiej gęstwinie wiewiórki spierały się przed snem. Stado wron przemknęło po niebie w poszukiwaniu dogodnego noclegu. Rzeka szemrała leniwie i jakby niegroźnie. Kotłowisko porohów zginęło w mgłę wieczornej i z trudem jedynie mogli dostrzec pnie zwałonych drzew niesione prądem w dół rzeki.

— Pora na nas! — rzekł ojciec Pietrka. — Czołgaj się w ślad za mną, na brzuchu.

W ciągu niecałej godziny znaleźli się obok wielkiej, suchej kłody. Tu mogli się poruszać swobodniej, gdyż krył ich i przesłaniał garb wypukłego cypla. Donald Mac Rae nie dał poznać synowi, jak bardzo jest zdenerwowany. Umieścił fuzję swoją w miejscu tak widocznym, by policja dostrzegła ją od pierwszego wejrzenia, po czym śmiejąc się przewiązał mocnym rzemieniem rękę własną i rękę Pietrka. Na ostatku stoczył pień do wody, wypróbował równowagę, drugi rzemień przymocował do sterzącego sęka.

— Doskonale! — oznajmił. — Nawet łódź nie mogłaby być lepsza! Gotowy jesteś, Pietrek?

— Gotowy!

Stali już w wodzie po kolana; teraz wszedł do rzeki po pierś. Było piekielnie zimno. Z chłodu szczykał zębami, ale milczał. Ramionami opasał kłodę, chwytając równocześnie zwisający rzemień, gdy tymczasem ze strony przeciwnej ojciec ujął go mocno za rękaw kurtki. Kłoda ruszyła. Nogami nie sięgał już dna, a lodowata woda przepływała mu pod pachami zapierając po prostu dech w piersi.

Donald uśmiechnął się zachęcająco, na co Pietrek również spróbował odpowiedzieć uśmiechem. Prąd porwał ich i, wywłócił na środek rzeki, po czym brzegi jęły sunąć wstecz z szybkością niesamowitą.

Pietrek nie bał się wcale i gdyby nie straszny ziąb mrozący krew w żyłach, nie uważałby tej jazdy za rzecz zbyt przykrą. Kłoda mknęła tak gładko i pewnie, że chłopak, nabrawszy odwagi, usiłował się nawet wokoło rozejrzeć.

Doganiali właśnie parę szepionych ze sobą drzew płynących znacznie wolniej. Pietrek pomyślał, że to zupełnie tak, jak wyścigi. Wtem dostrzegł na improwizowanej tratwie coś żywego. Było to stworzenie podobne nieco do kota, pokryte gęstym futerkiem, o lisim pyszczku i krótkich, sterzących uszach. Mógłby je prawie dotknąć ręką, przepływając obok.

— Kot-rybołów! — rzekł ojciec. — Ładnie będzie płynął przez porohy!

Pietrek zastanawiał się właśnie, czy kot-rybołów wyjdzie z przeprawy szczęśliwie, gdy coś musnęło go w bok. Był to martwy jeżozwierz płynący wzdętym brzuchem do góry. Temu to już się nie powiodło!...

Wzdrygnął się. Łoskot porohów przybierał wciąż na sile, stawał się niepokojący. Z dala sprawiał wrażenie melodyjnej gędzby, teraz wszakże brzmiała w nim groźba, jakby warczało dzikie zwierzę. Pietrek miał takie uczucie, jakby lecieli w głąb wrzącego kotła, białego od pian.

Potem stało się coś, co oszołomiło Pietrka zupełnie. Martwy jeżozwierz przyłgnął do kłody, jakby się jej czepiał resztą sił; splątane drzewa, na których żeglował kot-rybołów, i które oni sami minęli przed chwilą, z kolei mijały ich teraz. Pietrek nie mógł pojąć, jak się to dzieje, ale Donald Mac Rae, obznajmiony z kaprysmi rzecznych prądów, nie widział w tym nic szczególnego. Kot-

rybołów skulił się, jak gdyby zamierzając przeskoczyć na kłodę, w pobliże ludzi, lecz rozmyślił się widać, gdyż pozostał w miejscu, i zgiął niebawem na przedzie wśród zbałwanionej wody.

Mężczyzna uściśnął silniej dłoń chłopaka.

— Trzymaj się, mały! — krzyknął. — I nie trać głowy! Przeskoczmy porohy jak piłka!

To były ostatnie słowa, jakie Pietrek usłyszał, a w chwili następnej stracił nawet z oczu twarz ojca. Rozwarła się olbrzymia paszcza pochłaniając ich obu. Czuł, że tonie, zapada w ryczącą, czarną głąb, bity i targany. Przez parę mgnień, dłużących się niby wieczność, był pewien, że umiera. Chciał krzyczeć, wołać ratunku. Woda zamknęła mu usta. Pamiętając o wskazówkach ojca z całych sił czepiał się kłody, i po jakimś czasie świeże powietrze przeniknęło mu do płuc, a ogłuszający ryk oddalił się i ścichnął.

Przebyli właśnie wtedy połowę porohów. Ostatnie głązy warknęły za nimi, niby zajadłe psy oszczekujące wędrowca. Potem woda płynęła głębsza, spokojniejsza. Rzeka zawracała w tym miejscu, zataczając wyraźne półkole. Pietrek uczył teraz, że go strasznie boli ręka. To ojciec trzymał go za przegub chwytem tak stalowym, że jedynie chyba śmierć mogła rozluźnić ten uścisk.

Zobaczył także twarz ojca. Donald Mac Rae z trudem łowił oddech. W ciągu parominutowej przeprawy przez porohy zużył cały zasób sił dla utrzymania kłody w równowadze.

Prąd z wolna wyniósł ich na ląd. Trafili na brzeg właściwy, porosły gęstwą boru, przecięty tysiącem niezbadanych szlaków, usiany milionem kryjówek. Łachę, na której osiadła kłoda, pokrywały szczelnie wszelkie szczątki. Pietrek poznał kołyszące się w pobliżu splątane drzewa, lecz kot-rybołów nie siedział już pośród gałęzi.

Chłopak był zmarznięty do szpiku kości. Skoro wreszcie ojciec pomógł mu wydostać się na brzeg, upadł od razu, jak szmata. Zawstydzony usiłował powstać.

Donald Mac Rae ujął go za rękę.

— Musisz iść! Musisz biec, jeśli potrafisz! Chodź, Pietrek!

Powlókł go po prostu w głąb boru, i po mału Pietrek odzyskał władzę w nogach. Poczł się też nieco lepiej. Szczękał jednak zębami dygocąc tak silnie, jakby go złapała febra. O paręset jardów dalej trafili na zwaloną sosnę, obok której rosła stara brzoza obwieszona frędzlami luźnej kory.

Donald Mac Rae począł zdzierać korę garściami, Pietrek zaś siną ręką wyłowił z kieszeni cenną flaszkę z zapałkami. Niebawem błysnął ogień, roztaczając miłe ciepło. Pietrek pomógł teraz gromadzić chrust. Po kwadransie policzki miał rumiane, ognisko zaś buchało jaskrawym płomieniem. Ciemność nocy zgęszczała się wokół, lecz Pietrek, dosuszając odzież, nie czuł już najmniejszej trwogi. Ojciec wyczyścił sobie fajkę, po czym rozsypał w pobliżu żaru ociekający wodą tytoń. Fajka stwarzała zawsze nastrój przyjazny i jakby domowy.

Nieco później zgromadzili stos gałęzi jodłowych, i usłali sobie wspaniałe łożo w obrębie ciepłego koliska. Gdy wyschła ostatnia nić odzieży, Pietrek położył się wygodnie. Nie zamierzał zresztą spać, lecz czujny i jakby nastroszony obserwował ojca.

Donald Mac Rae siedział plecami wsparty o pobliski pień, ćmiąc nieodłączną fajkę.

Sto razy rozkładali wspólnie obóz na wzór tego właśnie. Na wyprawach myśliwskich i rybackich, w czasie pory dojrzewania jagód, to znów w okresie masowego zastawiania wnyków — sypiali bok w bok na posłaniu z jedliny. Licznym wyprawom nie towarzyszyło nigdy takie napięcie jak dziś. Pietrek począł wreszcie rozumieć splot powikłanych zdarzeń. Ta noc stanowiła punkt zwrotny w jego egzystencji. Głęboka ciemność wokół różniła się od zwykłego mroku, ogień płonął mniej wesoło, ojciec zaś, choć z fajką w zębach, wydawał się dziwnie obcy.

Dotąd zawsze oni szukali czegoś: ryb albo mięsa, jagód czy futer. Teraz to ich właśnie szukano. Jakże zupełnie inaczej czuł się, myśliwy niż ścigane przezeń zwierzę!

Dotychczas noc miała dla Pietrka jedynie urok tajemniczości, wdzięk poświaty gwiazdnej i księżycy; obecnie wyczuwał w niej groźbę i wrogi nastrój. Ledwo płomień trzasnął głośniejsze, ledwo ogień wspiął się wyżej, już się chłopak wzdrygał w obawie, że ten trzask lub to światło zdradzą ich obecność. Dziwił się nawet, że ojciec nie zgasił ogniska, skoro odzież już przecież wyschła. Wolałby poszukać w głuszy leśnej jakiejś kryjówki. Milczał jednak, gdyż bał się po prostu, że strach obleczony w słowa nabierze cech jeszcze bardziej realnych.

Obserwował ojca uważnie, i choć mu się zdawało, że czyni to niepostrzeżenie, szeroko otwarte oczy syna raziły Donalda Mac Raego w samo serce. Wiedział, że wzajemny ich stosunek ulega w obecnej chwili zmianie zasadniczej, że się po prostu przeobraża dusza chłopca.

Pietrek myślał: stało się coś okropnego, coś, czego nie można słowami wyrazić, gdyż inaczej policja nie ścigałaby ojca. Dotychczas wierzył niezachwianie, że władza tropi jedynie złych ludzi. Po to w ogóle policja istnieje, by łapać przestępców, zamykać ich do więzień, rozstrzeliwać lub wieszać. A teraz policjanci tropią ojca!...

Donald Mac Rae czytał te myśli we wzroku syna, w jego bladej, wąskiej twarzyczce. Lecz niespodzianie przez mózg Pietrka przeleciała fala oburzenia i pasji. Jeśli policja twierdzi, że ojciec jego jest łotrem, w takim razie policja kłamie! Nienawidził ich i skoro nadarzy się okazja, to się porachuje z nimi! Weźmie kij, o ile nic innego nie będzie miał pod ręką! Jeżeli nie zostawią ojca w spokoju, to niech się strzegą!

Nie powiedział nic, wstał tylko z jodłowego posłania i siadł pod pniem tuż obok ojca. Donald Mac Rae opasał syna ramieniem, ćmiąc nadal fajkę, bowiem kłęby dymu kryły skutecznie wyraz jego twarzy. Och, świat mógłby się teraz zawalić, świat cały mógł być przeciwko niemu! Nie dbał o to wcale, skoro wiedział, że Pietrek mu ufa! Milcząco, gorliwie, Donald Mac Rae podziękował Bogu.

Rozdział V

WŁÓCZĘGA W PUSZCZY

Pietrek ani się spostrzegł, kiedy sen go zmorzył. Dopiero gdy ojciec go zbudził, zobaczył, że leży na pośłaniu z łapek jodłowych. Siadłszy, przetarł oczy i zaraz przypomniał sobie zdarzenia poprzedniego dnia. Ogień wygasł tymczasem, ciemność zaś panując w borze rozjaśniał wczesny świt. Chłopak zatęsknił do buchającego żarem ogniska, do skwierczącej nad węglami wędzonki i do kawy dymiącej w imbryku. Zazwyczaj od tego właśnie zaczynał się dzień w puszczy. Dziś Pietrek był bardziej głodny niż kiedykolwiek.

Ruszyli na południowy zachód, wprost w niezbadane serce głuszy kanadyjskiej, przy czym nie mając ani fuzji, ani wyładowanego plecaka Donald Mac Rae gwarzył z takim humorem, jakby dźwigał dość zapasów przynajmniej na tydzień. Lecz wzrokiem szukał bezustannie czegoś do zjedzenia i począł już żałować, że nie przywiązał fuzji do pnia. Nie wyjaśnił zresztą synowi, z jakich mianowicie względów porzucił swą strzelbę na brzegu tak, by policjanci dostrzegli ją od razu.

Koło południa kwestia znalezienia żywności pochłonęła Pietrka całkowicie. Obchodziło go to nawet znacznie bardziej niż pościg, policja bowiem została niewątpliwie w tyle, poza kilometrami leśnej gęstwiny. Więc myślał tylko o tym, żeby coś nareszcie zjeść. Wokół roilo się od ptactwa, a na porośniętych bujną trawą mokradłach szlaki wydeptane przez jelenie i łosie krzyżowały się tak gęsto, jak się krzyżują w pobliżu obory drogi ubite przez stada bydła.

Niestety, jedyną dostępną dla nich zwierzyną były jeżozwierze. Od rana do południa mogli ich ubić z pół tuzina przy pomocy kija, ale skoro tylko ojciec proponował to mięso, Pietrek wzdrygał się z grymasem wstrętu. W czasie dawniejszych wycieczek próbował tej zwierzyny dwukrotnie, z samej ciekawości, i za każdym razem porywały go wymioty. Zdecydował, że raczej umrze z głodu, niż weźmie do ust to śmierdzące paskudztwo. Wolał już żuć żywicę świerkową, której nie brakło na mijanych drzewach.

— Jeżeli nie będziesz mógł wytrzymać — rzekł Donald — upieczemy w popiele kłaczę lilii. Ale jeżeli wytrwasz do wieczora, urządzimy pyszną ucztę!

Pietrek wytrzymał. Słońce świeciło jeszcze, gdy wyszli z gęstwy boru na długą, wąską łąkę, której przeciwległa strona kończyła się bagniskiem. Donald szukał właśnie tego rodzaju zakątka. Na skraju łąki i mokradła widniały świeże tropy królicze.

Obrali miejsce na obóz wśród ostatnich drzew boru. W tym czasie, gdy Pietrek gromadził suche drzewo na opał, Donald wykrawał znowu z resztek buta wąskie, mocne rzemienie. Niebawem zastawiał wnyki. Zmierzchało dopiero, a już wielki królik śnieżny wleciał głową naprzód w chytrze umieszczoną pętlę i zadyndał na mocnej jodłowej gałęzi.

W godzinę później dwaj wędrowcy dzielili między siebie pięknie zrumienione mięso. Pietrek ani dbał, że braknie ziemniaków, chleba, nawet soli. Odkąd siebie pamiętał, nie jadł z pewnością nigdy czegoś tak smacznego, jak to jałowe pieczyste.

Posiłek wraz z ciepłem ognia przyprawiły go o senność, toteż ledwo spożyli kolację, Donald ułożył syna na pośłaniu z jedliny, troskliwie przykrywając go własną kurtką. Chłopak zadrzemał momentalnie, mężczyzna zaś klęczał obok jeszcze długą chwilę, najpierw uśmiechnięty pogodnie, potem stroskany i wreszcie pełen rozpacz.

Skoro wstał od pośłania dziecka, oczy miał mętne i bez blasku, a na ramionach taki ciężar, jakby się na nie zwały brzemie wielu lat. Spozierając w czarną noc poza zasięgiem ogniska, chwycił

oddech prawie ze łkaniem. Cóż mu zostało na świecie prócz syna, a jutro tego syna straci! Jutro będzie zupełnie samotny, prawdziwy wyrzutek społeczeństwa, zbieg ścigany przez prawo. A Pietrek... Pietrek...

Jęząc wodził wkoło wzrokiem, daremnie szukając pocieszenia. Czy zdoła w ogóle żyć bez Pietrka! Cóż za cel będą miały dni i noce, tygodnie, miesiące i lata w zupełnej samotności? Bowiem Pietrek był mu nie tylko synem. Skoro Bóg zabrał matkę, obdarzył dziecko jej duszą. To ona przemawiała jego głosem, patrzyła na świat jego oczyma, kochała za pośrednictwem jego serca. Żyli niby we troje. Od jutra straci dwie najbliższe istoty. Prawo go ściga. Psy gończe sprawiedliwości zwęszą go wszędzie, wytropią od kryjówki do kryjówki jak lisa, i zapewne rozszarpia go niebawem.

Przymknął oczy, by się odgradzić od realnego świata, gdy zaś otworzył je, znów doznał wrażenia, że w blasku ognia majaczy dobrze znana, najmiłsza w świecie twarz. Uśmiech dobry i pełen odwagi opromieniał słodkie rysy. Od szeregu lat, co dnia, widywał w ten sposób zmarłą żonę; trzymała się wciąż u jego boku, pomagała mu wychowywać Pietrka, dzieliła z nim każdą radość i każdą troskę. Krzepiła go, gdy miał się załamać. Dziś również wyśniona jej obecność podniosła go na duchu.

— To przecież dla Pietrka! — mówiła mu teraz wzrokiem. — To dla naszego syna! Musisz być odważny!

Znikła, rozplywając się w mroku. Ogień wygaszał z wolna, lecz Donald Mac Rae nie dorzucił doń drzewa, tylko siedział milczący wpatrzony w tłacę coraz niżej węgle.

Nie spał wcale tej nocy. Księżyc wypłynął na niebo i firmament rozjarzył się od gwiazd. W świetle miesiąca Donald przechadzał się cicho się po polanie, otoczony tysiącem głuchych cieni. Jakże lubił te noce wiosenne, przesycone wonią młodych kiełków, pachnące żywicą i świeżym listowiem. Czuł się po prostu bliżej Boga. Nabierał sił i energii. Szum wiatru i perlista gęźba wód przemawiały doń głosem Stwórcy.

— Kochaj przyrodę, a będziesz kochał Boga! — uczył Donald Pietrka. Jak długo rosły drzewa, kwitły kwiaty, jak długo człowiek mógł to wszystko widzieć, nie wolno mu tracić pogody. Krok Donalda stawał się szybszy i bardziej sprężysty. *Jakże* wspaniały i wielki jest świat! Gdzieś musi się przecież znaleźć zakątek dla niego i Pietrka! Gdy odszuka taką kryjówkę, gdzie nie sięgnie ręka władzy, syn wróci doń niewątpliwie na pierwsze wezwanie. Ale jutro musi być silny, musi kłamać, musi odejść, pozostawiając Pietrka z Szymonem Mac Quarrie'em...

Nad ranem, rozpaliwszy ogień na nowo, upiekł drugiego królika, którego również schwytał w sidła. Pieczyste zrumieniło się właśnie, gdy Pietrek wygramolił się z jodłowego pośłania. Chłopak ani podejrzewał, że ojciec wcale nie zmrużył oczu. Widząc, że syn nie śpi, Donald Mac Rae począł gwizdać, i chociaż coś dławilo go w gardle, gwizdał tak wesoło, jakby był doprawdy w bajecznym humorze.

Wyłożył Pietrkowi swój plan w sposób tak naturalny, jakby teraz dopiero przyszło mu na myśl to szczęśliwe rozwiązanie wszelkich trudności. Opowiedział o osadzie Pięciu Palców i o starym druhu, Szymonie Mac Quarrie'em. Pietrek ledwo pamiętał Szkota oraz tłustego jego przyjaciela Holendra Hermana Vogelaara. Donald Mac Rae wspominał obu z najwyższą sympatią, podkreślając, jak się ucieszą z obecności Pietrka i jak jemu samemu będzie miło, tym bardziej, że w osadzie jest gromada dzieci w tym samym wieku. Donald zostawi syna tylko na krótko, na bardzo krótko nawet, a gdy wkrótce wróci, mogą zamieszkać w Pięciu Palcach na stałe.

Płynną rozmową usiłował pokryć luki w rozumowaniu, lecz w oczach Pietrka czytał wciąż zmieszanie i nieufność. Wreszcie Donald odwrócił głowę, nie mogąc znieść tego wzroku. W ten sam zapewne sposób patrzyłaby nań zmarła żona, gdyby spróbował ją kiedy oszukać.

Wędrowali później do południa, po czym zatrzymali się dla zjedzenia obiadu. Nad wieczorem już

usłyszeli na przedzie łoskot siekiery. W pół godziny potem słyszeli kilka siekier oraz co jakiś czas trzask walącego się drzewa. Donald Mac Rae stanął zaciskając zęby. Uśmiechnął się.

— Tam jest Pięć Palców — rzekł. — Czy trafisz sam, Pietrku? Pietrek skinął głową.

— Trafię, oczywiście. Ale ja nie chcę, papo! Chcę iść razem z tobą.

— Musisz się udać do Pięciu Palców, chłopcze! Ja wrócę niebawem, obiecuję ci, że wrócę! Pietrek przełknął ślinę, jakby mu się na płacz zbierało.

— Ja wcale nie jestem zmęczony, papo. Mogę doskonale iść dalej! Wolę iść z tobą!

Mężczyzna objął chłopaka i przytulił.

— Ale ja wrócę jutro! — skłamał, usiłując nadać słowom brzmienie jak najbardziej naturalne. —

Proszę cię, oddaj flaszkę z listem Szymonowi Mac Quarrie'owi. Zależy mi na tym, żeby dostał ją jak najszybciej. Nie boisz się chyba iść sam, co, Pietrek?

— Nie, nie boję się!

— W takim razie zrobisz to dla mnie — przygarnął syna jak najbliżej, opierając przez moment policzek na jego rozczochranej głowie. — Może nawet wrócę dziś w nocy! — skłamał rozpaczliwie.

— Do widzenia, mały kolego! Spiesz się, daj Szymonowi list i... do widzenia!

Pocałunek ojca sparzył czoło Pietrka. Teraz dopiero zrozumiał, że się coś złego święci. Gdy Donald począł się oddalać, a potem odwrócił się, machając z uśmiechem ręką, Pietrek poczuł, że mu coś gniecie pierś, zupełnie jakby nie mógł zaczerpnąć dostatecznej ilości powietrza. Usiłował także machnąć dłonią na pożegnanie, lecz zwiła mu bezwładnie. Donald Mac Rae dostrzegł ten ruch i omal nie rozplakał się głośno. Szybko skręcając za pobliski wykrot, obejrzał się raz jeszcze. Pietrek szedł wolno w kierunku osady. Drobną figurką była tak żałosna w swej samotności. Chłopak przystawał dwukrotnie oglądając się za każdym razem, aż go skryły iglaste zarośla.

— Niech cię Bóg strzeże, synku! Niech mi Bóg da siły, by to rozstanie przetrwać! — zaszlochał Donald Mac Rae.

Z twarzą bladą i pełną rozpaczyny ruszył w kierunku północnym.

Rozdział VI

PRZYJAŹŃ I NIENAWIŚĆ

Uszedłszy kilkadziesiąt kroków Pietrek zwolnił.

Rozmyślnie szedł wolno i nawet przystawał, nasłuchując w przekonaniu, że usłyszy głos ojca wzywający go z powrotem. W ciągu najbliższej pół godziny nie tracił nadziei. Potem zrozumiał, że ojciec znikł naprawdę. Przypominał sobie wtenczas swoją obietnicę, i pośpieszył w kierunku osady.

Krzepił się myślą, że dziś lub najdalej jutro ojciec wróci. Miał nadzieję, że raczej dzisiaj, gdyż ten ciężar na piersi i to ściskanie w gardle nie chciały jakoś minąć. Miał przy tym niejasną obawę, zrodzoną z trwogi i podejrzliwości. Będąc zbyt młodym, nie umiał wysnuwać skomplikowanych wniosków, lecz miał niezachwianą pewność, że ojciec nie potrafi kłamać. A więc wróci na pewno. Ciekawiła go treść listu przeznaczonego dla Szymona Mac Quarrie'a. Zapewne ojciec skarżył się na złośliwość policji i prosił druha o pomoc czy też dobrą radę. Ale dlaczego ojciec nie udał się po prostu razem z nim do Pięciu Palców?

Łoskot siekier ustał, mimo to Pietrek wiedział, że idzie w należyтым kierunku. Trafił na porębę usianą pniami ściętych drzew, o trawie gęsto przerosłej pachnącymi fiołkami oraz innym kwieciem wiosennym. Nie widział nigdy tak pięknych fiołków ani takiej ilości ptactwa. Gile, wróble, sójki, drozdy, dzięcioły i sikorki kręciły się z piskiem i świergotem. Słońce, chociaż bliskie zachodu, jeszcze przygrzewało.

W pogodnej ciszy Pietrek kroczył ostrożnie jak Indianin, gdyż ojciec uczył go niegdyś, że w lesie należy zawsze postępować w ten sposób. Ani szelest liści, ani trzask gałęzi nie zdradziły zatem jego obecności, gdy znalazł się u skraju niewielkiej polany, na pół przesłonięty gęstwą topoli i brzoź. Tu stanął jak wryty.

O kilka metrów zaledwie w pełnym świetle słonecznym zobaczył dziewczynkę. Była prawie jego wzrostu, tak przy tym śliczna, że nie mógł od niej oczu oderwać, patrząc zarazem z podziwem i zachwytem. Przez chwilę doznał wrażenia, że dostrzegła go również, ale potem zrozumiał, że dziewczynka obserwuje po prostu rudą wiewiórkę, harcującą na pobliskiej sośnie. Wspaniałe czarne oczy błyszczały niby gwiazdy. Wreszcie nieznajoma przysiadła, zbierając rosnące wkoło kwiaty, i od razu przykrył ją całą i przesłonił przepyszny płaszcz lśniących, ciemnych włosów.

Pietrek sam nie wiedział, co czynić. Nieśmiałość wreszcie przemogła, więc zamierzał się wycofać ukradkiem, równie cicho jak przyszedł. Dał już krok wstecz i zamierzał właśnie dać drugi, gdy niespodziane zdarzenie przykuło go do miejsca.

W pobliskiej gęstwinie rozdzierająco i przenikliwie zaskomlał pies. Dziewczynka momentalnie porwała się z murawy. Poczęła wołać:

— Pączek, Pączek! Chodź tutaj, Pączek!

Pies odpowiedział skowytami i ujadaniem. Potem wyskoczył z gąszczy pędząc jak strzała przez polanę. Pietrek doznał wrażenia, że to na wpół wyrosłe szczenię składa się wyłącznie z nóg, ogona i głowy, a z dźwięków, jakie wydawał, można było sądzić, że jest śmiertelnie ranny. Teraz Pączek łąsił się, skomląc, do kolan dziewczynki, przy czym gorliwie oblizywał jej zwieszoną rękę. Nie patrzyła na niego. Zebrane kwiaty wyslizgnęły się jej z dłoni, trwała wciąż w postawie czujnej i wyczekującej.

W głębi polany poruszyły się chaszczki, po czym spośród nich wypadł jakiś chłopak. Był o połowę od Pietrka wyższy, a w garści trzymał kij. Niewątpliwie ścigał psa, więc Pietrek

znieawidził go od razu. Donald mawiał często, że człowiek, który krzywdzi psa, nie wart jest, by go święta ziemia nosiła. A ten chłopak znęcał się nad szczeniakiem!

Miał przy tym niemiłą powierzchowność: tęgi, czerwony na twarzy, o masywnych pięściach i małych, chytrych oczkach. Promieniał, jakby go czekał wielki triumf. Na widok swego prześladowcy szczeniak zwinął się w kłębek u stóp dziewczynki.

Pietrek widział przez chwilę oczy ślicznej nieznajomej: jarzyły się w nich gniew i nienawiść. Wtem skoczyła na obcego wyrostka niby tygrysica. Zaciśniętymi piąstkami tłukła go po twarzy, czym oszołomiony bronił się słabo. Lecz oprzytomniał nader szybko. Rzucił kij, porwał natomiast dziewczynkę w objęcia. Garściami trzymając ją za włosy, odchylił głowę. Nie mogła już sobie z nim poradzić. Szczeniak warcząc usiłował ugryźć napastnika w nogę, ale silnie kopnięty odleciał wstecz z rozpaczliwym skowytom.

Pietrek był tak oburzony i wściekły, że nie mógł nawet wydać głosu, wyskoczył z zarośli i chwycił napastnika za gardło. Gdy tamten puścił dziewczynkę, Pietrek zaczął bić. Nie darmo ojciec uczył go od małego, że należy zawsze bronić kobiet. Drobnę, lecz twarde pięści waliły tak zapalczywie, że otyły wyrostek wrzasnął z bólu. Krzycząc potknął się i upadł, a Pietrek siadł na nim jak na koniu.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma tutaj miejsca na uczciwą grę. Tarzali się i przewracali po ziemi, przy czym grubas krwawił z nosa i ust.

W jakiejś chwili Pietrek zobaczył dziewczynkę. Stała w pobliżu, z rozchylonymi wargami i błyszczącymi oczyma. Widok ślicznej twarzyczki dodał mu odwagi. Bił i kopał co siły. Potem obaj porwali się na nogi.

Starszy chłopak pierwszy rozpoczął walkę na nowo. Skrwawiony i posiniaczony ochłonął już ze zdziwienia, teraz zaś górował wyraźnie wzrostem, siłą i wagą. Wyczerpany dwudniowym postem i ucieczką, Pietrek poczuł, że słabnie. Upadł, a grubas przygniótł go całym ciężarem.

Na mgnienie oka Pietrek dostrzegł znów dziewczynkę. Podniósłszy z ziemi kij opuszczony przez napastnika, pochyliła się nad walczącymi. Na zuchwałego grubasa poczęły się sypać celne razy, aż oszołomiony i zbolący przestał nacierać. Wtenczas zabrali się do niego oboje, Pieterk przy pomocy pięści, dziewczynka wciąż uzbrojona w kij. Niebawem odnieśli całkowite zwycięstwo, gdyż gruby chłopak, porwawszy się na nogi, umknął i przepadł w gąszczu, z którego się przed chwilą wynurzył.

Pietrek otarł rękawem usta i nos, po czym głęboko wciągnął powietrze w zdyszane płuca. Dziewczynka również oddychała z trudem, lecz obserwowała przy tym swego wybawcę z tak nabożnym podziwem, że chłopak rad by się w ziemię zapadł ze wstydu. Tkwił jednakże w miejscu, a dziewczynka, zbliżywszy się, poczęła mu ocierać twarz chusteczką, czyniąc to bardzo delikatnie, by nie urazić sińców i zadrapań. Mówiła przy tym różne miłe rzeczy, z których wzruszony Pietrek nie rozumiał ani słowa. Psiak, zwany Pączkiem, skakał wokół nowego przyjaciela, liżąc mu ręce i wymachując ogonem.

Pietrek cofnął się nieco i próbował się uśmiechnąć. Na razie był okropnie speszony obecnością uroczej boginki i tym, że muskała mu twarz własną chusteczką. Teraz wracał mu zwykły, dobry humor. Rad był, że walka dobiegła wreszcie końca, że dziewczynka przyczyniła się walnie do ostatecznego zwycięstwa.

Powiedział trochę niezręcznie, gdyż nie miał pojęcia, od czego by tu właściwie zacząć:

— Nie dałbym mu rady, gdyby nie ty z kijem!

Cofnęła się również o krok, by go sobie lepiej obejrzeć. Była zapewne o rok od niego młodsza, lecz na początku znajomości wydała się Pietrkowi znacznie starszą, po prostu zupełnie dorosłą osobą. Z trudem znosił widok jej oczu tak były olbrzymie i promieniste, czarne przy tym i aksamitne

jak gęstwa opływających ramiona włosów.

— Jest dwa razy od ciebie większy! — odparła. — Nienawidzę go! Należy go załogi barki z Fortu Williama i ile razy się tu zjawi, zawsze musimy się pobić!

— Phi, to taki... taki babski wojak! — rzekł Pietrek. Dumnym skinieniem głowy przyznała mu rację. Niespodzianie

tupnęła nogą, wygrażając równocześnie kijem w kierunku, w którym znikł napastnik.

— Jeżeli poważy się raz jeszcze... Jeżeli raz jeszcze uczyni coś podobnego, to ja jemu... to ja...

— Nie ośmieli się, póki ja tu jestem! — upewnił Pietrek, pęczniewając z dumy. — Nie byłem w dobrej formie, gdyż mieliśmy ciężką przeprawę i mało żywności. Gdy odkarmię się i wypocznę, dam mu radę!

Dziewczynka pieściła Pietrka wzrokiem.

— Kim ty właściwie jesteś? — spytała łagodnie. — Bo ja jestem Mona Guyon i mieszkam w osadzie Pięciu Palców z Józia oraz Antosią Gourdon.

— A ja nazywam się Pietrek, Pietrek Mac Rae.

— Skąd przybywasz?

Pietrek przełknął najpierw ślinę i w ten sposób zyskał na czasie. Ojciec nie udzielił mu żadnych wskazówek, jak ma odpowiadać na podobne pytania. Wreszcie uczynił ręką gest nieokreślony.

— Stamtąd, z bardzo daleka. Ojciec towarzyszył mi, póki nie usłyszeliśmy siekiery, a potem już przyszedłem sam. Ojciec nadejdzie dziś lub jutro.

— Matka także?

— Mama umarła.

Odwracał oczy nie chcąc się zdradzić zbyt dużym wzruszeniem. Dziewczynka, podszedłszy bliżej, ujęła go za rękę, i nigdy, w całym swym życiu Pietrek nie czuł tak serdecznego uścisku ani dotykał tak drobnej i delikatnej rączki, jak ta właśnie.

Z początku było firm ogromnie nieswojo, ale to trwało tylko krótki moment. Brudne, umazane krwią palce zamknął ciasno wokół jej dłoni. Poprzez porębę spojierali razem w kierunku lasu, za którym leżało ukryte Jezioro Superior. Nawet z tak znacznej odległości słyszeli nieustanny łoskot fali.

— Cieszę się, że tu przyszedłeś! — zaczęła Mona. — Mam nadzieję, że zamieszkas z nami na stałe? Dobrze?

— Możliwe! — rzekł Pietrek.

— Jesteś odważny i to mi się podoba. Gdybyś był na miejscu tego wstrętnego Alecka Curry'ego, co wygląda zupełnie jak ropucha...

— Nie chciałbym nim być! — przerwał Pietrek oburzony.

— Wiem, ale gdybyś nim był i gdybyś spróbował zrobić to co on, nie uderzyłabym ciebie!

Pietrek głowił się dobrą chwilę, daremnie usiłując zrozumieć.

— Jutro mogę mu znów sprawić lanie! — zaryzykował wreszcie. Parsknąwszy śmiechem pociągnęła go ku rozsypanym po ziemi kwiatom. Pomógł jej pozbierać wszystko i ułożyć w jeden ogromny bukiet. Już się oswoił z jej obecnością i nie odwracał oczu, gdy na niego patrzyła, tylko serce kołatało w nim silnie i czuł się uszczęśliwiony. Zapomniał, że mu oko brzęknie, a spuchnięte wargi sztywnieją, lecz nie mógł zapomnieć o ojcu. Uprosi go z pewnością, żeby zamieszkali w Pięciu Palcach. Radował się na samą możliwość, że Mona będzie wciąż obok i że jej będzie stale bronił. Uprzytomnił sobie raptem, że w kieszeni posiada list.

— Mam coś dla Szymona Mac Quarrie'a — rzekł. — Ojciec kazał zaraz to oddać!

— A nie jesteś głodny?

Ujęła go znów za rękę dziwnie władczy ruchem. Lecz było w tym również coś z opieki

macierzyńskiej, ciepłej i przyjaznej. Pietrkowi tajało serce. Nie bał się już wcale, a i zdenerwowanie całkowicie go odeszło. Dziś wieczór lub jutro wróci ojciec, a wtenczas będzie zupełnie szczęśliwy!

Przecięli leśną porębę w powodzi słońca i znaleźli się niebawem u szczytu zielonego wzgórza, skąd mogli obejrzeć rajski zakątek ukryty przed światem w głębi dziewiczego jeszcze boru. Stały się tu szmaragdowe łęgi, woda srebrzyście migotała w słońcu, stało parę domostw z mocnych bali jodłowych, siedliska tych właśnie ludzi, których przed wielu laty sprowadził Piotr Gourdon.

— To jest Pięć Palców! — rzekła Mona.

Trzymając nadal Pietrka za rękę prowadziła go w dół zbocza.

Milczeli idąc.

Gdziekolwiek sięgał wzrok, ziemia pyszniła się szmaragdową szatą, a z kominów chat nad dachami biły w niebo spirale dymu. Dym słodko pachniał żywicą i cedrowym igliwem. Góry złotych trocin wokół tartaku wyglądały niby diuny. Wewnątrz, pod dachem wspartym tylko na słupach, olbrzymia, okrągła piła, nieczynna tego dnia, sprawiała wrażenie zwierciadła odbijającego promienie słoneczne.

Na łąkach pasło się bydło, brodziły w trawie konie. Wtem serce zabiło Pietrkowi silniej, bowiem pomiędzy sobą a osadą dostrzegł łanię z małym. Stał wzruszony, gwałtownie ściskając rękę Mony. Omal nie krzyknął z podziwu i radości. Dziewczynka zaśmiała się i na chwilę oswobodziła dłoń z jego uścisku by przygładzić włosy, które wiatr jej rozwichrzył.

— To jest Minna — rzekła. — Nazwaliśmy ją tak samo jak najmłodszą córeczkę Getrudy Paulin. Piotr Gourdon zabrania polować i zabijać zwierzęta w pobliżu osady, więc sarny i jelenie pasą się nieraz wraz z naszym bydłem, a zimą wybierają siano ze stogów, i nawet dają się karmić z ręki. Tylko — tu śliczna twarzyczka Mony zachmurzyła się naraz, a w oczach jej mignęła rozpacz — mężczyźni mordują jeżozwierze, bo one nam zjadają drzwi, okna i nawet meble. Ale robią to dla mnie, że każdego takiego biedaka chowają na moim cmentarzyku, a ja sadzę na ich mogiłach kwiaty. Strasznie lubię jeżozwierze.

— Ja także! — gorąco stwierdził Pietrek.

Ponownie ujęła go za rękę i poszli razem pochyłością w dół.

— Wujek Piotr Gourdon pozwolił mi hodować trzy jeżozwierze, takie oswojone. Mam moc własnych zwierząt, całe setki, a może tysiące. Wszystkie ptaki, jelenie, nawet niedźwiedzie, wszystko, co tutaj żyje w lesie, należy do mnie i żadne zwierzę mnie się nie boi. Wujek Piotr mi je podarował, i nikt nie ma prawa ich krzywdzić. Nikt też ich nie krzywdzi, z wyjątkiem Alecka Curry'ego. Ten wymordowałby je wszystkie, gdyby śmiał! Nienawidzę go!

— Stłukę go na kwaśne jabłko, jeśli się będzie czepiał! — zadeklarował Pietrek. — Dam mu radę, niech się tylko trochę odkarmi!

Mocno ścisnęła go za rękę.

— To właśnie jego barka, tam w dole. Przybywa z Fortu Wiliama, dwa, trzy razy na wiosnę, i tyleż na jesieni, by zabrać ścięte drzewo. Barka należy do ojca Alecka, którego także nienawidzę. On się zawsze wyśmiewa z wujka Piotra i obiecuje, że przywiezie tu kiedyś gromadę myśliwych!

Pietrek milczał. W miarę jak się zbliżali do chat, przypominał sobie coraz wyraźniej zlecenia ojca.

— Gdzie mieszka Szymon Mac Quarrie? — spytał. Dziewczynka wskazała małą chatkę w pobliżu tartaku.

— O tam! A ja znów mieszkam tutaj, w pierwszym z tych dwu wielkich domów opasanych rzędami białego kamienia. Ze mną mieszka wujek Piotr i ciocia Józia, a ta druga chata należy do Joe'go i Antosi. Joe to syn wujka Piotra, a Antosia, czyli Maria Antonina, jest jego żoną. Na pewno

polubisz ich wszystkich. Każdy ich lubi, z wyjątkiem Alecka Curry'ego!

— Pachnie smażoną wędzonką! — zauważył Pietrek — wciągając nosem powietrze.

Dziewczynka węszyła chwilę.

— To... no — tak, to z chaty Szymona Mac Quarrie'a! — oznajmiła z pewnym rozczarowaniem.

— Czy nie wstąpisz teraz do nas? No, proszę?!

— Muszę najpierw pójść pomówić z Szymonem! — usprawiedliwiał się Pietrek. — Ojciec mówił, bym to uczynił niezwłocznie!

Szymon dojrzał ich z progu. Jego twarde, szkockie rysy zmiękły na widok Mony. Tak dalece poświęcił całą uwagę dziewczynce, że Pietrkiem zajął się dopiero, gdy stanęli tuż. Koło otwartych drzwi Mona wypuściła dłoń Pietrka z opiekuńczego uścisku.

— To jest Pietrek Mac Rae. Ojciec jego przebywa w lesie, ale zjawi się dziś lub jutro. Pietrek ma do pana jakiś interes, ale jest też bardzo głodny. Przed chwilą właśnie zbił Alecka Curry'ego na kwaśne jabłko, dlatego sam ma spuchniętą wargę i zbrzęknięte oko. Do widzenia, Pietrek!

Mona roztaczała wokoło siebie atmosferę pogodną i przyjazną, toteż gdy odeszła, a Pietrek znalazł się sam na sam z Szymonem Mac Quarrie'em, zrobiło mu się głupio i smutno. Lecz w tej chwili stało się coś, co zadziwiłoby z pewnością każdego mieszkańca osady, gdyby tylko któryś był przy tym obecny, Szymon bowiem miał twardego charakter, licujący w zupełności z surowym wyrazem twarzy i niełatwo podlegał wzruszeniu. Teraz wszakże, ledwo Mona znikła, stary wziął Pietrka w objęcia. Szczupłe rysy, ujęte w szpakowaty zarost, zmiękły; opromienił je dobry uśmiech. Ponad głową chłopca wzrok Szymona wybiegł w dal, na zalany słońcem przestwór.

— Pietrek, Pietrek Mac Rae! — wyszeptał niby sam do siebie. — Syn Heleny i Donalda! Pojęcia nie masz, chłopcze, ile czasu minęło, odkąd widziałem cię po raz ostatni. Ale czekaj no, czekaj...

Odsunął go na odległość ręki, patrząc tak dziwnie, aż się Pietrek zmieszał.

— Jakże ty przypominasz swoją matkę, gdy była jeszcze małą dziewczynką! Uderzające podobieństwo! Znałem ją w tamtych czasach!...

Piotrek wyławiał coś z kieszeni.

— To jest od mego ojca — rzekł wręczając Szymonowi flaszeczkę.

Szkot wyjął korek, wydobył papier i czytał, a Pietrek obserwował go uważnie. Dostrzegł więc, że wokół ust Szymona tworzą się głębokie bruzdy, a w kątach oczu występują głębokie zmarszczki.

Szymon skończył wreszcie czytać, zmiął papier w garści i odwrócił się w głąb chaty. Milcząc, dodał z pół tuzina plasterów wędzonki na patelnię. Po chwili przeczytał uważnie list po raz drugi i spalił go w piecyku. Nakroił więcej chleba, wyjął z szafy słodkie ciasto, słowem przyrządził ucztę, na widok której oczy Pietrka zabłyśły łakomie.

Język się także staremu rozwiązał. Po jakimś czasie usta mu się wprost nie zamykały. Plótł na rozliczne tematy, i nie wspominał tylko o tym, co zawierał tajemniczy list.

Podawszy kolację, sam ledwo tknął jedzenie, natomiast uważnie obserwował swego gościa. Pietrek był naprawdę głodny, toteż apetyt mu służył. Skoro się już posilił, Szymon pierwszy wstał od stołu i wielką kościstą ręką pogładził jasne włosy chłopca. Serce go bolało, ale że miał obowiązek do spełnienia i postanowił go wykonać mimo wszystko, choć rzecz nie była ani miła, ani łatwa.

W liście swym Donald Mac Rae podkreślił grubą krechą parę zdań i zdania te wciąż tkwiły w mózgu Szymona Mac Quarrie'a, jakby je powtarzał bez ustanku natrętny głos, nie dający się uciszyć ani zapomnieć.

— Powiedz mu dziś, dziś wieczór jeszcze, skoro się tylko zjawi! — pisał Donald. — Zanim na niebie błysną gwiazdy, chcę mieć pewność, że chłopak mój wie już o wszystkim, że zna całą prawdę, że ją rozumie, i że mi przebacza. Być może jestem tchórzem i powinienem był sam mu powiedzieć.

Ale nie mogę. Boję się po prostu. Muszę go zachować w pamięci takim, jakim był. Wolę nie wiedzieć, że ma złamane serce albo że stracił we mnie wiarę. Bóg ci się odwdzięczy, Szymonie! Nie tyle nawet chodziło o mnie, co o Pietrka, i tę drogą zmarłą...

Stary zajął miejsce na ławie, twarzą do zachodzącego właśnie słońca i usadził chłopaka obok siebie. Po ojcowsku objął go ramieniem. Raz już spróbował przemówić, lecz nie potrafił wcale dobrać głosu. Chrząknął więc, odkaszlnął i rzekł:

— Zatem Mona znalazła ciebie w lesie, a ty walczyłeś z Aleckiem Currym i sprawiłeś mu lanie?!

— Ona mi pomogła — uczciwie wyznał Pietrek. — Byłem głodny, toteż nie dałbym mu rady.

Teraz, gdy się najadłem, to co innego.

Szymon przytulił chłopaka mocniej. Długimi, kościstymi palcami musnął szczupły policzek Pietrka. Spytał:

— Lubisz Monę?

— Tak, proszę pana.

Szymon wyczekał jeszcze chwilę, jak gdyby nie mogąc się zdecydować.

— Czy chcesz, Pietrek, bym ci opowiedział historię, prawdziwą historię o dziewczynce bardzo podobnej do Mony, która żyła przed wielu, wielu laty...

Pietrek skinął głową twierdząco, lecz myślał o tym tylko, czy Szymon Mac Quarrie wyjawii mu wreszcie, co było w zakorkowanej flasce.

Opowiadanie nie trwało długo, Szymon Mac Quarrie bowiem nie był gadułą i nie lubił marnować słów na próżno. Uchodził także za człowieka oschłego i prawie bez serca, a jednak jakże boleśnie tłukło się w nim teraz serce.

— Przed wielu laty żyła sobie dziewczynka bardzo do Mony podobna, równie ładna i równie dobra. Było też paru chłopaków, którzy wyrastali z nią razem. Jeden był znacznie od dwu pozostałych starszy, toteż gdy dziewczynka przestała być dzieckiem, ten najstarszy towarzysz jej żabaw mógł jej prawie zastępować ojca. Kochali się w niej wszyscy trzej, ale jeden miał podłą duszę, tak prawie jak Aleck Curry, któremu dziś sprawiłeś lanie, i ten właśnie nie rozumiał, co to jest miłość czysta i bez egoizmu. Ona kochała naturalnie tylko jednego, najlepszego, najdzielniejszego z całej trójki. Na imię było jej Helena.

— To tak jak mojej matce! — wyrwał się Pietrek.

— Właśnie, a co ciekawsze, człowiek za którego ona wyszła za mąż, nazywał się Donald, zupełnie jak twój ojciec. Dlatego tylko opowiadam ci tę historię. Czy to nie zabawny zbieg okoliczności, Pietrku?

Pietrek milczał.

— Ten z trójki, który był w takim wieku, że mógłby jej zastępować ojca, Ucieszył się prawie z takiego rozwiązania. — ciągnął Szymon. — Nikt nigdy nie odgadł, jak mu było ciężko, jak nieludzko cierpiał, ale z czasem patrząc na ich Wielkie szczęście pogodził się z losem, więc mieli w nim szczerego i oddanego przyjaciela. Myślę, że nie mieli nawet nigdy lepszego przyjaciela niż on. Ale tamten, podobny do Alecka Curry'ego, zachował w głębi duszy żal i nienawiść, a raz, gdy dwaj przyjaciele byli nieobecni, przybył do chaty i znieważył młodą żonę Donalda, nie bacząc wcale na to, że karmiła właśnie dziecko.. W tej chwili wrócił mąż. Co byś ty uczynił, Pietrek, na miejscu Donalda?

Pietrek zeszywniał cały.

— Gdyby to naprawdę szło o Alecka Curry'ego — rzekł — to bym go zabił!

Szymon odetchnął, głęboko, jak gdyby z ulgą.

— Tak się też stało, chłopcze, Donald go zabił. Nie zamierzał go zresztą zabijać, chciał jedynie

ukarać, ale mimo to nastąpiła śmierć, wierz mi, że przypadkowo. Zresztą łotr zasłużył sobie na śmierć i lepiej że go już ziemia przestała nosić. Ale tym niemniej Donald stał się mordercą, mordercom zaś grozi szubienica. Więc Donald umknął w lasy, gdzie się ukrywał w ciągu trzech lat, a stary jego druh opiekował się żoną i dzieckiem. Potem Helena umarła. Wtedy Donald wrócił, zabrał chłopca i długi, długi czas żyli we dwojkę szczęśliwie i na pozór bezpieczni, gdyż policja straciła ich ślad. Trwałoby to po dziś dzień, gdyby, nie to, że jednak władza wpadła wreszcie na trop Donalda. Musieli uciekać,

Szymonowi głos się załamał. Kościstym, ramieniem przygarnął chłopaka tak mocno, że aż do bólu. Kończył nieomal szeptem.

— Pietrek, to wszystko prawda, wiem, że to prawda gdyż stary druh Donalda nazywał się Szymon Mac Quarrie, a tym Szymonem jestem właśnie ja. No a chłopak... ten chłopak nazywał się Pietrek...

Nareszcie wykrztusił najważniejsze. Zniżył teraz szczupły policzek, porosły szpakowatą szczecina, do drobnej twarzy chłopca i milczał, gdyż w ściśniętym gardle wzbierały mu łzy:

Pietrek nie odzywał się również ani się nie ruszał. Cisza trwała niesamowicie długo. Szymon wyczuwał ramieniem, jak chłopak dygoce, jak się cały trzęsie niby w ataku febry i wiedział już, że Pietrek rozumiał wszystko.

— Więc ojciec twój nie wróci — zaczął stary wreszcie, daremnie wzmacniając głos. — W każdym razie wróci nieprędko. Życzy sobie, byś zamieszkał tutaj ze mną. Właśnie o tym pisał w liście... w tej flaszcze, którą mi przyniosłeś...

Pietrek milczał nadal. Spozierał martwo w przestrzeń, przez uchylone drzwi, a Szymon Mac Quarrie nie mógł jakoś dobrać dalszych słów.

— Będziemy się tobą tutaj opiekowali, Pietrku! Wtenczas dopiero Pietrek przemówił.

— Więc ojciec nie wróci ani dziś, ani jutro?

— Nie.

— Nie wróci już nigdy?

— Może kiedykolwiek wróci, ale w każdym razie nieprędko.

— To znaczy, że go tropią, jak wtenczas, w lesie? Chcą go powiesić? . . .

— Nie złapią go przecież, Pietrku! Dlatego właśnie kazał ci tutaj zostać! Sam może wędrować o wiele szybciej. Już jest bezpieczny. Lecz nie wolno ci nikomu wspominać o ojcu. To tajemnica między mną a tobą.

Pietrek wyslizgnął się powoli spod ramienia Szymona Mac Quarrie'a. Nie zamierzał pytać o nic więcej. Oddalił się milcząc i przepadł w gęstniejącym mroku wieczornym.

Szymon ani nie wołał za nim, ani go gonił.

Pietrek wolno minął tartak i żółte kopce trocin, potem zagłębił się w nietknięty jeszcze ostrzem siekiery bór. Nie widział płomiennego zachodu słońca ani nie słyszał wieczornego świergotu ptaków.

Znalazłszy się pośród drzew, w zupełnej niemal ciemności, wybuchnął płaczem. Głośno wzywał ojca po imieniu, lecz cisza, której żaden obcy dźwięk nie mącił, odbierała mu resztę nadziei.

Padł wreszcie skulony i bezsilny pod jakimś chojarem, a rozpaczliwe łkanie chłopca brzmiało tym tragiczniej wobec milczących, czarnych drzew. Jakże ogromnie potrzebował czyjejś przyjaznej pociechy. Miał wrażenie, że cały świat runął i zapadł się w gruzy. Skoro ojciec odszedł, czyż nie lepiej było umrzeć?... Ciemność gęstniała wkoło. Wtem drobna, delikatna, ostrożna rączka nieśmiało musnęła jego policzek.

— Pietrku?...

To była Mona. Prześliczne oczy dziewczynki świeciły w ciemności. Podniósłszy głowę, zobaczył je przez łzy tuż przy sobie. Uklękła obok, więc Pietrek powstrzymał łkanie, nie chcąc się zdradzić z niemęską słabością. Wtem Pączek, szczeniak Mony, wśliznął mu się pod ramię i polizał chłodnym językiem mokry od łez policzek. Tymczasem dziewczynka osuszała mu powieki zwiniętą chusteczką, przemawiając z macierzyńską wprost tkliwością.

Teraz Pietrek zapomniał o przestroгах Szymona, i w ciemności nocnej, tuląc się do Mony, opowiedział o wszystkim, co mu krwawiło serce: o policji, o walce nad rzeką, o ucieczce, i o tym, że ojciec odszedł, zostawiając go samego.

— Nie mam przecież na świecie nikogo, prócz ojca! — załkał wreszcie. — Nawet pies mi zginął. Jestem zupełnie, zupełnie sam, i wolałbym już wcale nie żyć!

— Nie wolno ci tak mówić! — skarciła go, tuląc obie ręce chłopca w swoich małych dłoniach. — Masz kogoś! Masz mnie! Będę się tobą opiekowała, naprawdę, Pietrek, obiecuję solennie! Poza tym mogę ci oddać Pączka, i wszystkie moje zwierzęta, i w ogóle wszystko co mam! A on przecież wróci! Myślę o twoim ojcu. Należy tylko czekać cierpliwie...

Oczy jej błyszczały w mroku.

— Pomyśl tylko — rzekła naraz, wydzierając słowa wprost z serca. — Twój ojciec żyje, a więc może wrócić! Mój nie może... Umarł. Matka także umarła...

Pietrek doznał szczególnego wzruszenia, jak gdyby się w nim odezwała męskość. Przeczł w tej dziewczynce kobietę, istotę słabszą, której się należy opieka i osłona. Zadzierzgnął się między nimi węzeł, mający stworzyć z czasem podwaliny nowej przyszłości.

Pietrek nabrał odwagi, wiary w siebie i ufności. Gdy wstał, Mona podniosła się w ślad za nim. W ciemności ocierali się prawie ramionami.

— Masz rację — rzekł. — Ojciec mój wróci niebawem. A co do twoich rodziców, to doprawdy bardzo mi przykro. Jeżeli zaś Aleck Curry zechce cię napastować lub uderzy szczeniaka, to...

Poprzez ciemność nocną wracali do osady Pięciu Palców, lecz tym razem Pietrek prowadził Monę za rękę.

Rozdział VII

NOCNE ŻYCIE

Pietrek miał nigdy nie zapomnieć pierwszej nocy spędzonej w osadzie Pięciu Palców.

Czas nie zatarł ciężkiego wrażenia, złagodził najwyżej uczucie ogromnej pustki i bolesnej samotności. W ciągu długich godzin chłopak przeżywał całkowitą ruinę dotychczasowej egzystencji, dojrzał przedwcześnie pod wpływem żrących trosk, a chwilami strach i rozpacz czyniły go człowiekiem zupełnie dorosłym, wyzbytym całkowicie dziecięcej ufności i pogody.

Szymon Mac Quarrie zaniósł na strych swej chaty zapaloną świecę. Przy jej słabym blasku Szkot zasłał łóżko chłopcu oraz pogładził małego gościa po jasnej czuprynie, zanim mu powiedział dobranoc. Odchodząc już, do połowy ukryty w podłodze, mając jedynie ramiona i głowę ponad kwadratowym otworem wiodącym w dół, Szymon przystanął, by rzucić wesoło i przyjaźnie:

— Uszy do góry, Pietrek! Nie złapią twego ojca. A teraz zaśnij prędko, bo musisz wstać wcześniej. Mona będzie cię wyglądać od świtu!

Po czym zszedł po drabinie.

W dwie godziny później Pietrek czuwał jeszcze. Świeca mu się wypaliła, lecz księżyc wzeszedł nad wschodnią połacią boru. Był to wspaniały, wiosenny księżyc, wielki, okrągły, pałający złotą czerwienią, którego blask przenikał hojnie poprzez otwarte okienko strychu.

Pietrek siedział przy oknie skulony i cichy.

Wiedział, że Szymon śpi; spała przecież cała osada. Ze swego miejsca mógł objąć wzrokiem sześć czy siedem drewnianych domostw, spośród dwunastu. Wszystkie chaty tonęły w baśniowym świetle miesięcznym. Głęboką czernią znaczył się wał pobliskiego boru, a srebrem migotało jezioro. Szmer wody, zdławiony odległością poszum fal, bijących o skaliste brzegi, docierał aż tutaj. Wiosną wezbrane jezioro szumiało zawsze, nawet w dni całkowicie bezwietrzne.

Z wyjątkiem tego głosu panowała taka cisza, że Pietrek słyszał wyraźnie kołatanie swojego serca. Czasem biło tak silnie i nierówno, że aż bolało. Podchodziło mu do gardła, dławiając. Gdyby Szymon czuwał, to usłyszałby, że Pietrek płacze parokrotnie.

Teraz jednak łzy przestały już płynąć. Błada, szczupła twarzyczka chłopca spozierającego na księżyc płynący ponad szczytami drzew, miała wyraz surowy i zacięty. Przy świetle tego samego księżycy policja ścigała jego ojca. Ludzie go tropią, ludzie, z których ręki, jeśli go tylko pochwyca, grozi mu kula lub stryżek. Pietrek rozważył sobie już wszystko. Wiedział, czemu Donald Mac Rae kazał mu iść do osady Pięciu Palców, a sam zniknął w puszczy. Ojciec przepadł, przepadł na zawsze, przepadł na równi z matką. Tyle że matka umarła, a ojciec jeszcze żyje...

Coś mu zawadzało w gardle, więc przełknął ślinę, chwytając kurczowo palcami chropawą deskę futryny okiennej. O matce zachował jedynie niejasne wspomnienie, niby o pięknym śnie; nawiedzała go zresztą czasem w marzeniach sennych: czuł po prostu łagodną pieśczość jej dłoni oraz słodkie muśnięcie drogich warg. Przechowywał także w pamięci jej rysy i sylwetkę, ale to wszystko było mało realne, nie tak jak postać ojca.

Odkąd siebie pamiętał, ojciec zawsze znajdował się obok, ochraniał go i pieścił, zastępował matkę i rówieśnika. A teraz, teraz w tym jaskrawym księżycowym świetle ściga go zbrojna hałastra, poluje nań po prostu, jak oni sami polowali tyle razy na wielkie, białe króliki żyjące wśród mokradeł.

Siedząc wciąż przy otwartym oknie przebiegał nadal myślą zdarzenia paru ostatnich dni. Jak to wszystko szybko poszło; ojciec przycwałował niespodzianie do domu z miasteczka przy stacji kolejowej, dokąd się udał po zakupy, a policja deptała mu już po piętach. Zmykali później razem w las, co tchu, opuszczając na zawsze chatynę na małej polance, gdzie żyli spokojnie od tylu lat.

No i ta dalsza ucieczka, dwie doby wyczerpującej włóczęgi, głód, rozstanie wreszcie, do którego sygnał dał łoskot siekier, rąbiących drewno dla tartaku. W tym miejscu łyzy na nowo zaczęły dławić Pietrka, aż miał ochotę zaszlochać głośno. Gdybyż tylko ojciec zaufał bardziej jego sile fizycznej, gdyby mu pozwolił towarzyszyć sobie?! Mógł przecież biec, mógł się ukrywać, mógł długi czas wytrzymać bez jedzenia, mógł spać na gołej ziemi, pływać w razie potrzeby i nie bał się wcale. Lecz ojciec kazał mu zostać w tej osadzie, co się nazywa tak dziwnie: Pięć Palców, a tutaj znowu poznał cały szereg obcych ludzi: Alecka Curry'ego, Szymona Mac Quarrie'a i Monę...

Na wspomnienie Mony, boginki leśnej, w obronie której stoczył tak ciężką walkę, Pietrek nabrał pewnej otuchy. Ostatecznie, skoro Mona jest w pobliżu, można jeszcze wytrzymać. Jak dzielnie pornogła mu zwyciężyć paskudnego chłopaka, który znęcał się nad szczeniakiem!

Czuł dotyk jej drobnej, ciepłej rączki, gdy przez las i porębę wiodła go ku osadzie. No a później, gdy już Szymon Mac Quarrie wyjawiał mu całą prawdę i gdy tak cierpiał w głębi ciemnego boru — wtenczas Mona zjawiała się również, pocieszała go i współczuła mu, gdy opowiedział jej tę okropną historię. Co prawda Szymon Mac Quarrie przestrzegał, by nikomu się nie zwierzać, ale to przecie nie może dotyczyć Mony! I jak to ona powiedziała później świecąc oczyma w mroku:

— Twój ojciec żyje, a więc może wrócić! Mój nie może, umarł... Matka także umarła...

Pietrek słyszał prawie jej głos wymawiający te słowa, szepczący je właściwie, jak gdyby Mona zrozumiałszy całą głębię ufności, jaką nowy przyjaciel ją obdarzył, chciała mu odplacić tym samym. Miała zupełną rację. Donald Mac Rae żył, a więc mógł wrócić, podczas gdy jej ojciec...

Daleki plusk jeziora dobiegał go słabo. Wzdrygnął się, słysząc ten szum. Tam, w rozległej toni wodnej rodzice Mony znaleźli śmierć.

Zastanowili się przez chwilę, czy Mona czuwa również i czy także słucha tych dźwięków, tak mało nieraz uchwytnych jak tchnienie najslabszego wiatru. To wspomnienie i szum fali musi ją chyba prześladować — pomyślał. Jezioro opowiada jej wciąż o przebiegu tragedii, zapewne słuchając często płacze w nocy. Brr, jakie to okropne stracić oboje rodziców naraz i wiedzieć, że zginęli tak tragiczną śmiercią...

Pietrek wzdrygnął się i równocześnie zrobiło mu się trochę wstyd. Ojciec wpajał weń tylekroć pojęcie o obowiązkach prawdziwego mężczyzny, o tym jak mężne należy mieć serce. Wychyliwszy się przez okno spojrzął w kierunku chaty, w której mieszkał Piotr Gourdon wraz z żoną swoją, Józia. Tam również jest Mona.

Chata była ciemna, ale to nie dowodzi wcale, że Mona śpi. Doskonale może czuwać w ciemności i Pietrek miał nawet nadzieję, że jest właśnie tak, a nie inaczej. Obok ojca ta świeżo poznana dziewczynka zajmowała nawięcej miejsca w jego życiu. Pewność, że jest blisko, myśl, że może czuwa wspominając go w tej chwili, napawały Pietrka otuchą, zupełnie tak samo, jak serdeczne dotknięcie i współczujące wejrzenie były mu pociechą z wieczora.

Skoro się trochę wzmocnił na duchu doznał wrażenia, że nawet cała noc przybiera inne oblicze. Wszakże ojciec lubił właśnie noce tego rodzaju, ciche, księżycowe. Światła i cienie garnęły się doń przyjaźnie. Nasz księżyc — mawiał niegdyś ojciec, gdy jeszcze byli razem.

— Urodziłeś się właśnie w taką księżycową noc! — powiedział mu ojciec niegdyś. — Podszedłem wtenczas do okna i zobaczyłem cię pierwszy raz przy księżycu. Strasznie byłem rad!

Więc obaj bardzo lubili księżyc, zarówno Pietrek, jak i Donald. A twarz księżycy miała dziś wyraz szczególnie przyjazny, jak to chłopak właśnie zauważył. Uśmiechnięta gęba, zmrużone w uśmiechu oczy. Zupełnie jakby mrugał na Pietrka obiecując, że wszystko będzie dobrze, mało dobrze, wspaniale!

Mona i księżyc pokrzepili Pietrka na duchu. Przypomniało mu się też właśnie, że nie zmówił

jeszcze pacierza, którego ojciec go nauczył, klękł zatem przy oknie, a ukrywając twarz w dłoniach szeptał jęł powtarzać znajome wyrazy.

Gdy znów podniósł głowę zobaczył tuż, na zewnątrz, wielki, szary cień płynący w cichym powietrzu. Była to jedna z tych olbrzymich sów, które z nadejściem zimy przybierają kolor śnieżnobiały. Słyszał miękki łopot skrzydeł, podczas gdy potężne ptaszysko ważyło się w przestrzeni, skręcając, ulatując w górę, i wreszcie znikło raczej na kształt zjawy sennej niż żywego stworu. Wnet rozległ się na dachu chaty szybki tupot drobnych nóżek. Nowy gość nocny, wiewiórka-polatucha. O parę jardów rosło stare drzewo, służące jej zapewne za schronienie w ciągu dnia. Pietrek zastanowił się, czy wiewiórka i sowa należą też do stworzeń, które Mona uważa za swoją własność.

Słuch przyzwyczał mu się do nocnej ciszy, więc coraz łatwiej chwycił poszczególne dźwięki. Prawdę mówiąc, nie było tu wcale tak samotnie. Jezioro szumiało bez przerwy, na pastwisku tupotały kopyta końskie, miękko stąpały racice i czasem zamyczała krowa. Z daleka wrzasnął nurek; od północy ozwało się wycie wilcze. Co parę chwil Szymon Mac Quarrie, śpiący w izbie na dole, chrapanął sobie donośniej. Zupełnie jakby wynurzał się z wody dla uchwycenia powietrza! — pomyślał Pietrek.

Potem złowił zabawne gaworzenie i jeżozwierz wylazł z mroku, dążąc w świetle miesięcznym w stronę chaty. Pietrek widział go zupełnie wyraźnie. Był duży, tłusty i najgłupiej zadowolony z samego siebie. Trajkotał coś jak szczebiotliwe niemowlę, zbliżając się ku sagom drzewa narąbanym przez Szymona Mac Quarrie'a.

Pietrek rozchmurzył się do reszty. Oczy mu świeciły. Ściągając wargi gwizdnął cichutko pod adresem zabawnego gościa. Chciał go przestrzec przed tragicznym losem, jaki, zgodnie ze słowami Mony, wisi nad wszystkimi jeżozwierzami osady.

Lecz zwierzę było tępe, głuche i ślepe. Znalazłszy siekierę, którą Szymon rąbał drzewo, jeżozwierz chrząknął z zadowolenia niby prosię. Zwinął się potem wygodnie, w okrągły, niemal kłębek i przy pomocy ostrych ząbków stukających jak małe młoteczki, począł ogryzać szybko rękojeść siekiery słoną od ludzkiego potu.

Pietrek gwizdnął ponownie.

— Wynoś się! — zawołał po cichu.

Rozwagał właśnie, czy należałoby zejść na dół, by ocalić siekierę Szymona, gdy nowy, gwarzący pod nosem cień pojawił się na zalanej księżycowym światłem polanie, pomiędzy chatą a borem.

Był to drugi jeżozwierz, ogromny, czarny stwór toczący sam ze sobą ożywioną dyskusję. Pietrek wyszczerzył zęby w uśmiechu. Bardzo lubił słuchać, jak jeżozwierze toczą monologi. Ale nigdy nie przytrafiła mu się taka ucztą jak teraz. Zupełnie jakby nadciągała swarliwa maciora, wiodąca stadko prosiąt. Aż się chłopak zdziwił, że Szymona nie zbudzi ten koncert.

Nowy przybysz kroczył wprost do sągów drewna, lecz szary jeżozwierz zastąpił mu drogę. Siekiera leżała pośrodku; smaczny kęs dla jeżozwierza. Do uszu Pietrka doszły gardłowe chrząknięcia. Nie było w nich jednak nic groźnego. Po dźwięku sądząc, można raczej było wnioskować, iż to się spotykają dwaj przyjaciele lub nawet para kochanków.

Wtem ogony machnęły gwałtownie, zamiatając powietrze niby bicze kolczaste i od razu rozgorzała walka przy wtórze takich ciosów, takich pisków i pomruków, aż się Pietrek rozgrzał. Bitwa była zacięta, i nagle wydało się chłopcu, że czarny grubas jest Aleckiem Currym, toteż aż się z okna wychylił, byle nie stracić ani jednego fragmentu zapasów. Przeciwnicy tarzali się po ziemi tuż pod nim, słyszał więc nawet, jak obluzowane kolce uderzają w ściany chaty niby maleńkie strzały, podczas gdy ogony walą jak maczugi. Dłuższy czas nie mógł poznać, kto bierze górę. Aż czarny, który w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek przypominał Alecka Curry'ego, dostał taki cios siwego ogona,

po którym zapewne niejedyn świeży kolec wyrósł mu w skórze i to ostrzem do środka, nie na zewnątrz. Lamentując głośno rzucił się do ucieczki.

Dopiero teraz Pietrek usłyszał ruch w izbie na dole. Drzwi się otwarły, w następnej chwili zaś Szymon Mac Quarrie wyszedł zza węgła swego domu. Długi i chudy, w białej po kostki koszuli nocnej wyglądał jak duch. W garści trzymał kij. Kij wzniósł się i opadł z tępym plaśnięciem. Pietrek wzdrygnął się z obrzydzenia.

— Proszę nie zabijać siwego! — zawołał. — Proszę tylko nie zabijać siwego!

Szymon Mac Quarrie, który właśnie zamierzał się na drugiego jeżozwierza, podniósł głowę zdziwiony, z czego korzystając siwy zapaśnik poczłapał w kierunku leśnej gęstwy, pomrukując po drodze z oburzenia i żalu. Stary Szkot nie usiłował go wcale zatrzymać.

Wychylony z okna Pietrek tłumaczył:

— To była taka wspaniała walka! Ten czarny to jest Aleck Curry, a ten szary go stłukł! I naprawdę szary jest mniejszy!

Szkot milczał chwilę, zanim spytał:

— Spałeś, Pietrku?

Pietrek przecząco ruszył głową.

— Nie.

— Coś robił do tej pory?

— Och, nic, patrzyłem na księżyc!

Szymon zawrócił do drzwi chaty, ale wciąż jeszcze zerkał w górę na chłopca.

— No, to się teraz połóż! — doradził wreszcie. — Jeśli nie usłuchasz, to cię sprowadzę na dół i będziesz spał razem ze mną!

Skreślił za węgiel chaty, przy czym biała koszula pętała mu się zabawnie koło długich, chudych nóg. Idąc mruczał:

— Głupstwo zrobił Donald, że kazał powiedzieć o tym chłopcu. Lepiej było skłamać i utrzymać wszystko w tajemnicy! Sto razy lepiej...

W progu zatrzymał się raz jeszcze i obejrzał na domostwo Piotra Gourдона, zatopione w srebrnej poświacie księżycowej. Ze swego stanowiska widział okno pokoju, w którym spała Mona. Twarz Szkota przybrała dziwny wyraz, najpierw surowy i jak gdyby gniewny, potem pełen serdecznego współczucia.

— Ech, biedaki jedno i drugie... — westchnął, wchodząc do izby.

Pietrek usłyszał skrzyp zamykanych drzwi. Bez przykrości wyciągnął się na posłaniu. Księżyc zalewał go mlecznym światłem i przez wełniany koc czuło się pieśczętę promieni miesięcznych. Księżyc działał zawsze na Pietrka kojąco.

Przymknął oczy, lecz przebiegające mu przez głowę myśli nie budziły już ani głębszego żalu, ani tym bardziej chęci płaczu. Przyszłość przedstawiała się znacznie pogodniej niż poprzednio. Wierzył, że ojciec zdoła uniknąć pościgu, że nic złego go nie spotka, i że powróci niebawem. A jeśli nie powróci, to napisze i wtenczas Pietrek sam do niego pojedzie, chyba na koniec świata.

Począł marzyć o Monie. Nie mógł doprawdy istnieć miłszy temat. Przeżył na nowo walkę ubiegłego dnia i aż mu się błogo zrobiło na myśl, że jutro powtórzą się działania wojenne. Zaciskał nawet pięści malując z pamięci ciężką, krępą sylwetkę Alecka Curry'ego i jego odpychającą twarz.

Wtem uprzytomnił sobie, że Mona także wzięła udział w walce, z płonącymi oczyma i rozwichrzonymi czarnymi włosami. Zamieszkując stale w głuszy, niewiele miał do czynienia z dziewczętami, lecz ta szczególnie przypadła mu do serca. Wraz z nią ożyły ideały tak starannie wpajane przez ojca. Przed laty matka musiała wyglądać zupełnie jak Mona, przynajmniej ojciec

opisywał ją stale w najbardziej pochlebnych barwach.

Wtem poczuł pewien niepokój i po prostu zrobiło mu się wstyd, bo, co tu długo gadać. Aleck Curry niewątpliwie wziąłby górę, gdyby nie pomoc dziewczynki! Z przykrości Pietrek aż się na łóżku skręcił. Cóż stąd, że Aleck jest starszy, wyższy i cięższy, a Pietrek był wyczerpany długim marszem i postem. To wszystko nie równoważy przegranej.

Szczęście jeszcze, że ojciec nie był świadkiem tych zapasów! Ale Mona, widziała! Widziała, jak leżał na ziemi, prawie zupełnie bezsilny i jak tamten zamierzał sprawić mu hańbiące lanie. Dlatego skoczyła go ratować...

Pozostawała mu tylko jedna rzecz do zrobienia i w tej myśli znajdował pociechę. Wstanie wcześniej, zaraz z samego rana odnajdzie Alecka Curry'ego i tym razem bez niczyjej pomocy zbije go na kwaśne jabłko. Wyspany i po solidnym śniadaniu znajdzie niewątpliwie dostatecznie sił.

Ani się nie spostrzegł, jak zapadł w drzemkę. Wielka sowa śnieżna huknęła przeciągle ze szczytu złamanej sosny w pobliżu tartaku; do wiewiórki-polatuchy przyłączył się jakiś kompan, więc we dwójkę harcowali po gontach, aż dudniło. Księżyc wspiął się wyżej, a w jego srebrnym blasku jeleń z łanią przecięli chyłkiem polanę o rzut kamieniem zaledwie od okna Pietrka.

Chłopak, niepomny tego, co się dzieje wokół, przeżywał we śnie wzruszenia własne i to znacznie silniejsze. Niespokojny jego umysł roił to o jednej przygodzie, to o drugiej. Wpierw umykał wraz z ojcem przed hordą zażartych wrogów, z których każdy miał rysy Alecka Curry'ego. Potem znów, w obecności Mony, walczył z tymże Aleckiem, a zmagał się z nim tak zaciekle, aż Szymon słyszał z dołu jak chłopak jęczy i jak się na łóżku przewraca, po cichu wszedł na drabinę, by rzucić nań troskliwym okiem.

Surowy Szkot długo obserwował chłopaka przy bladym księżycowym świetle i twarz mieniła mu się ze wzruszenia, by stać się wreszcie tkliwą i łagodną jak twarz kobiety. Nikt od wielu, wielu lat nie widział, tak czulego wyrazu w rysach Szymona Mac Quar-rie'a.

— Zupełnie jakby to dopiero było wczoraj... — szepnął po cichu sam do siebie, w chwili gdy drobna twarzyczka Pietrka leżała spokojnie w zgięciu szczupłego ramienia. — Zupełnie jakby wczoraj, Heleno...

Przebiegło go nagłe drzenie. Czuł po prostu, że zmarła matka znajduje się właśnie obok syna, że czuwa pochylona nad nim troskliwie. Ileż razy obserwował ją w ten sposób, podczas gdy oboje chronili się pod jego dachem, w ciągu tych najśłodszych lat. Serce w nim wtenczas skrzyzło, straciło bowiem wszelką nadzieję, zrezygnował z wszelkiego osobistego szczęścia, oddany wyłącznie pamięci ściganego przez policję druha, Donalda Mac Raego.

Zaledwie wczoraj!... A ileż ciężkich, nieskończenie długich i posepnych lat minęło od tej pory?... Zahartował się w ogniu cierpienia, jak *żelazo* hartuje się na stal. Dziś nadeszła zmiana. Zmiękła w nim dusza na nowo. Z drżącym sercem, po cichu zszedł z drabiny. Kochał Pietrka. Kochał go tak bardzo, jak niegdyś Helenę.

Rozdział VIII

DWOJE DZIECI

Pietrek ocknął o brzasku, mógł zatem obserwować, jak się budzi do życia osada Pięci Palców.

Powietrze było pełne słodczy, jak to zawsze bywa wiosną. Prześliczne, poranne ćwierkanie ptasząt brzmiało niby zgodny chór, pełen melodyjnej harmonii.

— W każdym człowieku, nawet najgorszym, pieśń ptaków zbudzi lepsze uczucia! — twierdził niegdyś Donald Mac Rae. — Dobry Bóg stworzył ptasią kapelę, by umilić ludziom początek dnia. Jedyne mieszcuchy nie słyszą jej lub nie rozumieją. Myśl zawsze ze współczuciem o mieszkańcach miast, Pietrku, gdyż są to ludzie nieszczęśliwi!...

Pietrek pamiętał o tych słowach, w chwili, gdy tak spozierał przez okno swego stryszku na stojące wśród bujnej zieleni chaty osadników. Jak dotąd nie widział nigdy prawdziwego miasta, lecz tu, mimo skupienia domów, słońce wynurzając się zza boru małowowało niebo na wschodzie farbą różaną i złotą. Nic nie zakłócało pogodnej harmonii. — Tutaj — wydało mu się, iż słyszy właśnie głos ojca — tutaj, Pietrku, z pewnością mieszka Bóg.

Z kamiennych lub ceglanych kominów ponad domami płynęły w górę srebrne słupy dymu. Z daleka dobiegały krzyki mew, a nad środkowym cyplem wicherzyły się białe ich skrzydła. Przy brzegu tkwiła nieruchomo wielka czarna barka, stanowiąca własność ojca Alecka Curry'ego — barka która trzy lub cztery razy do roku przybywała z Fortu Williama dla zabrania gotowego budulca.

Był to właściwie jedyny szpetny szczegół w całym krajobrazie, toteż Pietrek cieszył się ogromnie, że barka nie należy do osady, że odpłynie niebawem, a gruby Aleck odjedzie wraz z nią. Czuł się już -zespoleony poniekąd z tym miłym zakątkiem, był więc rad, że gdy on sam wchodzi w skład stałych mieszkańców, Aleck Curry jest tylko obcym i chwilowym przybyszem.

Widział mężczyzn nadciągających z pastwiska, prowadzących konie za uzdy. Dolatywał doń wyraźnie raźny gwizd. Wokół tartaku żółciły się stosy trocin, a jakiś człowiek układał na palenisku wielkie polana. Kłęb dymu bijący z wysokiego komina był biały i przejrzysty i nawet na odległość Pietrek wyczuwał miły, żywiczny zapach.

Wciągnął nosem powietrze, usiłując pochwycić je naprawdę, lecz w tej chwili właśnie pod oknem znalazł się zabawny, kręcący się w jednym miejscu stwór, który, spozierając w górę na chłopaka, łasił się przymilnie. Był to szczeniak Mony, Pączek. Pietrek lubił najbardziej tego rodzaju psiaki, brzydkie i niezdarne, o wielkich łapach, grubych stawach i łbie dwa razy za dużym w stosunku do całego ciała.

— Rośnie — pomyślał Pietrek wołając na Pączka. — Będzie z niego z czasem wspaniały pies.

W parę minut później Poleon Dufresne, niosąc pełne wiadro mleka, minął chatę Szymona Mac Quarrie'a i ku swemu ogromnemu zdziwieniu usłyszał, że stary Szkot gwizdże. To już było rzeczą zupełnie niezwykłą, przystanął zatem w progu i wsuwając twarz do środka przez uchylone drzwi uśmiechnął się na dzień dobry. Szymon przyrządzał właśnie śniadanie z zapałem nieomal chłopięcym, gdy zaś Poleon dostrzegł w głębi izby Pietrka, szorującego sobie policzki rozdziawił gębę zdumiony.

— Dzień dobry, Poleonie! — przywitał go Szymon. — To jest Pietrek, Pietrek Mac Rae, którego adoptowałem. Jest to właściwie syn starego mego druha, a zjawił się wczoraj wieczór w formie niespodzianki. Zamieszka oczywiście wraz ze mną.

Jak na Szymona Mac Quarrie'a była to informacja bardzo obfita; doceniając w zupełności uprzejmość starego milczka, Poleon z szerokim uśmiechem wszedł do chaty. Przyjaźnie opierając

rękę na ramieniu Pietrka zapewnił go, że wszyscy osadnicy ucieszą się ogromnie z jego obecności. Pietrek od razu polubił Poleona, jego rumianą, okrągłą twarz i wesołe, błękitne oczy. Zabierając się już do odejścia, przygodny gość przelał trzecią część zawartości swego wiadra do kamiennego dzbanka i rzekł do Pietrka:

— To dla ciebie, chłopcze! Szymon nie dba o mleko, ale teraz musi go mieć pod dostatkiem dla swego wychowanka. Nie ma nic lepszego jak mleko, by człowiek nabierał sił i zdrowia!

Była sobota. Pietrek dowiedział się o tym w pół godziny później, gdy pomagał Szymonowi zmywać naczynie po śniadaniu. Ktoś z tyłu za nim powiedział głośno:

— Dziś sobota, więc nie ma szkoły. Przyszłam, by ci pokazać osadę, Pietrku.

Obrócił się szybko i z drżeniem serca zobaczył Monę.

Była nawet ładniejsza niż wczoraj, gdy tak stała w drzwiach szczuplutka i wyprostowana. Błyszczały wielkie, czarne oczy, a krucze włosy splecione w jeden warkocz wyglądały niby aksamitny sznur. Nawet Szymon uśmiechnął się z uznaniem.

Szymon zauważył kiedyś w rozmowie z Piotrem Gourdonem, że nie jest dobrze dla dziewczynki być tak urodziwą jak Mona. Dziś odmienił mu się tok myśli. Chichocząc porozumiewawczo doradził Pietrkowi, by szybciej wytarł ręce i towarzyszył Monie na przechadzce rannej. Sam podszedłszy do dziewczynki ujął ją pod brodę, a potem przesunął szeroką dłońią po gładko zaczesanych włosach. W zetknięciu ze spracowaną skórą włosy te były miękkie niby najprzedniejszy jedwab. Mona zdziwiła się trochę, gdyż stary Szkot nie zachowywał się nigdy w ten sposób w stosunku do niej. Wydawał się w ogóle całkiem zmieniony od wczoraj, ot, po prostu jak gdyby nie ten sam człowiek.

— Pomogłaś więc Pietrkowi stłuc Alecka Curry'ego? — spytał rozradowany.

Zarumieniła się nieco i bokiem zerknęła na Pietrka.

— Pietrek już z nim skończył, gdy ja się wmieszałam! — rzekła lojalnie.

— To nieprawda! — poprawił Pietrek. — To on właśnie brał górę, gdy ona przyszła mi z pomocą. Ale dziś mogę go już wytłuc sam!

Mona uśmiechnęła się do chłopaka z uznaniem. Potem spojrzała surowo na Szymona Mac Quarrie'a.

— Pan zabił jednego z moich jeżozwierzy!

— Musiałem — tłumaczył się stary. — Zjadał mi siekiere. Ale Pietrek zanieś ci go na cmentarz.

Zabrał się do przypadającej na ten dzień roboty. Mona z Pietrkiem zaś odszukali martwego jeżozwierza. Pączek obwąchiwał właśnie podejrzliwie kolczaste zwłoki. Na widok płamiącej ziemię krwi Mona wzdrygnęła się.

— Nie potrzebował go wcale zabijać! — rzekła. — Słyszałam, jak wołałeś, żeby nie ruszał szarego. Mógł temu również dać spokój!

— Słyszałaś mnie? Skinęła głową twierdząco.

— Obserwowałam świecę w twoim pokoju, aż zgasła. Siedziałam później przy oknie, przy księżycu. Wcale mi się nie chciało spać tej nocy.

— Mnie także nie — rzekł Pietrek, a serce kołatało w nim silnie. — Czuwałem i myślałem, czy ty także nie spałaś? Słyszałaś szum jeziora?

— Zawsze go słyszę.

Czując, że powiedział za wiele i niepotrzebnie poruszył bolesny temat, Pietrek schylił się po martwego jeżozwierza. Wziął padlinę za jedną łapę. Mona wzięła drugą, po czym wspólnie ponieśli ciężar w stronę małej, zielonej łączki u stóp wzgórza, poza ostatnią chatę osady.

Pietrek zauważył tu znaczną liczbę pokrytych darnią kopców i nieco mniejszą ilość miejsc ze

świeżo ruszaną ziemią. Wszędzie rosły kwiaty. Przy pomocy łopaty, którą mu wskazała Mona, chłopak wykopał płytką jamę. Gdy skończył, a czarny jeżozwierz spoczął w grobie, Mona rzekła:

— To dwudziesty siódmy tej wiosny. Dziwię się nieraz, czemu jeżozwierze przepadają za oknami chat, drzwiami, stołami, rękojeściami siekier, gdy w lesie tyle jest smacznych rzeczy do jedzenia!

— To z powodu soli! — tłumaczył Pietrek. — Lubią jeść rzeczy, których człowiek dotykał i które pachną słonym potem. Kiedyś, gdy długi czas nie było nas z ojcem w domu, pozjadały nam ramy okienne, aż całe szkło wyleciało.

— Ja rozsypywałam sól w lesie — ciągnęła Mona — całe masy soli. Jelenie okropnie lubią i króliki, i myszy, i chyba wszystko co żyje, z wyjątkiem ptaków. Wujek Piotr polecił, by ilekroć barka przyplywa z Fortu Williama, przywożono mi całą beczkę soli. Tylko ostatnim razem ten podły Alek ściągnął z kuchni garść pieprzu i dosypał do mojej beczki.

— Wytlukę go dzisiaj! — upewnił Pietrek.

Ponieważ opuszczali już cmentarzyk, więc ujęła go za rękę, w swój zwykły, opiekuńczy sposób.

— Nie chcę, żebyś się z nim bił, Pietrku! Nie szukaj zwady, chyba że cię pierwszy zaczepi! Doprawdy nie warto. Masz bardzo ładne oczy, a gdy ci zapuchną, to już nie są tak ładne. Chciałabym mieć błękitne oczy, tak jak ty.

— A ja wcale bym tego nie chciał! — zaprzeczył Pietrek wybuchowo. — Twoje oczy... twoje oczy... są... są...

— Jakie?

— Prześliczne! Nigdy dotąd nie widziałem takich pięknych oczu...

Sam odwrócił wzrok i kręcił szyją, jakby chcąc zupełnie schować głowę do kołnierza. Monę oblał rumieniec, a źrenice jej rozbłysły jak diamenty.

— I jeszcze chciałabym mieć takie włosy, jak ty! — dowodziła przekornie.

— Och, nie! — gorąco bronił Pietrek. — Twoje włosy są jeszcze piękniejsze niż twoje oczy! Gdy zobaczyłem ciebie tak pierwszy raz, w słońcu, to doprawdy myślałem...

— Co, co takiego?

— Och, nie wiem! Już nie pamiętam...

Był okropnie zmieszany, toteż uradował się, że właśnie w tej chwili ruszył tartak, rozpoczynając melodyjną pieśń. Jakże śliczne brzmiał wysoki, czysty ton wyborowej stali, tnącej zdrowe pnie. W głuszy leśnej szum tartaku ma w sobie coś z przyjaznej mowy. Nawet obcy człowiek czuje się zaraz bardziej zadomowiony i mniej samotny.

Nim podeszli bliżej, tartak pracował już pełną parą, i krzątało się przy nim z pół tuzina ludzi, czyniąc to tak ochoczo, jak gdyby nie o pracę szło, lecz o rozrywkę. Dobry humor nie opuszczał ich ani na chwilę.

Mona szybko podbiegła do człowieka, który przy pomocy długiego, wygiętego haka odbierał spod maszyny świeżą belkę i zachodząc z tyłu usiłowała zasłonić mu dłońmi oczy. Mężczyzna obrócił się natychmiast i porwawszy dziewczynkę w ramiona podniósł ją z ziemi. Mona ucałowała go serdecznie w oba policzki, a Pietrek stwierdził, że nie widział jeszcze twarzy bardziej promiennej niż twarz Piotra Gourдона w tej chwili właśnie.

Wyciągając dłoń do Pietrka, Mona zaczęła wołać:

— To jest wujek Piotr! Chodź i pocałuj go, Pietrku.

Więc Piotr Gourdon ogarnął chłopaka wolnym ramieniem, że zaś z woli Boga kochał dzieci nade wszystko, ucałował to obce dziecko czule, niby swoje. Gdy tak tulił oboje do piersi, zdarzyło się, że przez chwilę twarz Pietrka musnęła świeży policzek Mony. Było to dotknięcie tak rozkoszne, że

latami całymi chłopak miał je zachować w pamięci jak żywe.

Teraz Piotr Gourdon odsunął Pietrka na długość ręki, po czym przyjrząwszy się jego podbitemu oku oraz spuchniętym wargom, spytał:

— Aha, więc to ty jesteś tym młodym człowiekiem, który sprął Alecka Curry'ego, bo się Monie naprzykrzał? Phi, toć Aleck jest dwakroć od ciebie większy!

— Toteż nie dałem mu rady — uczciwie przerwał Pietrek. — W każdym razie nie o własnych siłach. Byłem zmęczony i brzuch miałem pusty jak bęben. On już brał górę, gdy Mona przyszła mi z pomocą.

W oczach Piotra Gourдона zabłysły wesołe ogniki, które jednak pierzchły szybko. Twarz przybrała wyraz surowy i zacięty.

— Aleck nie jest porządnym chłopcem. Nie chcę, by ci się naprzykrzał, Mono. Jeżeli przyczepi się raz jeszcze, to mi powiedz.

— Mona wcale nie potrzebuje się panu skarżyć! — żywo przerwał Pietrek. — Już ja się nią zaopiekuję. Dziś jeszcze stłukę Alecka Curry'ego na kwaśne jabłko.

Piotr Gourdon spojrzał na chłopca i twarz znów mu się wypogodziła.

— Pietrek, jesteś prawdziwym mężczyzną! Lubię takich chłopców!

Pogładził szorstką dłonią jedwabiste włosy Mony, w ten sam sposób co Szymon Mac Quarrie.

— Ange, nie będę już sobie zaprzętał głowy tym paskudnym Aleckiem. Mam wrażenie, że Pietrek dotrzyma tego, co obiecał!

— Ale ja nie chcę, żeby się on z Aleckiem bił! — poważnie oświadczyła Mona. — Chyba, że Aleck pierwszy napadnie, ale wtenczas ja mu pomogę.

Gdy oddalili się od tartaku idąc w stronę chaty Piotra Gourдона, Pietrek spytał:

— Dlaczego on nazywa ciebie ange, co to właściwie znaczy?

— To po francusku. Nazywa mnie tak czasami od dnia, gdy mama i ojciec utonęli, a on uratował mnie z jeziora. To słowo oznacza coś o wiele miłszego, niż ja jestem.

— Nie wierzę — oświadczył Pietrek z przekonaniem. — Cóż to może być?

— Anioł.

— Och!

Pietrek milczał dobrą chwilę, potem rzekł znowu.

— To ładne. To mi się podoba. Zdaje się, że pomyślałem to samo, gdy zobaczyłem ciebie po raz pierwszy wczoraj w lesie. Byłaś cała w słońcu, z rozpuszczonymi włosami, a wokoło ciebie pełno kwiatów. Z początku to się nawet zląkłem.

— To dopiero musiałam wyglądać strasznie, że się aż przeraziłeś — obruszyła się Mona. — Lubię chodzić z rozpuszczonymi włosami, gdy jestem sama w lesie.

— A ja lubię wtedy na ciebie patrzeć. I wcale nie wyglądałaś brzydko. A to co za taki dziwny budynek? Wygląda prawie jak kościół!

— Bo to jest kościół i nasza szkoła zarazem. Żona wujka Joego, Antosia, udziela nam lekcji. Ona jest bardzo ładna i miła, Pietrku. Wujek Piotr twierdzi, że równie ładna, jak ciocia Józia za czasów swej młodości. Zresztą ciocia Józia jest wciąż jeszcze śliczna. A ty, czy długo chodziłeś do szkół?

— Nie bardzo.

— A wyrażasz się tak wykwitnie.

— Ojciec mnie uczył. Co dzień musiałem odrabiać lekcje, nawet gdy byliśmy w puszczy. Och, bo mój ojciec był doprawdy...

Umilkł, gdyż tak jak wczoraj, na wspomnienie ojca coś ścisnęło go za gardło.

— Straszniekocham twego ojca! — szepnęła Mona łagodnie. — Ubiegłej nocy modliłam się

gorąco, żeby on do ciebie wrócił i zobaczysz, że wróci.

Lecz mimo dobroci Mony oraz całego uroku osady, złe przeczucia rozrastały się w duszy Pietrka.

— Jeśli ojciec wróci — rzekł — gotowi go schwytać. A jeśli go schwytają...

Umilkł, a wtedy dziewczynka dostrzegła w twarzy przyjaciela wyraz udręczenia; tak ją to zabolalo, aż zacisnęła ręce w pięści.

— ...zabiją go! — skończył Pietrek. — *Zabiją* niewątpliwie, tak twierdził Szymon Mac Quarrie.

Mona zaczęła znów po długiej ciszy.

— Chciałabym, żebyś się z tego wszystkiego zwierzył wujkowi Piotrowi. On jest taki dobry i mądry i zawsze potrafi wszystkiemu zaradzić. Zresztą to się na pewno pomyślnie skończy. Zobaczysz, że mam rację!

Dowodzenie jej, jakkolwiek pozbawione logiki, było dziwne słodkie i krzepiące. Przekonanie, z jakim mówiła, stanowiło dla tonącej odwagi Pietrka coś w rodzaju koła ratunkowego. W chwili gdy miała odwrócony wzrok, spojrział na nią po prostu zachłannie, przy czym serce zakołatało mu mocno. Doznał niejasnego uczucia, że Bóg wysłucha bezwzględnie modłów tej dziewczynki. Jeśli nie, to chyba Bóg wcale nie istnieje. A przecież istnieje, jak istnieją kwiaty, drzewa, ptaki, niebo błękitne nad głową. Donald Mac Rae od najmłodszych lat wpoił swemu synkowi tę niezachwianą pewność.

— Czy Bóg często cię wysłuchuje? — spytał Pietrek;

— O, tak, o ile modłę się bardzo gorliwie. Teraz modłę się o jedną rzecz dla Alecka Curry'ego. Żeby mu się przytrafiło co złego. Musi go spotkać przykrość za to, że jest, jaki jest.

— Na przykład co?

— Cokolwiek. Niechby go wrony napadły i wyskubały mu wszystkie włosy z głowy!

Urwała, zatrzymując się w miejscu tak niespodzianie, jak gdyby ją ktoś z tyłu targnął za sukienkę.

— O, widzisz, gdzie jest teraz? Tam, nad środkową zatoczką. Ciskał kamieniami w moje mewy.

— Każę mu przestać! — krzyknął Pietrek, porywając się do biegu.

Schwytala go za ramię.

— Nie chcę, żebyś się z nim bił. Ciocia Józia i ciocia Antosia czekają na nas.

Poprowadziła go dalej, a Pietrek dobrowolnie poddał się jej przewodnictwu, chociaż z daleka doleciało doń wyzywające wołanie Alecka Curry'ego. Zresztą właśnie w drzwiach pobliskiej chaty pojawiła się wysoka, szczupła kobieta o tak przychylnym uśmiechu na miłej twarzy, że Pietrek nieśmiało uśmiechnął się w odpowiedzi i to nawet zanim Mona zdążyła mu objaśnić:

— Widzisz, Pietrek, to jest ciocia Józia!

Całą następną godzinę zajęło mu zaznajamianie się z innymi mieszkańcami osady. Przywitał się więc w pierw z Marią Antoniną czyli Antosią, o wiele od cioci Józii młodszą, lecz zdaniem Pietrka niewiele ładniejszą. Obiecała zaraz, że już od najbliższego poniedziałku znajdzie dlań miejsce w szkole. Wędrował później wraz z Moną od jednej chaty do drugiej. Poznał oboje Clamarts, Poulins, Dufresnes, Croissets, aż mu się poplątały w głowie imiona dorosłych i dzieci.

Ostatnia chata, do której wstąpili po drodze, sprawiła na Pietrku wrażenie domku dla lalek. I osóбка, którą w niej znaleźli, wyglądała również jak laleczka. Pietrek sądził na razie, że jest to koleżanka Mony, była bowiem niewiele większa, o błękitnych oczach, dziecinnie czerwonych wargach i miedzianozłotych lokach związanych wstążką na karku. Mona przedstawiła z dumną miną:

— To jest Adetta Clarmart, żona Jamesa Clarmarta. Skończyła szkołę w St. Anne de la Perade, zanim James przewiózł ją do Pięciu Palców. A to ich synek!...

Pociągnęła Pietrka ku stojącej w pobliżu kołysce, i chłopak mógł się do woli przyjrzeć okrągłej, rumianej buzi małego Telesfora Clamarta, który kończył właśnie osiem miesięcy. Telek obserwował chwilę Pietrka uważnie, po czym rozpromienił się w szerokim uśmiechu, wyciągając ku górze

drobne, pulchne rączki. Mona aż westchnęła z zachwytem.

— Spodobałeś mi się, od razu, Pietrku, Pochyl się niżej! Tełek chce ciebie pogłodzić!

Pietrkowi zrobiło się gorąco, poczerwieniał jak rak, lecz posłusznie zgiął się nad kołyską. Niemowlę zanurzyło paluszki we włosy chłopca, krzycząc piskliwie z radości. Było to pierwsze dziecko, z którym Pietrek miał w życiu do czynienia, toteż w chwili, gdy drobna buzia musnęła jego policzek, Pietrek zapomniał o obecności Mony i Adetty, zapomniał o początkowym zmieszaniu i rozczulił się do głębi serca.

Gdy maleństwo puściło wreszcie jego czuprynę i mógł się znów wyprostować, pomyślał, że oczy Adetty Clamart, pełne dumy i miłości macierzyńskiej są niemal równie piękne, jak źrenice Mony. Szybko przeszukał kieszenie, by znaleźć prezent dla nowego przyjaciela, a nie mając nic innego, wyjął swój scyzoryk.

— Masz, to dla ciebie! — rzekł zwracając się do dziecka.

Gdy zamierzali już opuścić izbę, Adetta serdecznie oparła dłoń na ramieniu Pietrka.

— Mona opowiedziała nam dokładnie wszystko, co zaszło wczoraj w lesie, więc oboje z mężem polubiliśmy ciebie strasznie za to, że dałeś dobrą naukę Aleckowi Curry'emu! Spisałeś się wspaniale, stając tak dzielnie w obronie Mony!

Skoro we dwójkę znaleźli się na zewnątrz, Pietrek obrócił się do Mony.

— Słuchaj, wiesz że to nieprawda! Nie dałbym rady Aleckowi bez twojej pomocy! Dlaczego okłamujesz wszystkich?

— Wcale nie okłamuję! Przecież go stłukłeś! — odparła Mona, energicznym ruchem odrzucając włosy.

— To on byłby mnie stłukł, gdybyś nie pomogła z tym kijem!

— Nie, nie i nie! On i tak ledwo już dyszał, a uderzyłam go, bo byłam w pasji!

Szli chwilę w milczeniu.

— Dlaczego nie chcesz, żebym myślała, że dałbyś mu radę sam? — spytała naraz Mona. — I tak zresztą wszyscy już wiedzą, jak to było naprawdę.

Pytanie to, wraz z zagadkowym błyskiem oczu sprawiło, że Pietrek zaniemówił. Nie mógł wcale zgadnąć, czy Mona istotnie wierzy w jego zwycięstwo. Poczerwieniał wspomniawszy, jak leżał rozplaszczony na plecach, z nogami wierzgającymi bezsilnie, mając ręce obezwładnione ciężarem opasłego przeciwnika. Mona nie mogła tego nie spostrzec! Krótki oddech Alecka nie mógł jej oszukać tak dalece! Pietrek zerkał na dziewczynkę, usiłując przejrzeć jej skryte myśli, lecz oczy Mony umiały zachować wyraz naiwnej prostoty. Jeśli okłamywała go, czyniła to wprost artystycznie.

Rozważając raz jeszcze to wszystko, Pietrek nabrał niezłomnego przekonania, że koniecznie musi stłuc Alecka Curry'ego dziś, nie zwlekając, oczywiście o własnych siłach. Należało to uczynić bezwzględnie, gdyż jeśli Mona doprawdy myślała, że on jest od Alecka dzielniejszy, trzeba dla zachowania honoru dowieść tego istotnie. Jeśli zaś dziewczynka okłamuje wszystkich świadomie, byle mu tylko wstydu oszczędzić, tym bardziej trzeba się zrehabilitować we własnych oczach. Innej drogi rehabilitacji nie widział.

Ukradkiem począł wzrokiem szukać Alecka, czyniąc to oczywiście w ten sposób, by Mona nie domyśliła się niczego. Lecz tłusty za-wadiaka opuścił tymczasem brzeg jeziora.

Zaznajomiwszy Pietrka z ludźmi zamieszkującymi osadę, Mona przedstawiła mu teraz kolejno ulubione swoje zwierzęta. Pietrek miał dotychczas wrażenie, że obcuje z przyrodą z bliska, ale to, czego teraz był świadkiem, stanowiło dlań jednak całkowitą nowość!

Na łagodne wołanie dziewczynki nadlatywały wielkookie drozdy, dziobiąc wprost z ręki okruszyny chleba. Na białym piasku wybrzeża mewy okrążyły ich stadkiem pierzastym jak kurczęta i

pokrzykując domagały się przyniesionych z chaty przysmaków. Mona siadła na wydmie, one zaś gramoliły się jej na kolana. Jeden wielki, biały ptak dziobał lśniący warkocz.

— To Bobo — tłumaczyła ze śmiechem. — Smakują mu moje włosy!

Mewa o jednej tylko nóżce frunęła jej na podolek, łapczywie chwytając pokruszony chleb.

— A ten znów ptaszek nazywa się Dominik. Nazwałam go tak na intencje Dominika Beauvais'go, który lubi dobrze zjeść. Pojęcia nie mam, w jaki sposób stracił nóżkę, ale podejrzewam, że to Aleck Curry ustrzelił mu ją przed rokiem. Ach, żebyż ojciec Alecka nie przywiózł go tu nigdy więcej!...

Rozdział IX

PRAWDZIWE ZWYCIĘSTWO

Dochodziło prawie południe, gdy Pietrek pożegnawszy wreszcie Monę wrócił do chaty Szymona Mac Quarrie'a.

W głowie czuł zamęt, w sercu czasem głęboką radość, lecz częściej bolesny żal. Jeśli zaś na chwilę zapomniał o ojcu, to już w następnej minucie cały dramat ponownie odżywał w jego pamięci. Poprzez słodki głos Mony, poprzez życzliwy uśmiech jej ciemnych oczu przebijała blada twarz ściganego człowieka. Przyjaźń ślicznej dziewczynki łagodziła co prawda cierpienie, lecz nie mogła całkowicie go usunąć.

A Mona doprawdy robiła wszystko, co leżało w jej mocy. Obdarzona kobiecą przenikliwością czuła doskonale, że Pietrek cierpi, jakkolwiek usiłuje ból swój zataić. Własna tragedia Mony, głębsza i bardziej długotrwała niż dramat Pietrka, sprawiła, że dziewczynka była szczególnie czuła w tego rodzaju przypadkach.

Odnosiła nieraz wrażenie, że to dopiero wczoraj bawiła się wraz z matką w cieniu wielkiego, białego żagla, a ojciec siedzący opodal obserwował je z uśmiechem. Nie dalej jak wczoraj przytrafiła się straszna katastrofa i statek zatonął. Nikt, nawet Piotr Gourdon nie podejrzewał, jak żywo Mona przechowuje wszystko to w pamięci. Dzieliła smutną swą tajemnicę jedynie z drzewami w borze, z ptakami i zwierzętami, z którymi lubiła rozmawiać. Dziś rano, na niewielkim cmentarzu osady, wskazawszy Pietrkowi dwa bliźniacze groby, rzekła krótko i prosto:

— Moja matka i mój ojciec — i nie poruszała więcej tego tematu.

Szczególne brzmienie jej głosu powstrzymało Pietrka od jakichkolwiek zapytań, choć ciekaw był szczegółów strasznej burzy, awarii i walki z rozszalałym żywiołem, który pochłoniął rodziców Mony i z którego ocalała tylko ona, zawdzięczając życie bohaterstwu Piotra Gourдона. W milczeniu spoglądał zatem na wielkie głązy mogilne, czytając wyryte na nich proste słowa:

Paweł i Mona Guyon zmarli 27 września 1900 roku.

— Strasznie mi przykro, Mono — rzekł wreszcie Pietrek.

Ani oni sami, ani tym bardziej nikt z dorosłych nie potrafiłby zrozumieć, jak dalece wspólny dramat połączył tych dwoje dzieci. W nieszczęściu człowiek dojrzewa szybko, więc tego dnia poczęła się już zacierać granica dzieląca chłopca od dorosłego mężczyzny.

Wracając do chaty Pietrek myślał, że los Mony jest niewątpliwie gorszy. Dziewczynka ma zupełną rację. Jego ojciec żyje i może wrócić, podczas gdy jej nie wróci na pewno. Ogarniała go przemożna chęć, żeby coś uczynić dla Mony, w jakiś dobitny sposób dowieść jej swojej sympatii. Najprostszą, najbardziej wskazaną rzeczą wydawało się zwycięstwo nad Aleckiem Currym.

Na samą tę myśl krew w nim wrzała. Nie zastanawiał się nawet wcale, co mianowicie uczynił Aleck dla wzbudzenia w Monie takiej nienawiści. Wystarczała mu w zupełności świadomość, że Mona nie cierpi tłustego chłopaka. Modliła się przecie, by wrony wydarły mu włosy. Jest pełna głębokiej ufności, że Bóg wysłucha jej modłów.

W pierwszym już spotkaniu Pietrek także znienawidził Alecka. Nie mógł zapomnieć chwili, gdy ukryty w gęstwinie, zobaczył, jak ten dorosły prawie drab brutalnie chwycił Monę za włosy i przemocą wygiął jej głowę do tyłu. Uratował wtenczas Monę, ale jej nie pomścił. Pomścić miał dopiero teraz.

Po obiedzie Szymon zabrał Pietrka ze sobą, na gawędę z dorosłymi mieszkańcami osady. Wraz z

gromadą mężczyzn zwiędzali poręby, toteż dopiero koło trzeciej po południu Pietrek znalazł się ponownie sam. Wtenczas, miast wrócić do Mony, począł się wałęsać po lesie, aż zabrnął nad samo prawie jezioro.

Serce zabiło w nim silniej, gdy spostrzegł z daleka Alecka Curry'ego strzelającego z procy do przelatujących mew. Pietrek postanowił sobie zawczasu, że wyzwie wroga na pojedynek prawdziwie po męsku, spokojnie i rzeczowo, tak jakby to uczynił niewątpliwie jego ojciec w podobnej sytuacji. Obecnie jednak całkowicie zmienił zamiar. Podniósłszy spory kamień, cisnął nim w Alecka tak celnie, że grubas w ostatniej chwili tylko zdążył się uchylić, dając nura poza nadbudówkę barki. Potem Aleck wyskoczył na brzeg.

Pietrek czekał. Nie bał się wcale, lecz serce waliło w nim niby szybko kujący młot. Doznał wrażenia, że Aleck okropnie się rozrósł w ciągu minionej nocy. Dorównywał prawie wzrostem Jamesowi Clamartowi, a twarz, pełna złośliwego triumfu, pałała mu rumieńcem. Idąc chował szybko do kieszeni procę.

Pietrek zrozumiał, że Aleck na równi z nim samym szukał okazji do dalszych porachunków, więc zmieniając taktykę, począł się wycofywać w głąb lasu.

Aleck ruszył pędem, Pietrek również począł biec. Nogi miał zwinne niby królik; przesadzając z łatwością zwalone drzewa lub niskie chaszczki słyszał za sobą cwał grubasa, jakby wielkie zwierzę przedzierało się z trudem przez gąszcze. Po dwakroć, rozmyślnie, pozwolił się prawie doścignąć, by znowu bez cienia wysiłku wysforować się naprzód.

Wreszcie, u skraju małej polany Aleck przystanął. Dyszał i zachłystywał się wprost z braku powietrza. Po tłustej twarzy ściekał mu strumieniami pot.

— Tchórz! — wrzasnął drwiąco. — Tchórz! Tchórz!

Urwał zdumiony, gdyż Pietrek zatrzymał się i zawracając nadchodził powoli.

— Śmieję się zawsze, ilekroć jesteś w niebezpieczeństwie! — mawiał niegdyś Donald Mac Rae i Pietrek usiłował w danej chwili wprowadzić w czyn słowa ojca. Do twarzy przyłgął mu szeroki uśmiech.

— Stłukę cię zaraz na kwaśne jabłko! — oznajmił wesoło. — Jesteś babski wojak! Umiesz tylko wojować z kobietami! Poza tym masz krótki oddech, i już cię zadyszka męczy! Ja wcale przed tobą nie uciekałem! Ja cię tylko prowadziłem w ślad za sobą!

Aleck stał oszołomiony, łapczywie chwyając ustami powietrze. Po prostu nie mógł uwierzyć, by dzieciak, o tyle od niego mniejszy, posiadał tak daleko posunięty tupet. A Pietrek drwił:

— Babski wojak! Fasa sadła! Dostaniesz wnet takie lanie, że będziesz błagał o miłosierdzie!

Wreszcie Pietrek skoczył. Ruchy miał szybkie, celowe. Pięści drobne, lecz twarde. Oddech równy. Dopadł przeciwnika, zanim tamten spostrzegł, co się dzieje.

Pierwszy cios wymierzył w żołądek; Aleck stęknął, a potem zawył z bólu wymachując rękami na oślep. Pietrek dosięgnął! kułakiem nosa, jednego oka i ust. Był rozjuszony niby szerszeń. Łomotał pięściami, jakby to były młotki; na Alecka nie spadła nigdy dotąd taka ilość razów. Stracił resztę tchu, broczył krwią z nosa i ust. Nowy cios w żołądek wydarł mu nowy jęk. Gdyby Pietrek zdołał zachować podobne tempo w ciągu dalszych pięciu minut, przegrana Alecka Curry'ego nie ulegałaby najmniejszej kwestii.

Lecz Pietrek wyładował całą prawie energię w początkowym natarciu. Walczył z bryłą mięsa, którą nie tak łatwo było powalić.

Aleck miotał się i sapał, mając twarz i koszulę umazaną krwią. Twarz mu zapuchła. Mimo to trzymał się na nogach dość pewnie. A Pietrek tracił siły. Musiał już chwytać ustami powietrze. Uderzył jeszcze po raz ostatni, prosto w obrzęknięte wargi, po czym coś się w nim wewnątrz

załamało.

Grubas opasał go ramionami i razem grzmotnęli o ziemię. Pietrek leżał na spodzie, zupełnie jak wtenczas, gdy go ocaliła interwencja Mony. Tylko że teraz nie było w pobliżu Mony. Nie było nawet Pączka, by mu pomógł, chwytając Alecka za łydki; jedyną pociechę stanowił widok twarzy wroga, tuż ponad nim. Ależ go oporządził! Jeszcze minuta lub dwie i tłuscioch poddałby się niewątpliwie!

Chwilę wypoczywali obaj, nabierając tchu. Potem Aleck począł grzmocić Pietrkiem o ziemię, przygniatając go całym swym ciężarem.

— Mam cię wreszcie! — charczał. — Mam cię!

Pietrek nie marnował energii na próżne wyzwiska. Pojmował doskonale, że byłoby rzeczą daremną usiłować zrzucić ten ciężar, tym bardziej, iż w tej chwili rozporządzał tak nikłym zasobem sił. Całą uwagę skupił zatem na osłanianiu własnej twarzy. Aleck, zziajany, wypoczywał co chwila, a ledwo odzyskawszy nieco oddech, trwonił go znów na obelgi lub przekleństwa.

— Jestem fasą sadła, hę? — pytał. — Mam krótki oddech, hę? Umiem się bić tylko z dziewczynkami, co? Masz, masz, masz! Wrzeszczę teraz, wołaj swojej lubej, żeby ci pomogła!...

Umilkł, gromadząc siły do nowej tyrady. A Pietrek z każdą chwilą czuł się coraz słabszy i coraz bardziej bezradny. Puchł przy tym coraz bardziej. Na jedno oko już nic nie widział. Drugie ocalało, gdyż osłaniał je zgiętym łokciem. Myśli miał mętne, lecz zapomniał o bólu, gdy Aleck, w jakimś genialnym natchnieniu sięgnął po nową groźbę:

— Zawołam teraz Monę! — wysapał. — Niech przyjdzie, niech zobaczy, jak cię urządziłem! Jestem fasą sadła, co? Masz, masz!...

Nabrawszy trochę tchu począł w istocie wzywać Monę. W rzeczywistości ochryple jego wołanie nie sięgało zbyt daleko, lecz Pietrek miał wrażenie, że rozlega się po całej osadzie.

— A gdy przyjdzie — triumfował grubas — będziesz musiał przyznać, że jesteś zwyciężony albo ci głowę urwę! Tak!

Siedząc całym ciężarem na szczupłym ciele Pietrka jak na koniu, Aleck wyprostował się i dalej przyzywał Monę. Pietrkowi krew uderzyła do głowy. Czyżby Bóg w ten sposób spełniał prośby małej jego przyjaciółki? A może Mona nie modliła się wcale, może oszukała go tylko? Nie, nie wierzył, by dziewczynka potrafiła kłamać! Modliła się z pewnością i to modliła się szczerze, to on jest winien, to on jest zbyt słaby!

Aleck darł się tak, aż mu twarz spąsowiała. Pietrek przyjrzał mu się krytycznie jednym zdrowym okiem. Z głęboką radością uczuł naraz, że odzyskuje utracone siły. Mimo iż ciężar grubasa ugniatał mu brzuch, oddychał prawie zupełnie swobodnie. Ach, gdybyż tylko mógł wstać, gdyby mógł raz jeszcze sięgnąć pięścią tej znieawidzonej, tłustej gęby.

To, co uczynił w następnej chwili, stało się tak szybko, jak gdyby działała jakaś siła, ukryta poza nim. Błyskawiczny ruch, skręt i podrzut całego ciała, tak niespodziewany, że Aleck stracił równowagę i druga sylaba imienia Mony ugrzęzła mu w gardle. Wywrócił się niezdarnie, a Pietrek skoczył nań niby kot.

Mierzył teraz wyłącznie w twarz Alecka, bijąc mocno, szybko i celnie. Dziwił się sam, że tak całkowicie odzyskał utracone siły. Z dzikiej radości, ze zbytków urył Alecka w ucho. Grubas zawył z bólu. Pietrek grzmotnął go pięścią w oko i nowy ryk rozdarł powietrze.

W głębi serca syn właściciela barki był tchórzem, jak każdy brutal, toteż niebawem jał błagać o litość. Lecz Pietrek zbyt był podniecony, by tak prędko wyrzec się rozkoszy zemsty. Walił więc dalej, aż Aleck cały skrwawiony, jęczący ukrył twarz w ziemi i przestał się zupełnie bronić.

Pietrek wstał wreszcie, widząc świat wokół niejasno, jednym okiem. I niespodzianie, w tym momencie zupełnego triumfu, poczuł, jak mu się serce zatrzymuje w piersi. O parę metrów zaledwie

dostrzegł Monę.

Mimo że wzrok miał teraz słaby, rozróżniał wyraźnie, jak się płoni radością śliczna twarzyczka, jak szczęście i podziw goreją w wielkich, ciemnych oczach. Nie wątpił już ani chwili, że była świadkiem jego zwycięstwa. Widziała, widziała, jak o własnych siłach zwyciężył Alecka Curry'ego! Odwrócił się do Alecka.

— Wstawaj! — rzekł. — Wstawaj albo cię kopnę!

Aleck zwał się na kolana, po czym chwiejnie stanął na nogach. Był doprawdy godny pożałowania. Z oczu zostały tylko szparki. Twarz mu tak nabrzękała, jakby cierpiał na świnkę. Bełkotał coś i sapał, nie dostrzegając nawet Mony.

— Masz dosyć? — spytał Pietrek podchodząc bliżej.

Aleck cofnął się nieco, instynktownie osłaniając twarz zgiętą ręką.

— Zdaje się, że mam dosyć! — przyznał.

— Jeśli nie jesteś pewien, jeśli nie jesteś zupełnie pewien, mogę poprawić?

— Mam dosyć.

— W takim razie oddaj mi procę.

Aleck pokornie wręczył żadaną broń. W tej chwili właśnie spostrzegł Monę. Zakłopotany, głośno przełknął ślinę.

— Teraz przyrzeknij Monie, że nie będziesz jej więcej napastował. Przyrzeknij albo znowu dostaniesz!

— Przyrzekam.

— I nie będziesz ciskał kamieniami w jej mowy?

— Nie będę.

— W porządku, grubasku. Wracaj teraz na swoją barękę i siedź tam!

Ściagał Alecka wzrokiem, aż ten znikł pośród drzew. Potem uważając, że jego rola skończona, obrócił się do Mony. Zbliżała się z błyszczącymi oczyma, trochę zmieszana. Przetarł zdrowsze oko. Ledwo mógł ją dostrzec.

— Och, Pietrku! — szepnęła.

Poczuł na twarzy ostrożne dotknięcie jej miękkiej chusteczki; wycierała krew i pot zupełnie w ten sam sposób, co za pierwszym razem. Mówiła:

— Pietrku, Pietrku, jesteś wspaniały, nadzwyczajny!

Po czym stało się coś takiego, że Pietrkowi po prostu ziemia umknęła spod nóg. Unosząc się na czubkach palców, Mona ucałowała łagodnie spuchnięte wargi chłopca.

— Masz. Właśnie o to szło cały czas Aleckowi Curry'emu, a ja daję ci to dobrowolnie. Podziękuj mi teraz.

— Dziękuję — bąknął Pietrek.

Rozdział X

ZŁE PRZECZUCIA

W ciągu ostatnich trzech dni i czterech nocy Pietrek Mac Rae przeżył bardzo wiele. Jego przygody podczas tego okresu pozwoliły mu zaznać całej gamy ludzkich wzruszeń. Najmniej może doznał uczucia radości. Bądź co bądź, doświadczeniem życiowym przerósł niewątpliwie swe czternaście i pół lat.

Brał to zresztą mniej poważnie niż czasowy jego opiekun, Szymon Mac Quarrie. Stary Szkot siedząc obok Piotra Gourдона opowiadał, jak się to stało, że Donald Mac Rae został wyrzutkiem społeczeństwa, człowiekiem ściganym i uciekającym przed szubienicą oraz skąd się Pietrek wziął w osadzie Pięciu Palców.

— Zastrzymam go — dodał w konkluzji. — Ogromnie mi się ten chłopak podoba.

Piotr Gourdon słuchał opowiadania z przejęciem, wspominając zdarzenia sprzed siedmiu lat, gdy w czasie burzy wyratował z topieli osieroczone dziecko. Pokochał z czasem Monę, jak gdyby stanowiła po prostu część jego własnej duszy. Gdy zatem stary Szkot skończył, Piotr pokiwał głową w zadumie, mówiąc:

— Mona przyprowadziła mi dziś tego chłopaka. To materiał na rzetelnego mężczyznę. Obiecał, że się porachuje z Aleckiem Currym, gdyby ten nadal napastował Monę!

Roześmiał się, wzruszając ramionami.

— Alek jest o dwa lata starszy i dwukrotnie od Pietrka większy. Ale chłopak ma odwagę i energię. Kto wie, kto wie... Zatrzymamy go w osadzie.

— Jeśli ten zbój, Alek, będzie się czepiał naszych dzieci — burknął Szymon — polecę jego własnemu ojcu, by się z nim rozprawił albo też nie sprzedam mu więcej ani jednej belki!

Piotr uśmiechnął się pogodnie. Jako mieszkaniec leśny, potomek wielu pokoleń najściślej zespolonych z przyrodą, miał w głębi duszy niezachwianą pewność w opiekę Boga, który potrafił stworzyć z chaosu świat tak bogaty i piękny. Właśnie Piotr Gourdon pierwszy wytknął szlak przez niezbadane ostępy puszczy oraz zbudował pierwszą chatę osady. Szymon Mac Quarrie, idąc za wzrokiem przyjaciela, śledził dokładnie niemal tok jego myśli.

Oczy Piotra Gourдона przesunęły się po zabarwionym kwiatami zboczu pobliskiego wzgórza, gdzie leżały mogiły rodziców Mony. Zwolna uśmiech zacierał się na jego twarzy, a zastępował go wyraz niepokoju, smutku, prawie lęku.

— Pomyślnie były dla nas te wszystkie lata — zaczął, mówiąc do samego siebie raczej, niżli do sąsiada. — Ile to już czasu minęło, odkąd obaj z Dominikiem Beauvais'm trafiliśmy tutaj, wędrując puszcza, a teraz mieszka nas już w osadzie pół setki, samych przyjaciół i krewnych. Tragedii mieliśmy mało, wiele natomiast szczęścia. Cmentarz stoi pustką, spoczęli na nim jedynie rodzice Mony. Czasami... ogarnia mnie po prostu strach!...

— To prawda, że żyliśmy dotąd w spokoju — przyznał stary Szkot.

W głębi, poza ich plecami, piętrzyły się pagórki trocin i śpiewnie gwarzył zębaty krąg stalowej piły wgrzając się w rdzeń jodłowych bali. Szymon kochał swój tartak, tak samo jak Piotr kochał chaty, do budowy których przykładał pomocną rękę. Tartak bowiem obdarzył ludność osady dobrobytem. Ale — tu stary Szkot zasepił się — tartak sprowadził również do Pięciu Palców barkę z Fortu Williama, a wraz z nią Alecka Curry'ego.

— Wolałbym — rzekł głośno Szymon Mac Quarrie — żeby to kto inny, niż zaś Izaak Curry

skupywał nasze drzewo! Zresztą on sam jeszcze ujdzie, ale ten synalek... Jeśli zaczepli kiedy Monę albo Pietrka, pogadam z nim!

Zakończył zdanie *znaczącym* pomrukiem, sprężając równocześnie żylaste barki.

Piotr Gourdon spozierał tymczasem w kierunku smugi boru, poza którą, w półmilowej odległości kryło się Jezioro Superior. Wysłuchawszy pogroźki Szymona milczał długą chwilę. Twarz miał skupioną i pełną zadumy.

— Dziwne — rzekł oblekając wreszcie myśli w słowa — dzieciom mieliśmy tu do zawdzięczenia niemal każdą naszą radość. Lecz wszelkie bez wyjątku tragedie związane są także z dziećmi. Przed siedmiu laty statek rozbił się u naszych brzegów i ocaliłem Monę z topieli. Gdybym ją teraz stracił, serce by mi pękło. Teraz znów zjawia się Pietrek, którego matka również nie żyje i którego ojciec umarł podwójnie, gdyż ściga go prawo. Losy tego chłopaka przypominają mi pewną historię. Dawno, dawno temu, do St. Annę de Beaupre, w dolinie św. Wawrzyńca, przybył samotny wyrostek, zupełnie jak Pietrek do nas. Rodzice pomarli mu w puszczy na ospę, był zgłodniały i w łachmanach. I tak samo jak Pietrek Monę, tak on spotkał pewną dziewczynkę. Walczył dla niej potem i ożenił się z nią, gdy dorósł. To właśnie żona moja, Józia. Mam nieraz wrażenie, że Pietrek i ja stanowimy jedno. Więc tak sobie myślę...

Nie skończył urywając wpół słowa, ale Szymon Mac Quarrie skinął głową na znak, że rozumie.

— Bywa, bywa! — rzekł.

Mona wiodła Pietrka skrajem iglastej gęstwy, zbiegającej aż ku białym piaskom środkowego półwyspu.

Chłopak miał jedno oko zupełnie zamknięte opuchlizną. Wargi zbrzękły mu silnie, zaś posiniaczoną twarz okrywała skorupa błota i krwi. Czuł się na nogach dość niepewnie. W uszach mu szumiało i ledwo co widział idąc. Zielony bór zamazywał się mgliście; słońce świeciło niby przez gęsty tuman. Twarzyczkę Mony, promieniejącą radosną dumą, oglądał tak niewyraźnie, jakby ją przesłaniała kilkakrotnie złożona gaza.

Lecz mimo opłakanego zewnętrznego wyglądu, serce Pietrka było pełne szalonego szczęścia. Dotrzymał obietnicy danej Monie, Szymonowi Mac Quarrie'owi oraz Piotrowi Gourdonowi, gdyż pokonał Aleclá Curry'ego. Bezczelny tłuszcioch musiał skamleć o łaskę, a najzabawniejsze było to, że Mona oglądała na własne oczy klęskę natręta i wygraną swego szermierza.

Pietrek musiał zużyć wiele energii dla zachowania spokojnej i pełnej godności miny. Mona prowadziła go za rękę. Twarzyczkę miała rumianą, oczy zaś świecące niby gwiazdy. Nie mógł zapomnieć pocałunku, jakim go obdarzyła, słodkiego i tak bardzo niespodziewanego daru, którym nagrodziła zwycięzcę. Pietrek nie był przyzwyczajony do pocałunków. Od śmierci matki nikt go nie pieścił, a matkę pamiętał bardzo słabo. Prawda, ojciec całował go co wieczór na dobranoc, ale to jednak było zupełnie co innego. Dotknięcie warg Mony zostawiło po sobie miły niepokój.

— Wiedziałaś, że dasz mu radę, Pietrek — mówiła Mona, przy czym głos drżał jej z radości. — Czułam, że potrafisz! Czy bardzo cię boli oko?

— Nie bardzo.

— Widzisz cokolwiek?

— Nawet wcale dobrze.

Westchnęła głęboko ze szczerym uznaniem.

— Nadbiegłam właśnie w porę, żeby być świadkiem, jak ugryzłeś Alecka w ucho. Ależ wrzeszczał!

Pietrek doznał wyrzutów sumienia,

— To nie jest w porządku gryźć czyjeś ucho — przyznał — ale on mi je po prostu wetknął do ust,

więc nie mogłem wytrzymać!

— Szkoda, że nie odgryzłeś mu nosa! — rzekła Mona. — Gdybym była chłopcem i mając takie zęby jak ty, złapała go za ucho, nie puściłabym go tak łatwo!

— Jeśli chcesz, jutro mogę mu znów sprawić lanie? — hojnie zaofiarował Pietrek.

Skręcając obok półwyspu szli teraz w górę zielonego zbocza, ku osadzie. Pietrek słyszał lepiej niż widział. Obijało mu się o uszy pokrzykiwanie mew, śpiew drobniejszych ptasząt i brzęczenie piły tartaku. Mona znajdowała się od strony zamkniętego spuchlizną oka, toteż o ile nie przekręcił głowy w jej kierunku, nie mógł jej wcale dostrzec. Aż się spocił na myśl, że dziewczynka obserwuje go ponownie i bada wszelkie skaleczenia zadane przez Alecka. Poczucie triumfu zanikało, rodził się natomiast wstyd, że jest tak pokiereszowany i wygląda z pewnością potwornie.

— Jutro będzie już lepiej — bąknął.

— Co takiego?

— Moja twarz. Wyglądam na pewno komicznie.

— O wiele mniej komicznie niż Aleck Curry! — pocieszyła go Mona. — A jeśli ktokolwiek poważy się z ciebie śmiać, po tym co zaszło...

Obracając głowę Pietrek ułowił groźny błysk jej ciemnych oczu. Mimo że się opierał, pociągnęła go do chaty Jamesa Clamarta i przez otwarte drzwi zmusiła, aby wszedł do wnętrza. Adetta Clamart pochylała się właśnie nad kołyską swego synka. Na widok Pietrka, którego Mona nadal prowadziła za rękę, młoda kobieta kurczowo chwyciła ustami powietrze. Wielkie błękitne oczy rozszerzyły się jej jeszcze bardziej; wtem, ku zgrozie Pietrka, wybuchnęła śmiechem.

Mona skoczyła ku niej.

— Addetto, nie wolno ci się śmiać! — krzyknęła oburzona. — Gdybyś ty widziała, gdybyś tylko widziała, jak on stłukł Alecka Curry'ego!

— Ale to jego oko! — tłumaczyła Adetta dusząc się ze śmiechu. — Mówię o tym oku, które jest otwarte! Jak on zabawnie patrzy!...

— Mimo to jest o wiele przystojniejszy teraz niż James Clamart był kiedykolwiek! — odparła Mona z całą pasją i dumą swych, dwunastu i pół lat. — Nie ma w każdym fazie nosa jak kaczy dziób, a zobaczysz, że kiedy twój mały dorośnie, będzie miał właśnie taki nos!

— Ale to oko, to oko! — parskiła nadal Adetta śmiechem. — Czemu jest takie szkliste i wyłupiaste? Wiesz, Mono, to mi zupełnie przypomina moją nową solniczkę ze szklaną główką!! Cha, cha, cha...

— Adetto Clamart!

Pietrek ogłupiały i milczący przyglądał się, jak Mona wlecze Adettę do kuchni. Niby przyciągnięte magnesem oko jego szło w ślad za nimi, więc Adetta, obejrzawszy się, wybuchnęła znowu niepohamowanym śmiechem. Potem drzwi się zatrzasnęły. Spoza tych drzwi dolatywało ożywione trajkotanie, przy czym oburzony głos Mony górował niejednokrotnie. Pietrek czuł się tak, jakby go całego zlano wodą. Ubranie lepiło się na nim od potu i zupełnie stracił rezon. Wyobraził sobie, że wygląda doprawdy okropnie.

Zobaczył małego Telesforka, przyglądającego mu się ponad krawędzią kołyski. W tłustej łapce dziecko trzymało zamknięty scyzoryk, prezent Pietrka sprzed paru godzin. Pietrek zbliżył się i uśmiechnął do niedawnego przyjaciela. Wysilek ten kosztował go niemało bólu. Dziecko szeroko otwarło buzię, gapiąc się na dziwnego przybysza. Nie poznawało go wcale. Poranna poufałość znikła i zamiast jowialnej radości w błękitnych oczkach malowało się zdziwienie.

Wtem, jak gdyby pragnąc nowej zabawki, Telek opuścił scyzoryk i sięgnął do jedyne go oka Pietrka.

Pietrek cofnął się. Adetta nadal chichotała w kuchni, a Telek go nie poznawał. Przypomniawszy sobie, że na ścianie wisi małe lustro, pośpieszył więc ku niemu. Aż mu dech zapało, gdy się przejrzał. Był tak zmieszany, że odniesione niedawno zwycięstwo zeszło na drugi plan. Poczucie dumy znikło. Chyłkiem, jak najszybciej wymknął się przez otwarte drzwi, i powędrował w stronę tartaku w nadziei, że zdoła się ukryć poza kopcami trocin, zanim Mona spostrzeże jego ucieczkę.

Jakoś mu się udało dotrzeć do chaty Szymona Mac Quarrie'a i skręcił już nawet za węgiel, gdy niespodziewanie wpadł prawie na drobnego człowieczka o wielkiej, zwichrzonej siwej czuprynie, okrągłej, rumianej twarzy i oczach, najpierw zdumionych, potem zaś pełnych wesołych iskerek. Pietrek widział tego człowieka po raz pierwszy, lecz poczuł doń od razu instynktowną sympatię. Obcy zatarł ręce i uśmiechnął się w sposób wzbudzający *przyjaźń* i zaufanie. Pietrek spróbował odpowiedzieć uśmiechem, mimo że za najmniejszym grymasem pokaleczona twarz bolała go bardzo.

— Miałem bójkę! — wyznał z humorem, gdyż nieznajomy najwyraźniej oczekiwał jakiegoś wyjaśnienia. — Biłem się z Aleckiem Currym.

— I stłukł cię? — zagadywał tamten.

— Nie, proszę pana, To ja dałem mu szkołę! Biłem póty, aż prosił zmiłowania i musiał mi jeszcze obiecać, że nigdy więcej nie będzie napastował Mony, ani jej zwierząt. Mona o tym wie. Widziała nas.

Nieznajomy oparł dłoń na ramieniu Pietrka. Był to bardzo miły dotyk. Pietrek poczuł, jak mu wraca zachwiana pewność siebie.

— Choć, Pietrku, opatrzę ci skaleczenia. Bo tak się przecież nazywasz, wszak prawda, Pietrek Mac Rae?

— Tak, proszę pana.

Weszli do chaty. Nieznajomy czuł się w chacie Szymona Mac Quarrie'a zupełnie jak u siebie w domu, gdyż bez żadnego trudu znalazł od razu skrzynkę z lekarstwami i zabrał się wnet do obmywania i opatrywania udręczonej twarzy Pietrka.

— Aleck jest zawiadką! — rzekł. — Mam nadzieję, że dałeś mu dobrą szkołę, ale on jest znacznie od ciebie większy. Czy nie boisz się, że się kiedyś zemści?!

Pietrek ruszył głową przecząco.

— Ja już teraz wiem, jak sobie z nim poradzić! Najpierw będę uciekał, żeby go zmęczyć, a skoro się zadyszy, zawrócę i sprawię mu lanie. Mogę go znowu zbić jutro, jeśli tylko Mona zechce!

— Doskonale! — uśmiechnął się nieznajomy.

Twarcz miał coraz różowszą, w oczach zaś figlarne ogniki, co się ogromnie Pietrkowi podobało.

— Nie próbowałbym jednak w niedzielę! — doradził po chwili. — Bójka w dzień świąteczny nie przynosi szczęścia! Jeśli natomiast poczekaś do poniedziałku, wezmę cię do lasu i pokażę parę chwytów, które mogą ci się bardzo przydać przy okazji. No, a gdyby to tak można urządzić niepostrzeżenie, to bym się z przyjemnością przyjrzał twojej rozprawie z tym Aleckiem Currym.

— Lubi pan bójki?

— W dobrej sprawie, owszem.

Pietrek zadumał się, podczas gdy jego miły towarzysz umiejętnie bandażował zapuchnięte oko.

— Niedziela to wcale nie taki zły dzień dla rozprawy! — ozwał się wreszcie. — Pan mógłby wywabić Alecka gdzieś do lasu, pod pretekstem, że mu się coś ciekawego pokaże, a ja zjawiłbym się w odpowiedniej chwili. No i załatwiłoby się to raz-dwa. Ja się wcale nie obawiam niedzieli.

Nieznajomy roześmiał się pod nosem.

— Nie tyle myślę o tobie, chłopcze, co o sobie. W niedzielę nie wolno mi zapomnieć o obowiązku dla dogodzenia przyjemności. Jutro muszę mieć kazanie.

— Co takiego?!

— Kazanie. W tym małym kościółku. Jestem ojciec Albanel, Pietrku.

Po raz drugi tego dnia Pietrek doznał wrażenia, że się pod nim ziemia kołysze. Ojciec Albanel! Mona wspominała mu parokrotnie o tym niezwykłym misjonarzu leśnym, który, nie mając określonej parafii ani nawet dokładnie ustalonej religii, wędrował setki mil poprzez najdzikszą puszcę, głosząc wszędzie pokój i słowo Boże. Raz na dwa, czasem raz na kilka tygodni, ojciec Albanel odwiedzał osadę Pięciu Palców.

— Wszyscy osadnicy, myśliwi, traperzy kochają go! — dodała jeszcze Mona. — Jest zresztą tak strasznie dobry, że sam Bóg chyba kocha go najbardziej! To on pochował matkę moją i ojca...

Więc to był ojciec Albanel, ów drobny człowieczek, o wesołej, rumianej twarzy i mrugających żartobliwie oczkach. A on, Pietrek, zupełnie jak głupi ofiarował mu się z bijatyką w niedzielę! Stropiony Pietrek przestępował z nogi na nogę. Czuł, jak po szyi i karku gorąca krew uderza mu do głowy. Oblizując suche i zbrzęknięte wargi usiłował wyjść z honorem.

— Nie wiedziałem, że pan jest kaznodzieją! — rzekł. — I kto wie, może pan ma rację, że w niedzielę nie należy się bić!

Ojciec Albanel pogładził łagodnie szczupłe ramię wyrostka.

— Należy się bić zawsze, Pietrku, ilekroć wymaga tego słuszna sprawa! Bóg lubi tych, co kochają pokój, ale nie znosi tchórzy. Otóż tylko tchórz odmówiłby pomocy Monie. Czy przyjdiesz jutro do kościoła na kazanie?

— Przyjdę! — skwapliwie obiecał Pietrek.

Gdy ojciec Albanel odszedł, chłopak wgramolił się po drabinie na swój stryszek, pachnący słodko żywicą od kryjących dach gontów jodłowych, i tam rozebrał się z trudem. Słońce skłaniało się już ku zachodowi; ustał szum tartaku. Ptaki ćwierkały pieśń wieczorną.

Była niezaprzeczalnie pora kolacji, lecz Szymon Mac Quarrie spóźnił się. Minęło dobre pół godziny, zanim Pietrek usłyszał, jak stary Szkot wraca do domu. Podszedł od razu do drabiny i wlaź na górę. W półmroku pochylił się nad Pietrkiem.

— Źle się czujesz, chłopcze?

— Nie, proszę pana.

Szymon ukląkł obok rozłożonego na ziemi posłania.

— Opowiadano mi o walce — rzekł, przy czym głos nienawykły do pieszczotliwych brzmień, drżał mu trochę. — Najpierw opowiadała Mona, później Adetta. Poszedłem też na barcę, żeby się rozprawić z Izaakiem Currym i jego synalkiem. Ale wiesz co, Pietrek, gdy zobaczyłem Alecka, przykre słowa ugrzęzły mi w gardle. Jestem z ciebie dumny!

W ciszy, jaka teraz nastąpiła, pochylił się nieco niżej nad Pietrkiem.

— Zjadłbyś może co?

— Nie mogę jeść! — wytłumaczył Pietrek chrapliwie. — Twarz tak mi spuchła, że nie ma mowy...

Wtenczas szorstkie usta Szymona Mac Quarrie'a dotknęły czoła chłopaka. Był to pierwszy pocałunek starego Szkota od wielu, wielu lat.

— Dobranoc — szepnął — jesteś nieodrodnym synem Donalda Mac Raego!

Pietrek słuchał jego ciężkich kroków z wolna zstępujących po drabinie.

Rozdział XI

MIŁOŚĆ

Tej nocy księżyc nie pojawił się wcale.

Na ziemię spadł czarny mrok, a wraz z zupełną ciemnością nadeszła upalna, głucha cisza, przerywana jedynie niskim, dalekim grzmotem przewalającym się ponad borem.

W jakiś czas po odejściu Szymona Pietrek zwlókł się z pośłania, i siedząc przy oknie zapatrzył się w ciemność. Powietrze było duszne, jakkolwiek przebijała już w nim nieśmiało rzeźwiąca zapowiedź deszczu. Niebawem delikatny, chyży szmer przeleciał pośród czubów sosen oraz jodeł i wnet pierwsze krople ostrożnie zabębniły po dachu.

Tuż strzelił grom, a jaskrawe światło błyskawic przecięło mrok nocy niby sztylety ogniste. Deszcz przeobraził się w ulewę, od której chata się trzęsła. Lecz strugi wody biły z góry, nie wdzierając się przez okno. Pietrek nie ruszył się zatem. Jak daleko sięgnął pamięcią, ojciec uczył go zawsze, że nie należy się wcale bać piorunów ani błyskawic, toteż częstokroć przyglądali się wspólnie szalejącej burzy podziwiając jej nieziemskie piękno oraz tajemniczą potęgę.

Jakże tęsknił dziś do ojca, do jego miłego głosu, czulej i przyjaznej obecności. Niemądrze wytrzeszczał jedyne zdrowe oko, wodząc nim badawczo po polanie, ilekroć zygzak błyskawicy zalewał krajobraz białym światłem. W świetle tym dostrzegał tartak: szkielet budynku na tle ognistego nieba, drzewa, chaty, ułamany pień, w dziupli którego gnieździły się wiewiórki-polatuchy, oraz mroczny skraj boru. Nie zdawał sobie wcale sprawy z tego że ma upośledzony wzrok; zapomniał o bóju, o wygranej, nawet o Monie Guyon. Myślał wyłącznie o ojcu, przy czym obok wielkiej tęsknoty i poczucia samotności doznawał bezzasadnej nadziei. Nuż ojciec dotrzyma obietnicy, nuż w świetle błyskawic wynurzy się z lasu i będzie szedł przez polanę... Czekał z bólem serca. Nie zdając sobie sprawy z tego, popłakiwał nawet cichutko.

Dopiero gdy pojął wreszcie prawdę, oderwał się od okna i wpełznął między dery, leżał skulony i milczący. Nie żywił nigdy względem nikogo uczucia nienawiści, nawet w stosunku do Alecka Curry'ego także nie. Teraz poczynał nienawidzić coś czy kogoś. Nienawidził ludzi, ścigających jego ojca, a podświadomie także i prawo, tę ślepią siłę, przed którą drżeli zarówno Szymon, jak i Donald Mac Rae.

Ach, gdybyż tylko ojciec wziął go ze sobą! Gdyby mogli być teraz razem, daleko w puszczy, pod byle drzewem czy wykrotem, skuleni na deszczu, gdziekolwiek, byle wspólnie!...

Po co ojciec go okłamał, obiecując, że wróci na pewno lada dzień?! Po co odesłał go samego do Pięciu Palców?! Pietrek powstrzymał łkanie, wzbierające w gardle. Wiedział dobrze, dlaczego. Po prostu ojciec kochał go i chciał mu stworzyć nowy dom pod opieką Szymona Mac Quarrie'a, podczas gdy sam będzie się tułał do końca swoich dni.

Więc kryjąc twarz w zgiętym łokciu, Pietrek poddał się rozpacz. Była to milcząca, dławiąca rozpacz, która gryzła serce, lecz nie wybiegała skargą na usta.

Grzmoty i błyskawice minęły, deszcz zaś przeobraził się w monotonną pluchę. Pietrek odnosił wrażenie, że setki drobnych paluszków bębni mu cicho nad głową. Było to nawet pewną pociechą w rozpaczliwej samotności. Mona także słuchała przyjaznego kołatania kropel deszczowych po cedrowych gontach. Jutro znów się zobaczą!

Zrobiło mu się nieco weselej. Mona zaglądała wprost do izdebki na poddaszu, tak iż widział jej błyszczące oczy, czuł dotyk ręki, i... muśnięcie warg. Usypiając, miał ją doprawdy przy sobie.

Lecz zgubił ją we śnie. Pietrek roił, że usiłujewymknąć się z osady Pięciu Palców by dążyć na poszukiwanie ojca, ale Szymon Mac Quarrie chwycił go raz po raz i przemocą zmuszał do powrotu. Wreszcie ucieczka się powiodła. Działo się to nocą. Gramolił się z chaty przez okno, w świetle miesięcznym, mając na grzbiecie tobolek z rzeczami. Zeskoczywszy na ziemię, dał nura w las.

Wtenczas przytrafiła mu się rzecz niezmiernie dziwna. W miejscu, gdzie ojciec go porzucił, znalazł na ziemi ślady. Były wyjątkowo wyraźne, błyszczące nawet, jak gdyby wykute ze srebra, a sięgały daleko w las. Pietrek nie mógł pojąć, czemu jego własne stopy nie zostawiają żadnego odbicia, podczas gdy droga ojca znaczy się tak dokładnie.

Mijały dni i noce, a Pietrek niestrudzenie dążył srebrzystym śladem stóp Donalda Mac Raego. Znalazł się wreszcie w przedziwnym lesie, gdzie drzewa były tak olbrzymie, że czuby ich ginęły w niebiosach. Stąpał po kwiecistym kobiercu. Za każdym krokiem, mimowoli, rozgniatł liliowe fiołki, których słodka woń przesycala powietrze. Szkarłatne mieczyki, dzikie geranium kłaniały mu się w przejściu, tworząc wspaniałe klomby i rabaty w tym czarownym zakątku.

Trafił jakoś w pobliże wodospadu. Dziwny to był wodospad, gdyż zamiast łomotać i szaleć opadał z perlistym śpiewem. Tuż obok tej kaskady stała niewielka chatka, a srebrzysty szlak wiódł prosto do jej progu. Pietrek zbliżył się. Otworzył drzwi wszedł i zobaczył ojca!

Ojciec odwrócił się na spotkanie Pietrka, lecz nie wydawał się wcale zdziwiony. Uśmiechnął się, mając wyraz twarzy szczęśliwy i pogodny, po dawnemu pełen serdecznej przyjaźni.

— Wiedziałem, że niedługo przyjdiesz, Pietrku! — rzekł — czekałem na ciebie!...

Wtenczas właśnie Pietrek zbudził się.

Na dachu ustał już chłopot deszczu. Noc pojaśniała, rozbłysły gwiazdy, a przez otwarte okno bił ciepły dech zroszonej ziemi.

Sen był tak realny, że długo jeszcze po przebudzeniu serce Pietrka łomotało silnie: Chłopak nie spał już do rana, leżąc z otwartymi oczyma póty, aż w nadchodzącym brzasku gwiazdy poczęły blednąć. Wstał wtenczas, zachowując się bardzo cicho, by nie przebudzić Szymona Mac Quarrie'a. Ubrał się i spozierając przez okno w dół, spodziewał się prawie, że zobaczy na ziemi ślady, które pozostawił w nocnej wędrówce. Stwierdził, że nietrudno byłoby wyskoczyć tędy. Wylazł zatem przez okno tyłem, spuścił się w dół, na ile pozwoliła mu długość rąk, i skoczył na miękką po deszczu ziemię.

Udał się teraz nad strumyk, spływający z porośłych borem wzgórz i pagórków. Ptaki poczynaly już świergotać. Najpierw, jak zwykle, odzywały się gile, z półprzymkniętymi jeszcze oczami. Pieśń cicha na razie, rosła i potężniała, aż wypełniła sobą całą polanę na cześć budzącego się dnia.

Do chóru przyłączyły się drozdy, sikorki, w gąszczu leniwie ćwierkały wróble oczekując pierwszych błysków słońca. Nawet krople wody kapiące z drzew zachowywały rytm i tonacje porannego hejnału.

Niby urzeczone tą melodią wrzaskliwe sójki przestrzegały milczenia, wspaniały głuszc cicho przyczał się na pniu, nie czyniąc najmniejszego szmeru, opodal zaś wielka, popielata sowa w obawie przed dzienną światłością szukała chyłkiem mrocznego jakiegoś zakątka.

Las był wspaniały niby katedra, a symfonia leśna zalała duszę Pietrka falą głębokiej nadziei i ufności. Gdzieś, daleko, ojciec słucha także śpiewu ptasząt. Ojciec czeka również wschodu słońca. Pietrek pomyślał podniecony, że jeśli ojciec nie wróci, to on po prostu zrobi to, co uczynił we śnie: sam pójdzie go szukać! Miał pewność absolutną, że potrafi znaleźć ślad właściwy.

Rozebrał się na brzegu strumyka, gdzie woda miała temperaturę odpowiednią dla kąpieli, pływał czas jakiś i wyszedł potem na ląd wciąż jeszcze przejęty tymi samymi myślami. Zanim wrócił na polanę, pierwsze promienie słońca przedzierały się przez gałęzie otaczających drzew. Oko, wczoraj

tak zapuchnięte, że nie mógł wcale unieść powieki, dziś widziało już coś niecoś. Obrzęk ust zginął niemal całkowicie.

Szymon przyrządzał właśnie śniadanie; widząc wchodzącego Pietrka, zdziwił się wielce, że chłopak zjawia się w drzwiach, zamiast zejść w dół po drabinie.

Sprytny Szkot, obserwując wyrostka w ciągu następnej godziny, zauważył w nim niejedną zmianę. Pietrek był niespokojny i wciąż zadawał pytania. Dokąd ojciec mógł się udać? Czy w liście do Szymona nic o tym nie wspomniał? Szkot przecząco ruszał głową, na pół zgadując, co Pietrek ma na myśli. W obojętnej na pozór pogawędce opisał mu ogrom puszczy. Przepastne bory rozpościerają się w kierunku północnym na przestrzeni tysiąca mil, a na wschód i zachód pokrywają przestrzeń dwakroć większą. Można błędzić wśród nich całe życie.

Ale Pietrek nie dał się zniechęcić.

— Mam wrażenie, że mimo wszystko potrafię ojca znaleźć? — rzekł. — Jeśli ojciec nie wróci niebawem, spróbuję...

W miarę jak mijały godziny poranne, myśl ta prześladowała go coraz uporczywiej. Szymon wyczyścił jego odzież i zacerował największe dziury, twierdząc równocześnie, że dostanie nowe ubranie, skoro tylko uda się je sprowadzić z miasteczka przy kolei. Gwarzył także o przegranej Alecka, o Monie, i o nadzwyczajnej kolonii bobrów, oddalonej zaledwie o dwie mile od osady Pięciu Palców. Lecz Pietrek tak był pochłonięty swymi planami, że nic innego nie miało doń dostępu. Nie chciał się zwierzać Szymonowi, że niebawem wyruszy na poszukiwanie ojca. Może dzisiejszej nocy, może jutrzejszej, w każdym razie skoro tylko wyładuje sobie jako tako plecak na drogę.

Słońce stało już wysoko, gdy dostrzegł Monę wychodzącą z chaty Piotra Gourдона, pośpieszył zatem na jej spotkanie. Był nieco zmieszany, gdyż musiał się usprawiedliwić, dlaczego wczoraj porzucił ją tak niespodzianie i uciekł od Clamartów jak głupi. Ale stropił się do reszty, skoro się Monie przyjrzał.

Sprawiała wrażenie niemal dorosłej osoby, zupełnie jak Adetta, a w każdym razie nie przypominała w niczym małej dziewczynki, która tak dzielnie pomogła mu w walce z Aleckiem Currym w dniu pierwszego spotkania. Ubrana cała na biało, włosy miała rozpuszczone, faliste i migocące w słońcu. Ciemne oczy były tak piękne, że Pietrek zapomniał języka w gębie, skoro spotkał jej spojrzenie.

Mona zdawała sobie częściowo sprawę ze swej niezwyklej urody, a spostrzegłszy, co za wrażenie wywiera, zarumieniła się z radości.

— To jest moja niedzielna sukienka! — oznajmiła, chcąc dopomóc Pietrkowi zwalczyć zmieszanie. — Czy ci się podoba?

Pietrek przestąpił z nogi na nogę.

— Wyglądasz jak mewa, biała mewa z czarnym czubkiem! — rzekł. — Ale co powiesz o mnie?

Obrócił się na pięcie, by mogła dowoli obejrzeć łaty i cery pracowicie ześcibione przez Szymona.

W oczach Mony zgasły wesole ogniki. W chwili, gdy Pietrek, obrócony plecami, nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy, w rysach dziewczynki odzwierciedliło się współczucie, serdeczna czułość i coś na kształt przelotnego cierpienia, jak gdyby ją uraziły drwiące słowa chłopca.

— Wystroiłam się specjalnie dla ciebie! Oto, co ci powiem.

— Mam także lepszą odzież! — zapewnił Pietrek, ugłaskany — Ale opuściliśmy dom tak niespodzianie, że nie zdążyłem niczego ze sobą zabrać!

— Bardzo się z tego cieszę! Lubię ciebie takiego, jakim jesteś! Czy ty mnie także lubisz, Pietrku? Naprawdę lubisz?!

— Bardzo.

— To znaczy jak?

Pietrek zastanowił się, jakie by tu uczynić porównanie.

— Lubię cię najwięcej po moim ojcu!

— W takim razie dlaczego uciekłeś ode mnie, gdy byłam w kuchni z Adettą Clamart? — surowo spytała Mona.

Pietrek poczerwieniał.

— Albo ja wiem! Pewno dlatego, że nie lubię, gdy się ze mnie ludzie śmieją. Nawet ten mały Telek mnie nie poznał!

Głęboki głos dzwonu przetoczył się nad polaną. Pietrek odetchnął silnie, słuchając.

— Słyszałem już kiedyś głos dzwonów kościelnych — rzekł. — Trochę go jeszcze pamiętam.

Mona dotknęła ręki chłopca.

— Przyszłam, żeby cię *zabrać* do kościoła. Ojciec Albanel mówił mi, że obiecałeś pójść.

Ruszyła w dół zbocza. Idąc obok, Pietrek zastanawiał się nad tym, co za magiczną siłę posiada głos dzwonu, że na jego wezwanie otwierają się natychmiast drzwi wszystkich chat. Oto Piotr Gourdon wyszedł na próg wraz z żoną, przy czym Józia była cała na białą, tak jak Mona. Maria Antonina, śpiesząca wraz z mężem i dwojgiem dzieci na powitanie teściów, sprawiła na Pietrku wrażenie powiewnego anioła. Nawet Gertruda Poulin, niemal tak szeroka jak wysoka, nosiła suknię nieskalanie białą, zupełnie jak te mewy gniezdzące się masami na środkowym półwyspie.

Dzieci wystrojone, w wykrochmalonych ubrankach, trzymały się sztywno, mężczyźni zaś nosili odświętną odzież, przy czym skóra ich twarzy błyszczała, zeszkrobana brzytwą. Lecz zdaniem Pietrka nikt nie mógł się równać z Moną, nikt, nawet urodziwa Adetta Clamart, która właśnie śpieszyła im naprzeciw. Oczy miała roześmiane, usta szkarłatne, a buntownicze loki falowały wokół jej rumianych policzków. Szła przeprosić Pietrka za niewczesne żarty wczorajsze. Stropił się prawie do łez, gdy niespodzianie ujawszy oburącz jego głowę, Adetta pocałowała go w to samo zapuchnięte oko, z którego się tak śmiała wczoraj.

— Okropnie się wstydzę, Pietrku! — rzekła. — Ale byłeś taki zabawny!

Zemknęła lekko niby jeden z ptaków masami gniezdzących się wokół polany. Biegła do męża, który właśnie nadchodził niosąc na ręku małego Telesfora.

Szkarłatna łuna oblała twarz Mony.

— Nie chcę, żeby Adetta Clamart robiła takie rzeczy! — wybuchnęła z gniewem — Jeżeli twoje oko wymaga koniecznie pocałunków,...

Pietrek przecierał tymczasem powieki wierzchem dłoni.

— Słusznie, słusznie — zachęcała go złośliwie. — Zetrzyj to! Nienawidzę jej!

Pietrek nie odzywał się wcale, lecz skoro już siedli w jednej z drewnianych ławek małego kościółka, zauważył, iż piękne oczy Mony ciskają nadal iskry gniewu w stronę Adetty Clamart. Adetta uśmiechnęła się przebiegle i skinęła głową porozumiewawczo, ale Mona nie raczyła dać żadnej odpowiedzi. Podniosła tylko nieco wyżej zgrabną bródkę i zapatrzyła się na ojca Albanela, mającego właśnie przystąpić do odprawiania mszy.

Twarz małego misjonarza była jeszcze różowsza, jeszcze weselsza niżli wczoraj, uśmiechał się nawet zacierając ręce, jak gdyby dzień dzisiejszy był najbardziej radosnym dniem jego życia.

Pietrek, rozglądając się ukradkiem, był mile zdziwiony, bowiem ten kościół i ci ludzie nie przypominali w niczym niedzielnych zgromadzeń, w których niegdyś brał udział. Brakło sztywnego nastroju i napuszonej powagi. Wszyscy zachowywali się swobodnie i naturalnie. Nawet surowa twarz Szymona Mac Quarrie'a jak gdyby złagodniała, a na widok Pietrka stary Szkot uśmiechnął się.

Skoro zaś mały Telesforek zaszczebiotał radośnie i zamachał rękami do obecnych, wesoły śmiech przetoczył się wśród zebranych.

Wtem zabrzmiał mały ręczny dzwonek i od razu w kościółku zapanowała głucha cisza.

Pietrkowi zdawało się teraz, że śni i że otaczają go coraz piękniejsze rojenia. Nie słyszał nigdy równie pięknego śpiewu jak ten hymn, który wypełniał małą świątynkę. Mona miała głos czysty i dźwięczny niby skowronek, ulubiony śpiewak Pietrka. W jakiejś chwili spojrzała na swego sąsiada.

— Śpiewaj, Pietrku! — szepnęła zachęcająco.

Wtenczas, nabrawszy odwagi, dobył również głosu, zrazu cicho, potem coraz śmieiej. Chłopięcy tenor wzbil się czysto i wyraźnie. Śpiewali stojąc, gdy zaś ponownie zajęli miejsca, Mona siedziała tak bliźutko, że jej cudowna, biała sukienka ocierała się o kolana Pietrka, a pasmo błyszczących włosów muskało mu dłoń.

— Strasznie mi się twój śpiew podoba! — szepnęła mu na ucho.

Serce kołatało w nim silnie, dłoń drgała nerwowo pod drażniącą pieszczotą włosów. Aż dotąd, aż do tej chwili właśnie sam nie zdawał sobie sprawy, co za gwałtowne uczucia się w nim budzą. Nieznacznie zacisnął palce wokół jedwabistego pasma. Mona nie wiedziała o niczym, nikt o niczym nie wiedział; Pietrek patrzył prosto przed siebie, serce waliło w nim jak szalone, a słodka tajemnica napłynęła mu do twarzy falą gorącej krwi.

Ojciec Albanel mówił, a Pietrek słuchał niby w transie. Najbardziej uderzyły go i najlepiej pamiętał później słowa, w jakich misjonarz wyrażał się o wszystkim co żyje, zupełnie jak gdyby kwiaty lub drzewa miały dusze i serca, a Bóg kochał puszcę i zwierzęta na równi z ludźmi. Ojciec Pietrka wyrażał się co prawda nieraz w podobny sposób, tylko nie umiał tego ująć tak pięknie. Głos ojca Albanela brzmiał jak muzyka, silny i dźwięczny, zapadający głęboko w duszę. Słuchano go też w powadze i skupieniu.

Pietrek miał wrażenie, że misjonarz spogląda specjalnie na niego, mówiąc o tym, że należy mieć silną wiarę, że jest to najważniejszy czynnik w życiu. Dla udostępnienia dzieciom tego pojęcia ojciec Albanel opowiedział legendę o Nepese, prześlicznej dziewczynie indiańskiej, znanej jako „dziewczyna z pochodnią”. Zupełnie jak gdyby opisywał Monę — myślał Pietrek, połykając każde słowo.

Nepese była najpiękniejszą dziewczyną swego ludu, z oczyma jak urocze źródła i włosami niby cenny czarny płaszcz. Pietrek tak się jej historią przejął, że widział po prostu, jak konają Indianie wytraci zarazą, gdy zaś sama Nepese zmarła od morowego powietrza, chłopak doznał prawdziwego wstrząsu. Lecz konając, Nepese uczyniła ludowi obietnicę: obietnicę niezwykłą! Wróci oto na ziemię jako duch, niosąc Pochodnię Życia i z tą gorejącą pochodnią pójdzie od wsi do wsi, od chaty do chaty, a kto będzie w nią wierzył, ten odzyska zdrowie i szczęście. Nepese dotrzymała obietnicy i odtąd, po dziś dzień, głusza kanadyjska sławi piękną „dziewczynę z pochodnią”.

Gdy ojciec Albanel skończył mówić, Pietrek spojrzał na Monę. Szkarłatne wargi dziewczynki były rozchylone, oczy błyszczące, a tętno na szyi biło tak mocno, że było je widać przez białą skórę. Skoro zaś wszyscy wstali znów, śpiewając, Pietrek trzymał nadal w palcach jedwabiste pasmo włosów, lecz tym razem Mona go dostrzegła i uśmiechnęła się, a Pietrek wcale się nie stropił, że dziewczynka przejrzała jego wielką tajemnicę.

Po błogosławieństwie Mona wyprowadziła spiesznie Pietrka z kościoła, zachowywała się jednak z wielką godnością, dopóki myślała, że Adetta Clamart może ją dojrzeć.

— Nie przemówię do niej dziś ani słowem! — zwierzyła się Pietrkowi.

Idąc brzegiem jeziora minęli przycumowaną barkę i dostrzegli Alecka Curry'ego siedzącego na rufie i łapiącego ryby na wędkę. Mona objaśniła, że zarówno Aleck jak i jego ojciec nie zagląдают

nigdy do kościoła.

Dotarli wreszcie do wąskiej, stopami ludzkimi wydeptanej ścieżki, której Pietrek dotychczas wcale nie znał i pół godziny dążyli nią wolno, aż poprzez gęsto zalesiony cypel trafili znów nad jezioro. Był to może najpiękniejszy z okolicznych widoków. Olbrzymie jezioro zdało się pochłaniać świat, a trzy dalekie żagle tworzyły na błękitnej roztoczy trzy srebrne centki.

Dzień był cichy i ciepły, toteż Pietrek zdziwił się, słysząc z dala posępny, głuchy łoskot. Nie mógł zrozumieć, skąd ten głos pochodzi i dopiero Mona powiodła go na urwisty brzeg i pokazała tak zwaną studnię, gdzie przyływ oraz prądy tworzyły ustawiczny, wrzący wir. Co tu się dopiero działo podczas burzy!...

Usiłowała mu opisać, jak to wielkie głązy przybrały postać potwornych bestii, miażdżących wszystko w uścisku. Jak żadne życie nie mogło się im oprzeć dłużej niż parę minut. Znalazłszy płaską, czystą skałę, wygładzoną działaniem fal, siedli oboje, przy czym Pietrek zauważył wielką zmianę zaszłą w twarzy dziewczynki.

— Czy pamiętasz jeszcze swoją matkę, Pietrku? — spytała Mona.

Chłopak milczał dobrą chwilę, wreszcie rzekł:

— Widuję ją często we śnie.

— I teraz także?

— Widziałem ją przedwczoraj,

— Czy jest ładna?

— Tak.

— Moja. mama również jest bardzo ładna. Splótłszy ręce na kolanach, Mona dodała:

— Tutaj właśnie, w pobliżu tych skał, utonęli matka moja i ojciec, Wujek Piotr uwiązał mnie sobie na karku i w ten sposób wyniósł mnie na brzeg.

Opowiedziała mu potem szczegółowo o rozbiciu statku i o tym, że ciocia Józia, ciocia Antosia, ojciec Albanel, i w ogóle wszyscy mieszkańcy osady twierdzą stale, że to prawdziwy cud, że jeden chociażby człowiek uszedł z życiem z tak strasznej burzy. Tą jedną ocalałą istotą jest właśnie ona,

— Ojciec Albanel przychodzi tu nieraz wraz ze mną. Bardzo go lubię. Opowiada mi często o Nepese, Czyż to nie śliczne imię, Pietrku? Znaczy po indiańsku: Pączek Wierzby, A znowu Dziewczyna z Pochodnią, to po indiańsku: Suskwao, Czy podobała ci się ta legenda, Pietrku?

Pietrek skinął głową twierdząco.

— Słuchając, myślałem o tobie! — rzekł, usiłując daremnie uczynić za jednym zamachem trudne wyznanie. — Ojciec Albanel przyglądał się tobie najwyraźniej, gdy mówił o Nepese, Jesteś... byłaś dla mnie taką właśnie dziewczyną z pochodnią, odkąd trafiłem tutaj. Przez ciebie odzyskałem wiarę. I w ogóle nie wiem zupełnie, co bym robił, gdyby nie ty...

Wykrztusiwszy ostatni wyraz, zdał sobie dopiero sprawę, co właściwie powiedział i tak się przejął własnym zuchwalstwem, że po prostu stracił oddech. Mona nie patrzyła na niego. Nie spuszczała błyszczących oczu z połyskliwej gładzi jeziora.

— Więc to dlatego dotykałeś moich włosów, Pietrku?

— Pewnie, że dlatego.

— Lubisz mnie tak bardzo?

Potwierdził skinieniem głowy, czując, iż chwila zbyt jest poważna dla jakichkolwiek słów. Mona przyglądała mu się obecnie. Twarzyczkę miała tak pełną powagi, że sprawiała przez chwilę wrażenie osoby o wiele starszej, prawie dorosłej. Oczy miała dojrzałej kobiety, spokojne, trochę zadumane i obserwowała go długo bez zmrużenia powiek.

— Ja także lubię ciebie, Pietrku! — stwierdziła wreszcie. — Lubię cię tak bardzo, że nie chcę,

żebyś kiedykolwiek opuszczał osadę.

— Ja także nie chcę już stąd odejść. Nawet gdyby ojciec wrócił.

— Wróci na pewno.

Odpowiedź przyszła bez namysłu, podana głosem tak dźwięcznym, że Pietrek poczuł radosne drżenie. Mona siedziała wyprostowana, powiew wiatru zaś zburzył jej włosy, aż falowały i unosiły się w powietrzu wokół drobnej głowy. Pietrek, spoglądając na nią z bijącym sercem, myślał znów o ojcu Albanelu i o Indiance Nepese, a głęboka wiara w dobro i szczęście udzieliła mu się za przyczyną tych dwojga.

Miał wielką ochotę, wyciągnąwszy rękę, musnąć chmurę ciemnych włosów Mony i powiedzieć jej, że wierzy. Lecz nie śmiał. Nie poruszył się więc, ani przemówił. Mona zresztą zdawała się przez chwilę bardzo daleka, zapatrzona w przestrzeń, kędyś poza wrzące kłębowisko wirów. Ręce trzymała wciąż splecione na kolanach. Dopiero głos Jamesa Clamarta, nawołujący donośnie ze szczytu pobliskiego urwiska, przerwał głuchą ciszę.

Mona drgnęła, lecz nie podniosła głowy. Wiedziała, że tam w górze stoi również Adetta, uśmiecha się do nich, i czeka tylko na najmniejszy znak, by wesoło pomachać ręką. Spokojnie i godnie Mona rzekła do Pietrka:

— Co do tej Adetty Clamart, musisz mi obiecać, że nie pozwolisz się jej nigdy więcej całować.

— Ależ naturalnie, obiecuję! — skwapliwie zgodził się Pietrek.

— Do końca życia?

— Do końca życia!

— Przeżegnaj się!

Pietrek nabożnie uczynił znak krzyża i powtórzył przysięgę.

— Bardzo jestem rada! — rzekła teraz Mona. — Nie lubię pocałunków, ale jeśli będzie ci na tym zależało, zrobie to sama zamiast Adetty!

Przy tych słowach głos jej zabrzmiał tak władczo i energicznie, że Pietrek poczuł się naraz tak bezradny jak niewolnik okuty w kajdany.

W ciągu następnych dni i tygodni owe więzy zacisnęły się jeszcze, obezwładniając go całkowicie; niewola była silniejsza nawet niż tęsknota za ojcem. Świat Mony stał się jego światem. Począł się dostosowywać do trybów maszynierii; do zabaw i-obowiązków. Uczęszczał do szkoły. W wolnych godzinach pracował przy tartaku, pomagał przy siewach wiosennych, a na jesieni przy obróbce pól.

Latem Mona wraz z Pietrkiem spędzali wiele czasu w chłodnych głębiach boru. Na dalekich włościach byli wprost nierozłączni. Ulubionym celem wycieczki, szczególnie w popołudnia niedzielne, była kolonia bobrów, oddalona o półtorej mili od Jeziora Superior, ukryta wśród stromych pagórków i wzgórz. Żeremie bobrowe stanowiły własność Mony i zgodnie z niepisanym prawem osady Pięciu Palców nikt nie ważył się mącić ciszy tego zakątka, czy to przy pomocy siodeł czy strzelby.

— Przed pięciu laty — opowiadając Pietrkowi Mona — cztery stare bobry opuściły jedno z żeremi położone głębiej w puszczy i właśnie ona sama z wujkiem Piotrem spostrzegła je, budujące pierwszą tamę w tym miejscu. Obecnie kolonia liczy około trzydziestu głów. Od dawna już przestały się jej bać, a niektóre nawet oswoiły się z nią tak dalece, że pozwalają się gładzić.

Obecność Pietrka jednakże wzbudziła na razie popłoch; ilekroć towarzyszył Monie, zwierzątka kryły się po domkach i tylko czasem czubek nosa wystawiały nad wodę. Lecz z czasem przywykły także i do niego, a skoro powietrze tchnęło chłodnym powiewem jesiennym, nie uciekały wcale na widok chłopca. Mógł zatem obserwować do woli, jak pracują, jak się bawią, więc wraz z Moną

spędzał długie godziny nad ciemną wodą uroczego stawu.

Rozdział XII

ZARAZA

We wrześniu posępna i złowieszcza ciemność wypełzła z głuszy otaczającej osadę Pięciu Palców.

Złota jesień, babie lato, zwane tu latem indiańskim, pora barwna i promienista zginęła, zanim się narodziła. Liście brzoźowe nie pożółkły, i nie wyłocily się jak zazwyczaj, tylko zrudziały szpetnie, topole znów potracily liście przed pierwszym już przymrozkiem. Borówki były różowe, nie czerwone. Ciężkie mgły, niby szare chusty, włoczyły się pośród wzgórz, gdy tymczasem na bagniskach i mokradłach króliki marły setkami i tysiącami na tę tajemniczą chorobę, zwaną „chorobą co siedem lat”.

Mężczyźni osady Pięciu Palców, szczególnie zaś Piotr Gourdon oraz Dominik Beauvais, którzy orientowali się w przyrodzie, jak w otwartej książce, obserwowali te znaki z wielkim niepokojem. Piotr pierwszy zwrócił uwagę, że sikorki odlatują na południe o miesiąc wcześniej niż normalnie, że rude wiewiórki gromadzą wielkie zapasy orzechów i szyszek, że gile zbierają się w stadka, co zapowiada ich rychłą ucieczkę.

Pewnego dnia, o zachodzie słońca, klucz dzikich gęsi ukazał się na niebie. Szybko i wysoko mknęły na południe.

Piotr Gourdon wskazał je ręką.

— Gdy dzikie gęsi uciekają tak we wrześniu, znaczy to, że zima będzie ciężka. Jedyne dwa razy byłem tego świadkiem. Ostatni raz, dwa lata przed tym, zanim sprowadziliśmy się do Pięciu Palców; wybuchła wtenczas zaraza i srożył się głód. No, a za pierwszym razem...

Umilkł i wzdrygnął się, bowiem ten pierwszy raz przypadł na czasy jego dzieciństwa, gdy matka i ojciec zmarli w lesie od zarazy, on sam zaś, konający prawie z głodu, przywłókł się resztką sił do St. Anne de Beaupré.

Noce były coraz chłodniejsze, pełne żalosnego wycia wichru; dni omroczone niebem barwy popiołu, przez które słońce przedzierało się z trudem, z rzadka tylko świecąc i grzejąc; gęganie dzikich gęsi lecących na południe odzywało się coraz częściej. Pietrek słyszał je nocami, gdy tak leciały przy blasku gwiazd z dalekiej północy, obwieszczając z podniebnej wyżyny swój spieszny przelot.

Równocześnie wśród jarów, wzgórz, ostępów leśnych odzywało się wycie wilcze, więc Piotr Gourdon łowiąc niespokojnym uchem chrapliwe głosy, zwierzał się stroskany Dominikowi Beauvais'mu:

— Tej zimy wilki będą głodne! Gdy zaś głód ściąga stada wilcze, klęska głodowa grozi wszystkim!...

Lecz najbardziej byli zmartwieni masowym wymieraniem królików. Zwierzątka padłe od zarazy wały się wszędy, nawet na progach chat, pewnego dnia zaś Pietrek naliczył ich taką ilość w jednym z zakątków bagniska, że Szymon Mac Quarrie, słuchając relacji wychowanka, wytrzeszczył oczy niedowierzająco.

Zaraza królicza powraca okresowo, czasem co siedem, czasem co dziewięć lat, lecz ani Piotr Gourdon, ani Dominik Beauvais, ani Szymon Mac Quarrie, żaden z nich nie widział nigdy, by klęska przybrała takie rozmiary. Przy tym wycie wilcze coraz bliższe, coraz bardziej groźne i te noce lepkie od chłodnej mgły, wszystko to budziło w sercu Piotra złe przeczucia, zabobonną trwogę zrodzoną w

tragicznych czasach dzieciństwa.

Nadeszła wreszcie noc tak mglista, jakby gęsty dym rozsnuł się wszędy i nocy tej wielkie, szare gęsi kanadyjskie nadleciały z północy taką *zgrają*, że wypełniły niebo nad osadą skrzydlatym potopem. Tysiące ptaków opadło na półwysep i na polanę dla krótkiego wypoczynku. Gęganie ich, brzmiące jak nieprzytomny bełkot tłumu wariatów, całkowicie uniemożliwiło sen.

Rankiem Pietrek zobaczył ciemne od ptactwa wody i łęgi nad jeziorem. Gdy skrzydlate bataliony i pułki porwały się znów do lotu, czyniły taki łoskot, że nie tylko powietrze, lecz i ziemia również zdały się drżeć. Piotr Gourdon obliczał ruchome mrowie na dziesięć tysięcy par skrzydeł. Pietrek nigdy nie przypuszczał, by na całym świecie istniała taka moc dzikich gęsi. Dziwił się również, dlaczego nikt z osadników nie upolował ani jednego ptaka.

— Dzika gęś kojarzy się w pary raz tylko — tłumaczył mu Piotr Gourdon— Gdy jedno z pary zginie, samiec lub samica nie szukają innego towarzystwa, lecz do końca swoich dni żyją samotnie. Posiadają taką wierność, taką pamięć, jaką człowiek nie może się szczycić. Zabić dziką gęś, to prawdziwa zbrodnia!

W zadumie spojrzął w górę, obserwując przez chwilę jeden z kluczy mknących po niebie.

— A ponadto szara gęś żyje sto lat! — dodał.

W październiku te spośród królików, które oszczędziła zaraza, zmieniły szare futerko na śnieżnobiałą turzycę, a wiatr uparcie dał z północy na południe. Śnieg spadł wcześniej. Cały listopad po wielkim jeziorze hulała mroźna zawierucha oraz szalał wir w tak zwanej studni, pieniać się i rycząc. Ze środkowego cypla pierzchły wszystkie mewy.

Pietrkowi się zdawało, iż zima spadła w ciągu jednej, jedynej nocy. Od początku wieściła coś złego. Słońce nie pokazywało się wcale, Niebo zaciągnęły gęste chmury. Śnieg prószył sypki i ostry, a skoro wiatr nim zamiótł, kąsał skórę, wżerając się w ciało niby drobny śrut.

W grudniu przyszła zmiana. Zawieje ucichły, niebo się trochę przetarło, śnieg zaś sypał dniem i nocą, aż zawałił puszcę po czuby gnących się w zaspach drzew. Zginęły szlaki i ścieżki, wąwozy wypełniły się po wręby. Pewnego dnia Poleon Dufresne konając prawie z wyczerpania, przybył na nartach z miasteczka przy kolei, donosząc, że świat cały tonie w śniegu i że nawet na otwartych przestrzeniach głębokość jego wynosi sześć do siedmiu metrów. Po cichu szepnął coś jeszcze Piotrowi Gourdonowi, Szymonowi Mac Quarrie'owi oraz Dominikowi Beauvais'mu. Straszliwa klęska głuszy, ospa, rozpoczęła już swój niszczący pochód poprzez ziemie północne,

W ślad za głębokim śniegiem pojawił się mróz tak okrutny, że mężczyźni, nie ryzykując śmiertelnego przeziębienia płuc, zaprzestali pracy w borze. Życie wokół osady jak gdyby zamarło. Pomiedzy jeziorem a linią kolejową, na całej wielkiej przestrzeni znalazłbyś z trudem jeden tylko trop racicy, jelenie bowiem i łosie, po piersi brodząc w śniegu, trzymały się gąszczy krzewów, czerpiąc skąpe pożywienie z przemarzniętych gałązek; karibu natomiast, walcząc z zamiecią, odeszły dalej na północ w poszukiwaniu lepszych pastwisk.

Najpierw więc poczał się srożyć głód,

Drzewa, powleczone lodową szrenią, nie dawały głuszcom obskubywać pączków, drobna zwierzyna ginęła tysiącami pod skorupą śnieżną, tak twardą i zbitą, że człowiek prawie się na niej nie załamywał idąc; lisy i gronostaje ogryzały z głodu korę drzew; z powodu braku białych królików ginęły sowy na tajemniczą niemoc, atakującą je zawsze w latach głodu; puste brzuchy wilcze zaś wlekły je coraz to bliżej ludzkich osiedli, aż przerażone konie, zrywały w stajniach kantary, a krowy tłukły się po oborach rycząc. .

Pietrek słyszał po raz pierwszy w życiu tego rodzaju wycie wilcze. Czasem po nocy wilki zawodziły z głodu jak dzieci, to znów, gdy daremnie usiłowały wypłoszyć z chaszczy zaszyte tam

jelenie lub łosie, gdy racice i rogi zmusiły je do smrotnej ucieczki — wtenczas głos burej braci zionął śmiertelną nienawiścią,

Z każdym dniem Pietrek jaśniej zdawał sobie sprawę z nadciągającej tragedii. Był to doprawdy „czarny rok”. Na początku stycznia ojciec Albanel zjawił się w osadzie; był wynędzniały, znużony śmiertelnie, oczy miał silnie wklęsnięte, a na policzkach ani śladu zwykłego rumieńca. W kościółku, przed mszą, zwrócił się do swych parafian z prośbą, by zechcieli ofiarować modlitwy za owe tysiące złożone chorobą oraz za setki konających nieszczęśników, Na całej ogromnej przestrzeni od Zatoki Hudsona po Jezioro Athabaska i od Wielkich Jezior po krainę pustynnych barren srożyła się zaraza, mknąc niby wichry od chaty do chaty, od namiotu do namiotu; tu i ówdzie już, w bardziej zapadłych zakątkach. Wielka Kompania Zatoki Hudsona nie nadążała grzebać zmarłych, a dziczące psy bezpieczeństwa wałęsały się po puszczy wraz ze stadami wilków.

Gdy tak słuchali wszyscy w skupieniu strasznej opowieści, twarz Piotra Gourдона przybrała wyraz równie tragiczny, jak twarz ojca Albanela, Mona zaś pociągnęła za rękaw siedzącego obok Pietrka, Oczy miała skupione i trwożne,

— Słyszałam — szepnęła — jak wujek Piotr i ciocia Józia rozmawiali ubiegłej nocy. Twierdzili, że nie obawiają się o siebie, tylko o mnie. Dlaczego o mnie, Pietrku? Ja wcale tak łatwo nie zapadam na zdrowiu!

— Dlatego pewnie, że jesteś dziewczynką. Dziewczynki są zawsze słabsze,

— No więc przypuśćmy, że zachoruję! Co byś uczynił wtenczas? Czy poważylbyś się przyjść mnie odwiedzić?

— Oczywiście!

— Nawet gdyby to była ospa?!

— Przyszedłbym mimo to.

— Strasznie się cieszę, Pietrku! Bo gdybym zachorowała, a ty byś nie zechciał mnie odwiedzić, dręczyłabym się tak bardzo, że na pewno zupełnie nie mogłabym wyzdrowieć!

Tej nocy właśnie, przy wtórze wilczego wycia, szkarłatna dłoń zarazy legła na osadzie Pięciu Palców,

Najpierw powaliła Gertrudę Poulin, więc mąż jej, Jeremiasz, przybił nad drzwiami chaty kawał czerwonej materii, na znak, że należy unikać zapowietrzonego domu. Szkarłatny skrawek trzepocący na wietrze napawał wszystkich trwogą, dzieci zaś obawiały się go bardziej niż wilkołaka przemykającego krawędzią boru; bardziej nawet niż widmowych łowców ścigających wśród chmur widmową zwierzynę, gdyż uprzedzono je zawczasu, że w pobliżu czerwonej chorągiewki czatuje śmierć.

W trzy dni później zachorowała małeńka Tobina, więc z twarzą bladą, lecz spokojną, z oczyma bez śladu trwogi Antosią udała się do chaty nawiedzanej zarazą, by pielęgnować obie chore. Rysy Piotra Gourдона skrzepli wtenczas w kamienną maskę, i tak się zaciął w rozpacz, aż do dnia, gdy James Clamart zaczął walić w drzwi, wrzeszcząc, że i Adettę również powaliła gorączka. Niezwłocznie Józia, ucałowawszy męża i Monę, poszła spełniać obowiązek samarytanki.

Piotr milczał bohatersko, lecz skoro drzwi zamknęły się za Józia, nie wytrzymał i rozplakał się, przy czym utulił Monę tak mocno, aż dziewczynkę zabolął ten uścisk,

Płynęły potem leniwie ciężkie dni, aż pewnego niedzielnego poranka, gdy srożył się mróz i hulały wichry, Jeremiasz Poulin chwiejąc się wyszedł przed próg i uniósł ramiona w niebo. Od domu do domu podano sobie szeptem wieść, że Gertruda już nie żyje.

We dwójkę tylko, nie pozwalając się nikomu zbliżyć, Szymon Mac Quarrie wraz z ojcem Albanelem wykopali pierwszą mogiłę, Zbrojni w łopaty i oskary, bryła po bryle rozbijali zmarzniętą

ziemię na małym cmentarzyku, gdy zaś zapadła ciemność tak głęboka, iż niczyje oko nie mogło ich dojrzeć, pomogli Jeremiaszowi Poulinowi w przeniesieniu zwłok, po czym modlili się na klęczkach nad świeżym grobem.

Zamieszkali później w jednej z szop, odwiedzając jedynie chorych i umarłych. Co rano, przykładając dłonie do ust w formie tuby, Szymon Mac Quarrie zapytywał Pietrka, czy nie czuje się chory, czy nie dokuczają mu dreszcze, zawroty lub ból głowy oraz doradzał chłopcu, by w miarę możliwości nie opuszczał wcale chaty.

Zaraza poraziła z kolei Sarę Dufresne oraz dwoje spośród trojga jej dzieci, Jan Croisset zaś umarł tak niespodzianie, że z wrażenia wszystkie serca przestały po prostu bić w osadzie. Z szopy zamienionej w kostnicę dolatywał pośpieszny stuk młotków zbijających trumny, a na cmentarzu wyrósł następnego dnia nowy kopczyk zmarzniętej ziemi.

Nazajutrz Dominik Beauvais, mający pełen dom drobiazgu, przybił nad swymi drzwiami szkarłatny sygnał zarazy.

Pietrek widywał Monę co dnia. Wszystkie wolne godziny spędzali razem, pod pieczę Piotra Gourдона, który strzegł ich zazdrośnie niby jastrzęb młode. Nocami siadywali w oknach chat, gdyż niebo wypogodziło się już od pewnego czasu i księżyc zlewał ziemię mlecznym światłem. Jednej z takich nocy Pietrek usłyszał znowu stukanie młotków, o szarym brzasku zaś, czuwając nadal, zobaczył ojca Albanela, Szymona Mac Quarrie'a oraz Jeremiasza Poulina wychodzących na próg domostwa Dominika Beauvais'go. Trzej mężczyźni nieśli długi, ciężki przedmiot. Dotarli do cmentarza; potem wrócili, weszli znów do chaty i pojawili się zgarbieni pod ciężarem raz jeszcze, Pietrek wytrzeszczał oczy a równocześnie coś dławiło go w gardle, Płakał, załamując ręce. Trumny zawierały zwłoki Filipa i Dominika, najmłodszych dzieci obojga Beauvais,

Pietrek łkając pobiegł do chaty Mony, Drzwi się otwarły i na próg wyszedł Piotr Gourdon. Pietrek zatrzymał się o parę kroków, gdyż w twarzy mężczyzny było coś takiego, co wzbudziło w nim straszliwy lęk.

Najpierw pomyślał, że sam Piotr jest chory, że bredzi w gorączce, potem usłyszał słowa, dziwaczne, szorstkie, od których krew w nim zastygła, i które wydierały się z trudem z wykrzywionych cierpieniem warg Piotra. Mona leży chora! Jest w łóżku. Pietrek winien wracać do siebie i nie zbliżać się wcale do tej chaty.

Oszołomiony, niezdolny słowa przemówić, Pietrek podszedł bliżej drzwi, lecz mężczyzna odtrącił go tak brutalnie, aż chłopak się wywrócił.

— Wynos się! — krzyknął, jak gdyby zamierzając go uderzyć. Poprzez uchylone drzwi Pietrek dostrzegł twarz Józki, tak bladą i

pełną cierpienia, że wydawała mu się twarzą starej kobiety. Zawołał na nią, lecz usunęła się zaraz i nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Wtenczas, na pół błagalnie, na pół wyzywająco zwrócił się do Piotra.

— Muszę zobaczyć Monę! — rzekł. — Obiecałem jej, że przyjdę, jeśli będzie chora! Lecz Piotr, surowym gestem wskazał mu chatę Szymona Mac Quarrie'a.

— Wynos się! Możesz pytać co dzień z daleka o zdrowie Mony, ale jeżeli kiedykolwiek zbliżysz się tak jak dzisiaj, każę cię wywieźć do miasta!

Pietrek oddalił się z wolna, lecz przerażone oczy wciąż mu biegły w kierunku nawiedzanej zarazą chaty i stojącego w progu mężczyzny. Przykucnął na przyzbie, w ulubionym miejscu Szymona, nie czując wcale, że chłód przenika go do kości. Widział, jak Piotr wraca do domu zamykając za sobą drzwi. Nieco później obserwował z dala, jak na odległym cmentarzu krzątają się ludzie, spiętrzając zmarznięte bryły ziemi na świeżo wykopanych mogiłach. Przed paru minutami, o brzasku, wyniesiono

znów zwłoki. A Mona cierpi na tę samą chorobę, na chorobę, której wynikiem jest śmierć!

W nieznośnej męczarni szarpał na sobie ubranie, załamywał ręce, aż mu chude palce zsiniały z chłodu. Piotr Gourdon ukazał się znów w progu by wywiesić szkarłatne sukno, po czym przywołał trzech grabarzy, wracających z cmentarza do szopy służącej im za schronisko. Ojciec Albanel oraz Szymon Mac Quarrie weszli wraz z Piotrem do chaty, w której leżała Mona.

Po pewnym czasie pojawił się sam tylko Szymon, a widząc Pietrka skulonego na przyzbie zbliżył się doń tak blisko, jak to tylko było możliwe przy zachowaniu ostrożności. Powtórzył to samo co Piotr Gourdon, dodając, iż Mona jest jedynie lekko chora i niewątpliwie wydobrzeje niebawem. Lecz na równi z Piotrem, Szymon miał twarz stroskaną, oczy zaś tak tragiczne, że Pietrek wiedział, iż stary Szkot kłamie.

— Mona umrze! — krzychało mu coś w sercu. Powlókł się więc do chaty, rzucił na łóżko Szymona, a gdy niebawem Joe Gourdon przyszedł odwiedzić chłopaka, znalazł go z twarzą ukrytą w ramionach i zalanego łzami.

Antosia pielęgnowała nadal chorych w nawiedzonej śmiercią chacie Jeremiasza Poulina, Joe zaś, pod nieobecność ukochanej żony, starał się zachowywać optymizm i dobry humor.

— Tobina Poulin szczęśliwie przeszła kryzys! — mówił do Pietrka. — Jeśli dobrze pójdzie, ciocia Józia wróci niebawem do domu, a wtenczas przeniesiesz się do nas. Tymczasem zostaną tutaj, żeby ci dotrzymać towarzystwa...

Lecz poza pogodnymi słowami i miłym uśmiechem Joego Gourдона czaił się okropny lęk. Przy tym, około południa, po osadzie rozeszła się wieść, że Adetta Clamart jest konająca, a mąż i ojciec Albanel nie opuszczają jej ani na chwilę.

Nocy tej Pietrek zdrzemnął się z wyczerpania; zbudziło go silne kołatanie do drzwi. Z dołu, przez okno, Joe Gourdon pytał o coś, i ktoś krzykiem odpowiadał mu na zewnątrz. Był to James Clamart, który, nieprzytomny z radości, ganiał od chaty do chaty wołając, że kryzys minął, Adetta ma się lepiej i będzie żyć!

Pietrek słyszał wyraźnie, jak skrzypią po zamarzłym śniegu buty Jamesa biegnącego pod okno następnego sąsiada, po czym czas dłuższy nie mógł usnąć, leżał więc w chłodnym mroku izdebki myśląc o Monie.

Nigdy dotąd nie dręczyła go tak okropnie obawa, że Mona u-mrze. Powszechna tragedia spowodowała wstrząs tak silny, że osobiste uczucia zmalowały w nim. Pietrek nazbyt był ogłuszony i przybity, by prawdziwie cierpieć. Teraz dopiero przerażenie zapierało chłopcu oddech. Doznawał po prostu uczucia, że wyrwano mu serce, zostawiając w piersi ból i pustkę. Dyszał więc spazmatycznie i płakał. Jeśli Mona umrze, cóż pocznie bez niej?!...

Skoro zamykał oczy, widział ją wyraźnie leżącą w białym łóżeczku, z długimi włosami na poduszce, z twarzą chudą i zapadniętą. Leży tak samotnie i dziwi się, czemu Pietrek nie przyjdzie jej odwiedzić? Umrze, umrze na pewno! Nie może już być inaczej...

Po chwili nowy, straszny obraz zarysował się przed oczyma Pietrka. W szarym brzasku widział ojca Albanela, Szymona Mac Quarrie'a oraz Jeremiasza Poulina idących na cmentarz. Nieśli trumnę ze zwłokami Filipa i Dominika Beauvais'go. Niebawem poniosą tak samo trupa Mony!...

Nie mogąc dłużej znieść koszmaru, Pietrek głośno przywołał Joego Gourдона. Joe wlaź więc na stryszek i Pietrek, przytulony do jego boku, jako tako przespał resztę nocy.

Nazajutrz dzień się rozpoczął dobrą wróżbą.

Ponad borem wisiało jaskrawe słońce, czyste i cieplejsze niż w ciągu paru ubiegłych tygodni. Herman Vogelaar, który od czasu śmierci córki zupełnie zapomniał się śmiać, zjawił się przy śniadaniu z nowiną, że Adettę opuściła całkowicie gorączka, żona zaś Poleona Dufresne'a oraz ich

troje dzieci miewają się znacznie lepiej niżli wczoraj.

Natomiast ojciec Albanel spędził całą noc u wezłowia Mony. Z Moną, zdaniem Hermana Vogelaara, jest bardzo źle. Jest z nią o wiele gorzej niż poprzednio z Adettą, gorzej nawet na pozór niż z Gertrudą o tym samym czasie. Kto wie, czy się to źle nie skończy... Po prostu strach bierze...

Stary Holender rozwodziłby się zapewne dłużej na ten temat, lecz Joe spojrzał nań wzrokiem tak surowym, że Hermanowi słowa ugrzęzły w ustach. Pietrek wszelako zauważył zarówno wejrzenie Joego Gourдона, jak i nerwowy ruch, z jakim Vogelaar kręcił wyłogi kurtki, daremnie usiłując wymyślić nowy temat rozmowy, dla pokrycia poprzedniej niezręczności. Pietrek zamierzał najpierw wyciągnąć z Hermana dalsze szczegóły, lecz rozmyśliwszy się po chwili, wdział płaszcz, czapkę i grube rękawice, po czym wyszedł na dwór w nadziei, że znajdzie ojca Albanela.

Jak gdyby w odpowiedzi na to życzenie ojciec Albanel wyszedł właśnie na próg chaty Piotra Gourдона. Misjonarz zbliżył się do chłopaka zachodząc go pod wiatr, w oddaleniu zaś pięćdziesięciu kroków przystanął, wołając, by Pietrek nie ruszał się już z miejsca. Wtenczas, usiłując zachować spokój, Pietrek spytał krótko, czy Mona naprawdę umrze?

— Jest bardzo chora — odpowiedział misjonarz. — Musimy się za nią modlić i wierzyć całą duszą, że jednak wyzdrowieje. Sądzę, że Bóg pozwoli jej żyć...

— Obiecałem, że ją odwiedzę, jeśli będzie chora. Muszę dotrzymać słowa. Nie boję się wcale. Ojciec Albanel pokręcił głową przecząco.

— To niemożliwe, Pietrku. I tak już mamy zbyt wielu chorych.

— Ja nie zachoruję! — uparcie bąkał Pietrek. Głos ojca Albanela zabrzmiał teraz surowo.

— Wracaj teraz do domu, Pietrku i bądź dzielny, jak był James Clamart. Jeśli Monie się pogorszy, to dam ci znać.

Odtąd, co rano, mały misjonarz przynosił Pietrkowi wieści o Monie. W ciągu tygodnia nie było na pozór żadnych zmian. Ósmego dnia nastąpiło wyraźne pogorszenie; dziesiątego Piotr, Józia i ojciec Albanel walczyli rozpaczliwie w obronie życia chorej.

Nadeszła noc. Północ już minęła, gdy Pietrek, ostrożnie otwarłszy okno wygramolił się na zewnątrz. Czyniąc jak najmniej szmeru, ześlizgnął się w dół i skoczył cicho na ziemię. Potem przebył polanę, a w jaskrawym świetle gwiazd cień jego śpieszył za nim. Zatrzymał się dopiero obok chaty Piotra Gourдона i przylepiony do drewnianej ściany czekał, z sercem bijącym mocno.

W górze, ponad jego głową, spoza firanki błyskało mętne światelko w pokoju Mony. Miał wielką ochotę zawołać na nią; ściągnął już wargi zamierzając wydać szczególny gwizd, który znała tak dobrze. Wtem usłyszał jakiś głos, jakieś szmery, więc skradając się na palcach zbliżył się do jednego z parterowych okien.

Przez szybę, całkiem wyraźnie dostrzegł Józię. Siedziała na krześle, mając twarz ukrytą w dłoniach, Piotr Gourdon zaś, stojąc obok gładził łagodnie włosy żony. W gębi ojciec Albanel miał rysy wykrzywione rozpaczą. Ramiona Józi drżały: płakała.

Pietrek odsunął się od okna przerażony do głębi. Obraz, który przed chwilą miał przed oczyma, mógł oznaczać tylko jedno: Mona nie żyje! Spojrzał znów na blade światelko w górze i zdjęła go nienawiść do tych wszystkich, którzy nie pozwolili mu odwiedzić chorej przyjaciółki. Zbliżył się do drzwi kuchennych, otworzył je i wszedł. Jeśli teraz znowu spróbują mu przeszkodzić, będzie walczył i krzyczał. Lecz nikt nie usłyszał jego ostrożnych kroków. Niewyraźnie dobiegał przez ścianę głos ojca Albanela. Misjonarz modlił się.

Pietrek dotarł do schodów i cichutko jął wstępować na górę. Drzwi pokoju Mony stały otworem. Lampa, której knot przykręcono bardzo nisko, płonęła na stole.

Zbliżył się do łóżka, nie bardzo nawet zdając sobie sprawę z własnych ruchów.. Serce miał

ściśnięte bolesną obręczą; świat wokół chwiał się i walił w gruzy. Mona nie żyje z pewnością, w przeciwnym razie bowiem nie zostawiono by jej tak samej i Józia nie zapłakiwałyby się na dole. Nawet perspektywa bliskiego powrotu ojca nie zdołałaby teraz Pietrka pocieszyć. Nic nie miało wartości, skoro Mona umarła. Padł na kolana obok łóżka, wplatając zziębnięte palce w miękkie pasmo włosów, zwisające z poduszki na podłogę.

Wobec drobnej, strasznie wychudzonej twarzyczki leżącej tak bez życia, zdławiony, rozpaczliwy szloch wydarł się z piersi chłopca. Miał wielką ochotę pogłodzić blady policzek, lecz niepojęty strach wstrzymał go w pół gestu. Przemógł się niebawem. Wyciągając rękę przesunął dłonią po kołdrze, aż sięgnął palcami twarzy Mony. Wtenczas szloch uwiązł mu w gardle, bowiem ciało dziewczynki było ciepłe. Serce Pietrka poczęło teraz walić tak mocno, że kołatanie jego wypełniło cały pokój. Oczy Mony otwierały się z wolna. Patrzyła na niego. I wreszcie...

Dwoje chudych, białych ramionek wyciągnęło się ku chłopcu, i objęło go za pochyloną szyję. Słaby głosik wyjąkał jego imię. Pietrek zgiął się nad Moną jeszcze niżej.

— Przyszedłbym wcześniej — tłumaczył — ale nie chcieli mnie puścić!...

Nie wiadomo jak się to stało, że w tej chwili pełnej napięcia wargi Pietrka dotknęły ust Mony. W momencie zaś, gdy chwiejna dusza dziewczynki zawróciła wreszcie z mrocznej krainy śmierci na drogę życia — do pokoju wszedł ojciec Albanel. Na widok tego, co się stało, nie przymówił ani słowa, tylko przeżegnał się w milczeniu i z pochyloną siwą głową stał pogrążony w żarliwej modlitwie.

Rozdział XIII

WZAJEMNE PRZYSIĘGI

Minęło sporo długich chwil zanim, podniósłszy głowę, Pietrek zobaczył stojącego tuż obok ojca Albanela.

Misjonarz trwał nadal bez ruchu, jedynie łagodnym gestem wsparł dłoń na głowie chłopca. Mona miała oczy szeroko otwarte, przy czym w spojrzeniu jej skierowanym na Pietrka malowało się nieziemskie po prostu szczęście. W żółtym świetle lampy sprawiała niemal wrażenie umarłej; żyły tylko jej piękne oczy, a z ich równego blasku ojciec Albanel nabrał przekonania, iż gorączka spadła zupełnie.

Misjonarz przemówił głosem niskim i zdławionym z ogromnego wzruszenia.

— Musisz teraz odejść, stąd, Pietrku. Odejść tylko na chwilę-

Mona uniosła rękę do ramienia Pietrka w słabym proteście, więc chłopak pochylił się znów nad nią bez fałszywego wstydu i przylgnął na moment twarzą do chudego policzka dziewczynki. W rysach ojca Albanela malowały się ogromna radość i strach. Powoli, lecz stanowczo misjonarz odciągnął Pietrka od łóżka chorej, przy czym, pomiędzy pełnymi rozsądku słowami przemycił wyrazy żarliwej modlitwy. Błagał Matkę Bożą oraz; świętą Annę, by zaraza uczyniła wyjątek i oszczędziła to niewinne dziecko.

U drzwi izby Pietrek obrócił się. Prześliczne oczy Mony ścigały go tak natarczywie, że mimo woli znów wyciągnął ku niej rękę.

— Wróć do ciebie, Mono! — zawołał. — Wróć na pewno! Wróć prędko!

Po schodach zeszli do dolnej izby, przy czym misjonarz mocno trzymał Pietrka za rękę. Nigdy nie było im dane widzieć twarzy równie białej, jak twarz Józi. Piotr zaś sprawiał wrażenie człowieka starego i kompletnie złamanego cierpieniem. Spojrzał na ojca Albanela. Twarz misjonarza ociekała łzami, lecz uśmiechał się poprzez łzy. Zapzął mówić. Opowiedział, jak to Pietrek, zakradłszy się do domu, wszedł do izdebki Mony.

— Niewątpliwie Bóg go zesłał! — kończył ojciec Albanel. — Uczynił więcej, niżby tego mogli dokonać wszyscy lekarze świata, bowiem zawrócił Monę od wrót śmierci. Mona będzie żyła!

Waga ostatnich trzech wyrazów była tak wielka, że Pietrek zapomniał o znaczeniu innych słów. Oddychał krótko i urywanie. Ani się spostrzegł, jak, tonącego we łzach, Józia mocno przytuliła do piersi. Obejmując chłopaka całowała jego bladą, zimną twarzyczkę. Ogromne oczy były tak szeroko otwarte, jakby chciały go pochłonąć, lecz oto Józia rozplakała się sama, szlochając głośno.

Po jakimś czasie, zostawiając Pietrka pod opieką męża, Józia udała się wraz z ojciem Albanelem do pokoju Mony. Wrócili niebawem. Oczy Józi błyszczały; twarz straciła śmiertelną bladość.

— Prawda, prawda — mówiła, spozierając w badawcze oczy Pietrka. — Bóg okazał nam swą łaskę! Gorączka spadła. Wystąpiły poty. I Mona prosi, żeby Pietrek do niej przyszedł...

Wszyscy czekali teraz na to, co powie ojciec Albanel. Lecz ponieważ misjonarz milczał długo, Pietrek wyrwał się pierwszy.

— Proszę mi pozwolić do niej pójść! — błagał. — Nie będę hałasował! Posiedzę zupełnie cichutko...

Ojciec Albanel z trudem przełknął ślinę.

— A jeśli ja ją bardzo poproszę — nalegał — to kto wie, może Mona zaśnie...

Misjonarz skinął twierdząco głową.

— Słusznie — rzekł, spojierając wpierv na Pietrka, potem zaś na Józję — sądzę, że gdyby Pietrek siadł przy niej, Mona zasnęłaby.

Chłopak i tak nachwytał się już dosyć zarazków. Trochę mniej, czy trochę więcej, cóż to ma za znaczenie. Zdajmy się na wolę Bożą. Niech sobie idzie na górę.

Pietrka przeszył radosny dreszcz. Ojciec Albanel oparł mu dłonie na obu ramionach.

— Powinieneś jej powiedzieć, że zostaniesz tylko w takim razie, o ile naprawdę spróbuje zasnąć. Poza tym nie wolno ci z nią rozmawiać. A skoro tylko zaśnie, masz się wymknąć po cichutku i wrócić do nas!

— Obiecuję! — zapewnił Pietrek solennie.

Józja pomogła mu zdjąć zwierzchnią kurtkę. Ucałowała go potem i Pietrek ostrożnie jął się wspinać na schody.

Jakkolwiek zbliżył się do drzwi niemal równie cicho jak cień, Mona usłyszała jego kroki. Oczy jej już go wypatrywały w półmroku, tak ogromne i błyszczące w nadmiernie wychudzonej twarzy, że Pietrek nie widział nic oprócz tych oczu. Nie szukając krzesła, Pietrek ukląkł przy łóżku. Mona wyciągnęła ręce do jego głowy, objęła go za szyję i przygięła tak nisko, że wargi ich się zetknęły. Wykonała gest ten bez wahania. Zupełnie jak gdyby była doń wdrożona od dawna.

— Pocałuj mnie, Pietrku! — poprosiła po chwili. Spełnił jej życzenie.

— Ileż razy śniłam to właśnie... — rzekła cicho ze słabym uśmiechem. — Czekałam, i nie przychodziłeś. Teraz mam cię obok naprawdę. Tak strasznie się cieszę...

— Nie powinnaś tyle mówić! — przestrzegł. — Ojciec Albanel uprzedził mnie, że jeśli będziesz rozmawiała, każe mi zaraz zejść na dół. Powinnaś teraz zasnąć. Proszę cię, zaśnij zaraz! I nie mów nic, ani jednego słówka, ani słóweczka...

Mona chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz spostrzegła się w porę. Kładąc palec na ustach obdarzyła Pietrka uśmiechem tak czarownym, że chłopak poczuł nieprzepartą chęć ucałowania jej powtórnie. Wsunęła swoją rękę w jego dłoń, Pietrek zaś kucnął na ziemi obok łóżka. Z głębokim westchnieniem Mona przymknęła oczy. Końcami palców uściśnęła dłoń Pietrka, na co chłopak również odpowiedział uściskiem.

W pół godziny później Józja na palcach weszła po schodach. W półmroku, jak najciszej zbliżyła się do łóżka. Mona spała, po raz pierwszy od wielu dni oddychając równo i spokojnie. Pietrek siedział na ziemi przygięty, wsparty twarzą o gęste pasmo ciemnych włosów Mony. Mona ścisnęła go wciąż za rękę. Nie poruszyli się oboje.

Józja cofnęła się równie cicho, jak weszła, wracając do męża i do ojca Albanela.

Pietrek zbudził się w wiele godzin później. Na razie sądził, że śpi. Potem zobaczył własne palce wplecione we włosy Mony, oraz na poduszce obok bladą twarz dziewczynki. W jednej chwili przypomniał sobie wszystko, więc poruszając zgrabiałymi członkami, cał za całem, niezmiernie ostrożnie stanął na nogach.

Mona spała nadal. Pietrek, nachylony, nasłuchiwał jej równego oddechu. Zerknął później na zegarek, hałaśliwie tykający na półeczce ponad stołem. Była czwarta. Niebawem miało zacząć świtać. Jakże długo spał! Jak mocno spała Mona!

Z sercem przepelnionym radością Pietrek z wolna cofnął się ku drzwiom, ześrodkowując całą uwagę na tym jedynie, by nie uczynić najmniejszego szelestu. W pokoju na dole znalazł ojca Albanela. Misjonarz drzemał siedząc, książka zaś, którą czytał poprzednio, wypadła mu z ręki i leżała na kolanach. Lecz Józja usłyszała stłumione kroki Pietrka i spieszenie pojawiła się w progu sąsiedniej izby. Miała na sobie długą białą koszulę nocną, z której wyglądały piękne ramiona obnażone po łokcie. Włosy splecione w dwa warkocze spływały aż do bioder.

Pietrkowi wydała się bardziej niż kiedykolwiek podobna do anioła.

— Tss... — szepnęła, dotykając palcem warg. — Wszyscy śpią w domu, Pietrku, prócz mnie i ciebie.

Ująwszy go za rękę przeszła razem z nim do pustego pokoju, który niegdyś, przed ożenkiem, zajmował Joe, i usiadłszy sama na łóżku przyciągnęła chłopaka do siebie.

— Będziesz musiał zostać z nami jakiś czas — rzekła głosem słodkim i niskim jak muzyka. — Czy cieszysz się z tego?

Skinął głową skwapliwie i twierdząco..

— Pewnie. Już od początku chciałem tu przyjść. Obiecałem Monie, że przyjdę, jeśli ona zachoruje.

Józia przytuliła głowę chłopca do swej piersi. Słyszał jak jej mocno bije serce.

— Jestem matką Mony. Po tym co zaszło, czy nie chciałbyś bym tobie również zastępowała matkę? — spytała cicho i czule.

— Ja, pewnie, że bardzo tego chciałbym. Ale muszę mieszkać z Szymonem. Ojciec tak mi polecił: mieszkać z Szymonem, zanim on nie wróci.

Józia przytuliła chłopaka jeszcze silniej.

— Oczywiście, że musisz mieszkać z Szymonem. Nie zabrałabym ciebie od niego. Ale mimo to mogę być jednak dla ciebie matką. Odtąd, na zawsze jesteś moim dzieckiem, na równi z Moną.

— Sądzę, że dlatego właśnie Mona tak mnie lubi, że nie mam własnej matki! — usiłował wytłumaczyć Pietrek. — Ale ojciec wróci do mnie na pewno. Panią także polubi. Panią to z pewnością wszyscy lubią, prawda, proszę pani?

— Nie wiem, Pietrku.

— To Szymon tak mi mówił niegdyś. Moja mama była zupełnie do pani podobna. Bardzo często widzę swoją mamę we śnie.

— I co, naprawdę podobna do mnie?

— Gdy śniłem ją ostatnim razem, byłem po prostu pewny, że to pani. Zbieraliśmy kwiaty w lesie i Mona także. Potem mama gdzieś znikła. Ona zawsze tak ginie, zupełnie jakby się rozpuszczała w powietrzu.

Umilkł i spytał po chwili.

— Czy widziała pani kiedy matkę Mony?

— Tak, widziałam.

— Ładna była?

— Wszystkie matki są ładne, Pietrku. Pietrek zadumał się na moment.

— Pewnie, że tak — przyznał.

Później zafrasował się trochę i rzekł z powątpiewaniem.

— Ale nie zawsze. Gotów jestem pójść o zakład, że matka Alecka Curry'ego nie jest wcale ładna!

— Dla Alecka jest niewątpliwie prześliczna! — poprawiła Józia wstając. — A teraz, Pietrku, musisz się rozebrać i iść spać. Dobranoc.

Skoro Józia odeszła, Pietrek siedział jeszcze długą chwilę na brzegu łóżka, rozmyślając nad ostatnimi słowami Józii. Potwór w rodzaju Alecka nie może przecież mieć ładnej matki! Jednakże, w miarę jak chwile biegły, był coraz mniej pewien swego. A jeśli matka Alecka jest właśnie ładna i miła, to czy wolno jemu i Monie darzyć chłopca z Fortu Williama taką dozą nienawiści?!...

Niewiele spał do rana, skoro zaś pierwsze chłodne błyski zimowego słońca zajrzały na polanę, Pietrek ubrał się i wyszedł z pokoju. Przywitały go twarze znacznie weselsze. Mona czuła się lepiej.

Po ciężkim smutku, panującym w domu od wielu dni, nastąpiła reakcja. Kuchnia dźwięczała śmiechem. Józia wchodziła po schodach śpiewając. Gdy wreszcie krzyknęła w dół, na Pietrka chłopak pomknął na górę cwałem.

Znalazł Monę siedzącą w łóżku, podpartą poduszkami. Józia rozczesywała jej włosy, długie lśniące pasma o jedwabistej miękkości. Oczy i twarz Mony przeobraziły się od wczoraj. Przypominała bardziej dawniejszą Monę, była tylko szczuplejsza i trochę bledsza. Uśmiechnęła się też do wchodzącego.

Lecz w obecności Józii Pietrek czuł się trochę nieswojo, toteż przywitał się niezdarnie. Ale Mona wyciągnęła doń ręce, tak samo jak ubiegłej nocy, przemocą zgięła jego głowę i ucałowała go serdecznie.

Odtąd cała osada Pięciu Palców zgodziła się, milcząc, na wielką zmianę zaszłą w życiu obojga dzieci. Mona i Pietrek należeli do siebie wzajem. Ojciec Albanel zaś był tak dalece pewien, że przeniknął w tym względzie intencje boże, iż nie troszczył się wcale o zdrowie Pietrka, mimo że chłopak otarł się tak bardzo blisko o śmiertelną zarazę.

— Nie zachoruje na pewno! — twierdził ze spokojnym uporem. — Nie po to Bóg go tutaj zesłał!

Skoro zaś mijały dni za dniami, a z chaty Piotra Gourдона nadchodziły jedynie dobre wieści, uwierzyli ci nawet, którzy na razie skłonni byli wątpić; gdyż jeśli Mona zawróciła od samych wrót śmierci, a Pietrek wywinął się zarazie, czyż nie był to cud prawdziwy z rodzaju tych, jakie zdarzały się w błogosławionym kościółku św. Anny de Beaupré. I któż, prócz Boga, mógł być sprawcą cudu!

Po upływie dwóch tygodni. Mona wstała z łóżka. Pietrek zanotował sobie, iż począwszy od tego dnia właśnie, dziewczynka nie obejmuje go już za szyję, ani nie oczekuje pocałunków. Lecz kiedy zbliżał się do niej, oczy Mony stawały się szczęśliwe i świetliste do głębi.

Minęła reszta zimy; nadeszła wiosna. Po kwietniu podążył maj. Na polanie zakwitły kwiaty. Powróciły ptaki z dalekiej wyprawy; rozpoczęto pracę w polu. Szereg pogodnych dni pozwolił zapomnieć mieszkańcom osady o minionej tragedii.

Mona skończyła czternaście lat i dokładnie w tydzień później wybrali się z Pietrkiem we dwójkę do wielkich, bobrowych żeremi. Wtenczas właśnie Pietrek wygadał się z czymś, o czym myślał bardzo wiele, lecz czego nie zamierzał nigdy oblekać w słowa. Rozważał to sobie w samotności tak i inaczej, obracał z dawna w mózgu na wszystkie strony i ani się spostrzegł, jak z ust wybiegły wyrazy.

— Teraz już nigdy nie chcesz, bym cię całował... Nigdy mnie o to nie prosisz!

— Dziewczynki nigdy nie proszą chłopców o pocałunki, chyba, że są bardzo chore! — odparła Mona spoglądając nań tak dziwnie, że Pietrek poczuł, jak mu wszystka krew uderza do twarzy.

— W takim razie — bełkotał Pietrek — w takim razie, wolałbym czasami, żebyś znów zachorowała!...

— Pietrku?!

— Mówię to, co myślę! — upierał się Pietrek. Mona zarumieniła się jak leśny głóg.

Wtem błysnęła oczyma i tupnęła nogą.

— Wcale nie chcesz mnie całować! Nigdy nie chciałeś! Gdybyś tego chciał, nie potrzebowałabym cię prosić za każdym razem!

Pietrek musiał się dopiero zastanowić, oglądając rzecz z nowego punktu widzenia. W pół godziny później, gdy dochodzili już niemal do domu, zdobył się na decyzję.

— Już wiem! — zawołał nagle.

— Co takiego? — spytała Mona, zajęta cała zbieraniem kwiatów wzdłuż drogi.

— Ty także wiesz!

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz!

- No to zgadnij!
- Ani myślę zgadywać!
- Możesz próbować trzykrotnie.
- Nie chcę!

Pietrek sam już nie wiedział, co mówić dalej.

- W takim razie — zaczął niepewnie — żartowałaś tylko!
- Kiedy?
- Wtenczas, gdy mówiłaś, że gdybym chciał cię pocałować, to bym sam poprosił o to!
- Właśnie, a ty wcale nie prosisz!
- Niemądra jesteś! Prosiłem przecież przed chwilą. Mona otworzyła szeroko swe prześliczne
oczy.

- Doprawdy, Pietrku, doprawdy? Nie, nie słyszałam! Proszę cię, powtórz raz jeszcze!

Pietrek zmieszany przełknął ślinę.

- Czy można?
- Ale co?
- Pocałować ciebie?

Zamiast dać natychmiastową odpowiedź, Mona poczęła mu się przyglądać badawczo. Trwało to nieznośnie długo; Pietrek byłby przysiągł, że chyba całą godzinę.

- Jeśli pozwolę, czy obiecasz mi, że nie pocałujesz nigdy żadnej innej dziewczyny?!
- Obiecuję!
- I że nie pozwolisz żadnej, aby cię całowała? Nie wyłączając Adetty Clamart!
- Oczywiście, że obiecuję!
- Do końca twego życia?
- Do końca mego życia!

Z uśmiechem radosnego zadowolenia Mona Guyon podała Pietrkowi najpiękniejsze usta osady Pięciu Palców, a Pietrek ucałował je.

Rozdział XIV

Z BIEGIEM LAT

Ojciec Albanel nie zapomniał obietnicy danej Pietrkowi przed wybuchem zarazy.

Ledwo minęła straszna klęska, misjonarz zabrał Pietrka do lasu i tam, w ciągu całych tygodni i miesięcy, w miejscu ukrytym od oczu niepowołanych, uczył go cierpliwie zasad walki dżentelmeńskiej. Pokazywał, jak należy się bić, jeśli już zajdzie konieczność. Powoli Pietrek zrozumiał, że istnieje coś skuteczniejszego niż brutalna siła, w miarę zaś jak nabierał zręczności, jak jeden po drugim przyswajał sobie trudne ciosy i zdolność uchylania się od razów przeciwnika — wzrastał jego zachwyty. Radość dławiała go po prostu i z trudem jedynie potrafił zachować tajemnicę nawet wobec Mony.

Rękawice bokserskie, które ojciec Albanel przeschmuglował z osady, trzymali w bezpiecznej kryjówce i dopiero po wielu latach Pietrek dowiedział się przypadkowo, że misjonarz będący jego nauczycielem w walce na pięści, słynął ongiś jako najlepszy zapaśnik pomiędzy Fortem Williama a Zatoką Hudsona.

Z własnych postępów zdał sobie jasno sprawę dopiero na początku czerwca, gdy do osady przybyła barka, przywożąc raz jeszcze Alecka Curry'ego wraz z ojcem. Wykorzystując wpływy brata, który z powodzeniem zajmował się polityką, Izaak Curry uzyskał koncesję na znacznym obszarze wokół Pięciu Palców. Na brzegu jeziora, Wśród jodłowej gęstwy, zbudował sobie teraz chatę na dłuższy pobyt. Dzielił ją z trzecim bratem oraz jego żoną, gdy zaś stary Izaak wałęsał się na swej barce, jeżdżąc od osady Pięciu Palców do Fortu Williama i z powrotem, Aleck pozostawał na miejscu pod opieką stryja.

Aleck wyrósł tymczasem i zmężniał. Pietrek miał na razie szczerzy zamiar zawrzeć z nim pakt przyjaźni, lecz Aleck ani słyszeć o tym nie chciał. Jego nienawiść do Pietrka była czymś na kształt śmiertelnego jadu, zatruwającego każdą kroplę krwi w żyłach. Mona wyrastała na skończoną piękność; jej szczerza, bynajmniej nie ukrywana sympatia dla obcego przybłądy budziła w Alecku coś więcej niż zwykłą niechęć, coś więcej niż przelotną złość. Mając bogatego i wpływowego ojca wiedział, jakie to znaczenie posiada w mieście; stryj-polityk został mianowany niedawno komisarzem policji danego okręgu. Aleck wściekał się po prostu, że wszystkie te atuty nie mają w Pięciu Palcach żadnej absolutnie wartości.

Był synem bogacza, bratankiem dygnitarza policyjnego, tymczasem nikt się z nim poważnie nie liczył. Co innego w mieście; tam każdy chętnie mu ustępował, każdy mu pochlebiał. Winę licznych upokorzeń w całości przypisywał Pietrkowi, gdyż to przecież Pietrek odsunął go od Mony i Pietrek w dalszym ciągu stał pomiędzy nim a najpiękniejszą dziewczyną osady.

Niedługo więc po zainstalowaniu się Alecka w chacie nad jeziorem, doszło do ponownego wybuchu. Miejsce było dobrze odosobnione, starannie wybrane zawczasu przez Alecka, który nie życzył sobie, by ktokolwiek przeszkodził mu w ostatecznej rozprawie z Pietrkiem. W rezultacie obaj chłopcy wrócili do domu z pokrwawionymi nosami i podpuchniętymi oczyma. Żaden nie uległ drugiemu. Alecka oszołomił po prostu ten wynik. Trudno mu było uwierzyć, że mimo swego wzrostu, wagi i siły, mimo półrocznego gorliwego treningu nie zdołał przeciwnika pokonać.

W ciągu dwóch tygodni po owej bójce, nie minął ani jeden dzień, by Pietrek z ojcem Albanelem nie udali się na dłuższą przechadzkę po lesie. Prócz tych tajemniczych wypraw Pietrek wykorzystywał każdą okazję dla odbycia dłuższego biegu lub też dla pływania w jeziorze,

wzmacniając sobie w ten sposób płuca i serce. Cierpliwie znosił wymysły i zaczepki Alecka, byle tylko odwlec nieco termin następnej rozprawy, misjonarz bowiem powtarzał mu ustawicznie, że sposobna pora jeszcze nie nadeszła.

Wreszcie Aleck nie wytrzymał i znużony gołosłownymi drwinami rzucił się z pięściami na Pietrka. W rezultacie poniósł klęskę tak zupełną, tak nieulegającą żadnej wątpliwości, że gdy wracał w sierpniu do Fortu Williama, osada Pięciu Palców żegnała go drwiącym śmiechem.

Świat Pietrka wypełniła wówczas jedynie Mona, podtrzymując w nim stale gasnącą wiarę, że ojciec niebawem wróci. Lecz gdy znów spadła zima, a po zimie z kolei przyszła wiosna, od Donalda Mac Rae zaś brakło jakiegokolwiek wieści — Pietrka ogarniać zaczęło zupełnie zwątpienie. Skłonny już był sądzić, że ojciec oddalił się od niego na zawsze.

Trzeciego lata pobytu Pietrka w osadzie Pięciu Palców Aleck Curry przybył tam ponownie. Miał teraz lat dziewiętnaście i ojciec mu polecił nadzór nad koncesją drzewną wzdłuż jeziora. W ciągu tego roku zmienił się ogromnie, nauczywszy się kryć swe namiętności, toteż nie afiszował się już z miłością do Mony i z nienawiścią do szczęśliwego rywala. Stary Izaak mówił, że za rok Aleck wstąpi w szeregi policji, gdzie w krótkim czasie czeka go niewątpliwy awans.

Na początku września, gdy Mona rozpoczęła szesnasty rok życia, stało się faktem dokonany, czego Pietrek obawiał się w głębi serca już od dobrych paru miesięcy. Piotr Gourdon od dawna uradził wraz z żoną, że po odbyciu wstępnych nauk w szkółce osady, pod kierunkiem Antosi, Mona powinna spędzić rok lub dwa w internacie, pod opieką siostr Urszulanek w Quebecu.

W dniu wyjazdu Mony życie Pietrka osnuł mrok równie głęboki, jak niegdyś po stracie ojca.

Zima, która teraz nadeszła, wydała się Pietrkowi nieskończenie długa. Raz na tydzień regularnie odbierał od Mony długie listy, podczas najgorszych mrozów zaś, pięciokrotnie sam udawał się po pocztę do miasteczka przy kolei, byle tylko otrzymać w porę wieść od najmilszej swej dziewczyny. Gdy zaś w czerwcu wróciła ze szkoły, spotkał ją na dworcu wraz z Piotrem, Józia, Antosią i Joe'em.

Oszłomiła go na razie zmiana, jaka w niej zaszła: wyrosła tak bardzo, wypiękniała tak ogromnie. Tkwił zatem nieruchomy jak kołek, póki Mona witała się z innymi. Obróciła się potem do niego rumiana niby róża. Później zaś — wcale nie mógł sobie uprzytomnić, jak do tego doszło — Mona zarzuciła mu ręce na szyję, on zaś objął ją wpół; dziewczyna płakała, aż oślepiły ją łzy, całowała go żarliwie, a on odpowiadał jej również gorącymi pocałunkami. Wreszcie wyrwała mu się i uciekła, by ponownie paść w ramiona Józi.

Lato, które teraz nastąpiło, zdecydowało o dalszych losach Mony i Pietrka. Dziewczyna dobiegała lat siedemnastu. Zgodnie z życzeniem Józi i Antosi miała jeszcze uczęszczać do szkoły całą zimę, czyli że wraz z ukończeniem nauk kończyła także osiemnaście lat. Robiąc wraz z Pietrkiem te wyliczenia, Mona dała mu do zrozumienia, że jeśli zechce, w takim razie odczekawszy jeszcze rok mogą się pobrać.

W ciągu drugiego roku nieobecności Mony Pietrek robił wszystko co mógł, by stać się najbardziej godnym ukochanej. Pracował nad sobą i uczył się pilnie pod kierunkiem Antosi oraz ojca Albanela. W osadzie Pięciu Palców zaszła tamczasem doniosła zmiana. Szymon Mac Quarrie zakończył wreszcie interesy z Izaakiem Currym, by zaś zatrzeć wszelki ślad po przykrych wspomnieniach, mączących harmonię rajskiego zakątka — Adetta Clamart rozmyślnie podpaliła domostwo starego Izaaka po odejściu właścicieli. Niebawem na miejscu, gdzie poprzednio stała chata, czerniały tylko osmolone główne i leżał grubą warstwą siwy popiół.

— A na przyszłe lato dzikie floksy całkiem zakryją pogorzelnisko! — mówiła Adetta, wruszając ładnymi ramionami.

Aleck Curry wstąpił do policji. Zdawało się, iż ten niezdarny wyrostek przeobraził się z dnia na

dzień w tęgiego draba o masywnej twarzy, kwadratowych barach, olbrzyma niemal, silnego potwornie. Nienawiść, którą niegdyś czuł względem Pietrka, rozrosła się w nim także z biegiem lat. Monę widywał w czasie wakacji, gdy zaś po dwuletnich studiach wróciła do osady na dobre, niezwykła jej uroda zbudziła w Alecku żądzę tak gwałtowną, że wszelkie inne uczucia zeszły od razu na dalszy plan. Stał się czujną bestią, czyhającą jedynie na dogodną sposobność; umiejętnie tając wzbierające namiętności wiedział, że jego chwila musi kiedyś nadejść.

W miarę jak upływające tygodnie zbliżały coraz to bardziej chwilę najwyższego szczęścia, Mona i Pietrek przestali się mieć na baczności; nawet myśl o jakimkolwiek niebezpieczeństwie była im obca. Ponieważ zaś, zdaniem Mony, Aleck nie mógł już odegrać w jej życiu najmniejszej roli, więc dziewczyna, w szybkim tempie przeobrażająca się w kobietę, poczęła traktować dawnego wroga niemal przychylnie. Zbladły nawet podejrzenia Szymona Mac Quarrie'a, gdyż ostatniej zimy, przed ukończeniem przez Monę lat dziewiętnastu, Aleck Curry odwiedził osadę jedynie dwukrotnie.

Minęła nowa zima i nowe lato. Dwunastego października przypadały urodziny Mony. Tegoż dnia miała zostać żoną Pietrka. Postanowiono, że młoda para zamieszka na razie z Piotrem i Józia Gourdonami, zanim nie spadną pierwsze śniegi i nie ustali się sanna; wtenczas, mając dobrą drogę zwiezie się budulec i wszyscy mieszkańcy osady Pięciu Palców wystawią wspólnymi siłami nowe domostwo.

Pewnego sierpniowego popołudnia Mona wyruszyła samotnie do żeremi bobrowych, dźwigając koszyk, w którym była jej kolacja oraz Pietrka. Pietrek, wracając z dalszej wycieczki wzdłuż brzegu jeziora, obiecał spotkać się z nią w dawnym miejscu ich wspólnych zabaw. Przed dwoma laty wystawił jej tu malutką chatynkę.

Tegoż popołudnia gdy Mbna opuściła osadę, obcy wędrowiec kierował właśnie kroki ku osadzie Pięciu Palców.

Cechowała go nieposzrednia ostrożność. Kroczył przebiegle niby ścigany zwierz, lecz kiedy spośród gęsto poszytych mokradel wydostał się między wysokopienny las, począł się wkoło rozglądać nieco zwawiej. Przystanąwszy na moment, wciągnął głęboko czyste powietrze i ruchem pełnym ulgi otarł uznojone czoło ręką twardą, węzlastą i podrapaną w ciągłym zetknięciu z korą drzew lub chrustem.

Twarz miał zarośniętą dawno niegolonym zarostem, włosy skudłaczone i cały był pokryty na poły zeschniętym błotem. Szpakowatej czupryny nie osłaniały ani czapka, ani kapelusz; koszula na piersi i u rękawów była po prostu w strzępach, a spodnie nosił wetknięte w sięgające kolan długie buty, które zachowały wyraźne ślady licznych i trudnych przepraw przez strugi i bagniska. Na barkach dźwigał plecak i jakkolwiek pofałdowany materiał świadczył dość wyraźnie o nędznej zawartości, wędrowiec oswobodził się od tego znikomego ciężaru z głośnym westchnieniem ulgi.

Oparłszy się teraz o najbliższą sosnę, zerknął w kierunku bagna, z którego przybył, nasłuchując w nerwowym napięciu, czy nie ułowi przypadkiem jakiegoś odgłosu, będącego na tle senniejszej ciszy popołudnia przestrogą lub alarmem. Pod szczeciną brody, mimo gorąca i znużenia twarz miał bladą, niezdrową bladością; policzki mu wklęsły, z głodu lub też choroby, wargi były wąskie i ściągnięte. Jedynie w oczach tliła się reszta energii. Niespokojne i badawcze śledziły każdy ruch trawy lub gałęzi, każdy przelotny cień.

Słodycz dojrzewającego lata, leniwe poszepty na zmianę z głęboką ciszą, snuły się wokół lub też sennie drżały w powietrzu. Włóczęga spędził poprzednio długie godziny w dusznej atmosferze bagniska, prześladowany, chmurą komarów, bąków i muszek. Tu panował miły chłodek. Śród szczytów jodeł, o sto pięćdziesiąt stóp nad głową, dęła od Jeziora Superior lekka bryza. Opadając w dół świeży zefir muskał gorące policzki. Czuło się wprost na wargach świeżość.

W znużonych oczach ściganego zwierzęcia zaszła powoli zasadnicza zmiana. Zmiękły surowe linie wokół ust, a posępne rysy rozjaśnił miły uśmiech. Człowiek podniósł plecak, lecz nie zarzuciwszy go na barki chwycił ręką za ramię, po czym odwrócił się tyłem do bagna i ruszył dalej przed siebie.

Radosna zmiana w twarzy wędrowca nie licowała dziwnie z fizycznym wysiłkiem, z olbrzymim trudem jaki towarzyszył każdemu z jego powolnych kroków. Nie oglądał się już teraz, tylko szedł wpatrzony w przestrzeń, jak gdyby wyczekując z minuty na minutę pojawienia się czegoś niezmiernie ważnego, ku czemu dążył ostatkiem gasnącej energii. Skoro trafił wreszcie nad niewielkie źródło bełkocące wśród korzeni sosen, padł raczej, niżli ukląkł nad wodą i pił, niby ktoś konający z pragnienia. Potem, raz po raz nabierając dłońmi chłodnej wody nurzał w niej twarz lub chlustał sobie na głowę, aż ze szpakowatej czupryny pociekły gęste krople.

Trzymał się teraz biegu strugi. Parokrotnie w trudniejszych miejscach potykał się i padał, a raz, zawadziwszy czubkiem buta o kręty, wystający ponad ziemię korzeń, zwałił się w wodę. W ciągu godziny uszedł zaledwie milę.

Trafił wreszcie na szczyt niewielkiego pagórka, przeciął go i zstępował w dół zbocza poprzez brzozowy zagajnik, obwieszony festonami pożółkłej kory. Znalazł się teraz na brzegu głębokiego, cichego stawu, rozpoczynającego się w pełnym blasku słonecznym i ginącego niby w pieczarze w mrocznej, chłodnej czeluści iglastego boru.

Obyty z głuszą człowiek odgadł, iż mogą się tu znajdować żeremia bobrowe i prawie natychmiast przekonał się o swej intuicji. Mocny ogon uderzył o wodę z takim samym chłaśnięciem, z jakim uderza ją wiosło trzymane na płask, a na ten sygnał trwogi, o rzut kamieniem, ciemny, drobny przedmiot ją przecinać lustro stawu.

Człowiek usiadł chwiejnie. Wzrok miał tak zmęczony, że dostrzegał z trudem nawet ruchome przedmioty. Przechyliwszy się na bok upadł, i wyciągnął się na grubej ściółce gęstej, zielonej trawy. W następnej chwili leżał już z przymkniętymi oczyma, lecz mając słuch czujnie napięty.

W ciągu najbliższej pół godziny słyszał każdy szmer wkoło; potem blade powieki przymknęły się ciężiej, a wielkie osłabienie fizyczne i umysłowe, z którym już dłużej nie potrafił walczyć, otępiło mu zmysły tak dalece, że równało się to prawie sennemu bezwładowi.

W półśnie, pół jawie trwał może kwadrans, gdy zbudził go jakiś dźwięk. Drgnął najpierw i przetarł oczy, by zerwać się niebawem ruchem szybkim i groźnym. Przygięty do ziemi, w pozycji przyczajonego zwierza, ni to siedząc, ni to klęcząc człowiek czekał.

Dźwięk się powtórzył i na twarzy człowieka zamiast strachu odmalowało się zdumienie. Słyszał po prostu głos kobiecy, dziwnie miękki i pieściwy w tym cichym chłodnym zakątku. Brzmiał w nim śmiech słodki niby trele ptasie.

Chory wędrowiec nasłuchiwał, przyciskając dłonią serce poprzez podartą, brudną koszulę. Potem zaczął wolno pełznąć w kierunku głosu, przewijając się ostrożnie wśród zielonej gęstwiny wierzbowej. Czyniąc to baczył pilnie, by nie trzasnęła żadna sucha gałąź, by najmniejszy nawet szelest nie zdradził jego ruchów. Wtem zobaczył coś, czego nie oczekiwał zupełnie, więc zatrzymał się od razu, zaskoczony.

Znajdował się właśnie na skraju wierzbowej gęstwy, mając przed sobą maleńką polanę wielkości zaledwie pół akra, zieloną od gęstej murawy, barwną od dzikiego kwiecica. Niewiele dalej niż na odległość ręki rosła kępa jeżyn, obciążonych dojrzałymi owocami, a pod tymi krzakami, na brzegu stawu, siedziała młoda dziewczyna.

Była doń na pół obrócona twarzą. Najpierw dostrzegł schyloną głowę, uwieńczoną gęstą masą falistych splotów; potem, skoro podniosła głowę, zobaczył rysy.

Policzki miała rumiane, ciemne oczy błyszczące. Śmiejąc się schyliła znów głowę, ocierając się policzkiem o jakieś porośnięte gęstym futerkiem stworzonko, które gramoliło się jej na kolana. Mężczyzna dostrzegł wpierw jedno stworzonko, potem drugie: dwa malutkie bobry. Przesunął wzrokiem dalej. Na brzegu stawu, na pół wylazszy z wody, siedział dorosły bóbr. Ten patriarcha wiedział o czyjejś obecności w wierzbowej gęstwinie!

Dziewczyna przemawiała do malutkich bobrów i śmiała się do nich, nazywając je po imieniu. Jeden wabił się Telesforek, a drugi Jasiek. Człowiek słuchał tej gawędy wstrzymując oddech. Obserwował, jak się z nimi droczy, to zbliżając to odsuwając wielką, czerwoną marchew. Jeden gramoląc się jej na ramię zaplatał łapkę w długie pasmo ciemnych włosów.

— Telek! — zawołała dziewczyna z oburzeniem. — Co za gbur z ciebie, Telek!

Stary bóbr trwał nadal nieruchomo, obserwując grożące wśród wierzb niebezpieczeństwo. Jakiś towarzysz leniwie przepłynął mimo, lecz zwietrywszy cudzą obecność, plasnął wodę ogonem na alarm i co prędzej dał nura.

Dziewczyna, obracając się szybko, przemówiła do bobra siedzącego wciąż na brzegu.

— Co ci się stało, Pietrek? — spytała. — Przestań wydziwiać! Podejdź bliżej i weź marchewkę!

W tej samej chwili właśnie usłyszała za sobą okrzyk, a spojrzawszy w kierunku, skąd głos dochodził, dostrzegła wśród gałęzi wierzbowych twarz obcego człowieka.

Rozdział XV

POWRÓT WĘDROWCA

Mona Guyon nie zlekła się wcale.

Była tylko mocno zdziwiona, oszołomiona prawie niezwykłością tego, co zaszło. Ani zbladła jednak, ani krzyknęła. Zsunąwszy maleńkie bobry z podołka na ziemię, wstała nie śpiesząc się, wysoka, szczupła i urodziwa nad podziw.

Uważnie obserwowała obcego przybysza i serce poczęło jej kołatać silniej, bowiem wrodzona przenikliwość oraz długie przebywanie w głuszy nauczyły ją poniekąd czytać z wyrazu twarzy dzieje, jakie człowiek przechodził. Tragedia znękanego oblicza wśród wierzbowych gałęzi rzucała się po prostu w oczy. Głód, choroba, wyczerpanie tak zupełne, że nieszczęśnikowi temu łatwiej byłoby z pewnością pełzać na czworakach, niżli iść wyprostowanym normalnie.

Podczas gdy mu się tak przyglądała, dostrzegła w zbiedzonej twarzy nowy wyraz; mężczyzna zresztą poczuł sam, że się oblewa rumieńcem wstydu. Rycerski instynkt; czujny zawsze i żywy obruszył się w przekonaniu, że wobec ślicznej młodej dziewczyny stwarza widowisko groteskowe i zatrważające. Lecz mimo że był zaskoczony, stropiony i zbolały, nie zatracił wrodzonego poczucia humoru. Usiłował się nawet uśmiechnąć. Próba wypadła wprost patetycznie:

— Przepraszam! — rzekł, niepewnie unosząc się na nogi i chwiejnie wyłażąc z gęstwy. Ani łachmany, ani wielodniowy zarost na twarzy nie pozbawiły go pewnej dumy i swoistej wytworności. Wyprostował się też i skłonił uprzejmie. — Wylazłem z gąszczu niby wilk, i wiem, że w oczach pani przypominam zapewne wilka. Zapewniam wszakże, iż jestem równie bezbronny jak jagnię i gdyby pani zechciała poczęstować mnie marchewką?...

Głową wskazał kupkę złotawej marchwi, którą przyniosła dla swych bobrów.

Nieznajomy miał ogromnie miły głos. Monie przypomniało to dźwięk mowy ojca Albanela, przy czym na pobladyłych ustach i w znużonych oczach obcego wędrowca igrał przyjazny uśmiech. Dziewczyna szybko zbliżyła się do niego, kładąc mu rękę na ramieniu. Silny dotyk młodej, zdrowej dłoni, dodał jak gdyby człowiekowi energii-

— Co się stało? — spytała Mona. — Wygląda pan?...

— Na chorego, a także trochę na wariata! — dokończył za nią mężczyzna, gdy zawahała się w pół zdania. — Ale przede wszystkim jestem strasznie głodny, gdybym więc mógł dostać tych parę marchewek?...

Pomogła mu dojść pod pień najbliższego drzewa, gdzie usiadł ciężko, jak gdyby padł i zaraz też wzruszył ramionami z obrzydzenia nad własną słabością.

— Mam coś lepszego, niżli marchewka! — rzekła. — Proszę siedzieć tutaj, zaraz przyniosę!

Pośpieszyła przez polankę na ukos, w głębszy cień karłowatej sośniny, człowiek zaś obrócił głowę, by ani na chwilę nie stracić jej z oczu. Uroda tej dziewczyny przejmująco chwytła go za serce.

Niegdyś, przed bardzo wielu laty znał kogoś, kto do złudzenia przypominał to urocze zjawisko. Szczupła sylwetka tak zręcznie płynąca nad murawą, cofnęła go o dwadzieścia lat, aż słyszał niemal słodki głos wołający nań po imieniu. I miejsce było podobne: głusza leśna poplamiona słońcem, przeświecającym wśród gałęzi drzew.

Wędrowiec potarł dłonią nieogolony zarost na twarzy i wzdrygnął się z trwogi. Przyszło mu na myśl, że dziewczyna zlekła się go i po prostu umknęła. Skoro zatem znikła pomiędzy karłowatą

sośniną, człowiek sięgnąwszy do kupki surowej marchwi, począł jeść chciwie.

Mona wróciła tak cicho, że usłyszał ją wtenczas dopiero, gdy się znalazła tuż obok. Przyniosła ze sobą koszyk oraz wiaderko chłodnej, źródlanej wody. Rozesławszy mężczyźnie na kolanach serwetę, poczęła wyłładać zapasy z koszyka. Czuł na sobie jej badawczy wzrok, toteż biorąc do ust chleb i mięso, usiłował nie być żarłoczny.

— Zepsułem ci majówkę, dziecko! — rzekł, używając takich słów i takiego tonu, jak gdyby był bardzo stary. — Doprawdy, ogromnie mi przykro.

— Niczego pan nie zepsuł! — zawołała Mona żywo, pochylając się ku niemu ruchem pełnym serdecznej tkliwości. — Taka dziś jestem szczęśliwa! Teraz zaś Bóg pomnożył moje szczęście jeszcze bardziej, skoro dał mi możność pomóc panu!

— Szczęśliwa — szepnął nieznajomy sam do siebie. — Cóż to za cudowna rzecz być szczęśliwym! Niegdyś i ja także znałem to uczucie...

Obserwując, jak wędrowiec spożywa przyniesione przez nią zapasy, Mona usiłowała zachować pozorną wesołość. W gruncie rzeczy była wstrząśnięta do głębi. Nigdy jeszcze nie miała możności obserwować z tak bliska człowieka, konającego prawie z głodu i wyczerpania.

— Czy pan zbłądził? — spytała. Chwycił się od razu podsuniętej możliwości.

— Tak, zbłądziłem. Straciłem drogę w mokradłach pomiędzy torem kolejowym, a tą tu miejscowością. Zamierzałem trafić do osady zwanej Pięć Palców.

Mona aż krzyknęła.

— Ja jestem właśnie z Pięciu Palców! To zupełnie niedaleko. Wujek Piotr mówi, że stąd do osady mamy półtorej mili najwyżej.

Człowiek milczał długo i tak wyraźnie stracił od razu apetyt, aż się Mona zdziwiła.

— Byłaś dla mnie prawdziwym aniołem! — rzekł wreszcie. — Zwierzęta ciebie lubią. Nawet te całkiem dzikie stworzonka mają do ciebie zaufanie.

Spozierał obecnie w kierunku malutkich bobrów, zwiniętych na skraju stawu w puszyste, krągłe kule.

— Nazwałaś starego bobra Pietrek! Ciekawym, czemu?

— A jeden z malutkich, ten którego tu nie ma, nazywa się Piotruś! — dodała rumieniąc się Mona. — Wszystko to dlatego...

— Dlaczego?...

Oczy dziewczyny błyszczały.

— Ponieważ lubię to imię. Wychodzę niebawem za mąż za człowieka, który się nazywa Pietrek!

Nie wydało się jej wcale dziwne, że wyznaje tajemnicę swego szczęścia człowiekowi, którego widzi po raz pierwszy w życiu. Miał w oczach coś budzącego zaufanie, tajemniczą dobroć żądającą po prostu przyjaźni i zwierzeń. Czuła przy tym dreszcz rozkoszy, stwierdzając głośno, że kocha Pietrka i ma zostać jego żoną. No i człowiek ten doprawdy nie przypominał w niczym żadnego z włóczęgów, zagląających nieraz do osady. Było w nim coś znacznie bardziej wzruszającego niż łachmany, niż bijąca w oczy nędza, niż włos zbieleły w troskach i wynędzniała z głodu twarz. Ufała mu też w zupełności, nie analizując zresztą swych uczuć. Zdziwiła się tylko, skoro na jej wzmiankę o Pietrku ciało wędrowca przeszył wyraźny dreszcz.

— Więc ten Pietrek... — zaczął nieznajomy.

Słowa ugrzęzły mu w gardle. Przesunął dłonią po oczach jak gdyby ocierając z nich mgłę. Potem przemówił znowu.

— Szczęściarz z tego chłopaka! Czy nie nazywa się przypadkiem Pietrek Mac Rae?

— Tak. Skąd pan wie?

— I... kochasz go? Skinęła głową twierdząco.

— Miałam wtenczas tylko trzynaście lat, ale pokochałam go od pierwszej chwili, gdy przybył do osady Pięciu Palców, i walczył z Alekiem Currym w mojej obronie. Aleck był gburem i szarpał mnie za włosy.

Obcy wędrowiec pochylił tak nisko siwiejącą głowę, że Mona nie widziała wcale jego twarzy.

— To było przed sześciu laty, po południu. W maju minęło sześć lat. A ten Pietrek? Czy wspominał ci kiedy o swym ojcu?

— Och, tak, zaraz pierwszej nocy. Siedzieliśmy na skraju lasu w zupełnej prawie ciemności. Pietrek przyniósł od ojca list. dla Szymona Mac Quarrie'a, a Szymon opowiedział mu całą prawdę. Powiedział, że ojciec jego przypadkiem zabił człowieka, że stało się to już bardzo dawno, ale policja nie wierzy w przypadek, ściga zabójcę i powiesi go, o ile wpadnie im w ręce. Od tej pory zaś... Od tamtej nocy...

Mona znalazła się teraz tuż obok nieznanego. Z bijącym sercem, pobladła, obserwowała w napięciu, jak wolno podnosi schyloną głowę.

— Od tej pory — zaczęła znów cicho — modliliśmy się wspólnie z Pietrkiem, by ojciec jego wrócił! A teraz pan... pan...

Nie mógł umknąć wzrokiem przed jej badawczymi oczyma, ani się uchylić od odpowiedzi na natrętne, zawarte w nich pytanie.

— Czy chciałaby pani, abym to ja był ojcem Pietrka? — zagadnął niepewnie. — Ja, oberwaniec, brudny, nędzny, w łachmanach, żebrak po prostu?...

Mówił urywane słowa tonem zupełnej beznadziejności.

— Tak! — krzyknęła Mona, przy czym głos łamał się jej w podnieceniu. — Jeśli pan jest ojcem Pietrka, proszę mi to powiedzieć! My tak czekaliśmy! I ja mu przecież obiecałam, że pan wróci! Obiecałam i modliłam się co wieczór, by przepowiednia moja mogła się spełnić. Więc czy pan?...

Wyciągnęła doń ręce błagalnie.

— Tak. Jestem ojcem Pietrka.

Wyznając tę wielką prawdę nie miał w głosie ani dumy, ani radości. Słowa wybiegły drżące i pełne żalu. Głowa zwisała na piersi, jak gdyby w znużeniu.

Lecz niespodzianie stało się coś, co usunęło z serca Donalda Mac Raego nalot goryczy i wątpienia. Zobaczył twarz Mony pełną szczęścia, w chwili, gdy spełniało się to, o co się modliła od tylu lat. Opasała go ramionami tuląc delikatny policzek do niegolonej szczeciny zarostu. Przez mgnienie poczuł nawet dotyk jej ust. Podnosząc rękę, pogładził dłonią włosy dziewczyny... .

— Dziecko... — wyjąkał — moje drogie dziecko... Oderwała się od niego, na pół płacząc, na pół śmiejąc się, po czym wyskoczyła na środek polany. Przykładając dłonie do ust na kształt tuby, zawołała:

— Pietrku! Pietrku! Ach, Pietrku!

Z okrzykiem protestu Donald Mac Rae usiłował wstać. Chwiejnie zbliżył się do Mony. Spozrzęła, iż twarz ma bardzo bladą, oczy zaś przerażone.

— Nie rób tego — zawołał. — Na miłość Boską, nie rób tego! Pietrek nie powinien wcale wiedzieć, że tu jestem!

Zdumiona, odjęła ręce od ust i opuściła je wzdłuż sukni.

— Dlaczego? — spytała.

— Ponieważ...

Urwał, łowiąc daleki głos, płynący słabo z głębi boru.

— To właśnie Pietrek! — wyjaśniła Mona. — Mieliśmy spożyć kolację tu, nad stawem.

— Pietrek idzie tutaj?

— Tak.

Donald Mac Rae usiłował oddychać równo, usiłował mówić normalnie, podczas gdy trzymając w swej dłoni rękę dziewczyny, gładził ją nerwowo i przyjaźnie.

— Jak się nazywasz, mają dziecko?

— Mona Guyon.

— Mona Guyon. Mona to bardzo ładne imię. I cała jesteś słodka, dobra i śliczna. Matka Pietrka była bardzo do ciebie podobna. — Ogromnie jestem rad, że kochasz mego chłopca...

Głos Donalda Mac Raego wzmacnił się, nabrał brzmień bardziej energicznych.

Z lasu ponownie odezwało się wołanie, tym razem bliższe. Donald Mac Rae mocniej ścisnął dłoń dziewczyny. Dreszcz nim wstrząsnął, mimo to uśmiechał się do Mony w ten sam serdeczny sposób, w jaki niegdyś uśmiechał się do Pietrka za dobrych, dawnych dni przyjaźni i szczęścia.

— Woła po naszymu! — rzekł. W ten sposób nawoływaliśmy się niegdyś w borze z matką Pietrka, a później nauczyliśmy chłopaka, jak to się robi, by głos niósł daleko i pewnie.

Ani jego widoczna nędza, ani wielkie osłabienie nie wzruszały Mony najbardziej. O wiele tragiczniejszy był sztuczny spokój zbiega, nerwowy błysk jego oczu, nadludzka niemal walka, jaką w tej przełomowej chwili życia staczał sam ze sobą, by się tylko nie załamać pod ciężarem. Serce dziewczyny kurczyło się ze współczucia. Bała się trochę, lecz gotowa była prawie przytrzymać Donalda Mac Raego przemocą, aż do nadejścia Pietrka. Nie mogła zrozumieć treści jego słów ani pojąć, co ma na myśli.

— Ależ dlaczego Pietrek nie może wiedzieć, że pan tu jest? — spytała. — Nie pojmuję, dlaczego?

Zaciągnął ją z powrotem w gęstwę wierzb. Po chwili byli już dobrze ukryci wśród burych pni i zielonego listowia.

— Czy jesteś odważna? Czy nie złękiesz się tego, co ci powiem? Czy kochasz Pietrka dostatecznie, aby mi pomóc?

— Tak, tak, pomogę panu!

Donald Mac Rae umieścił się w ten sposób, że mógł wyglądać z gęstwy na polanę, po której miał przyjść Pietrek. Rozpacz, wraz z uczuciem całkowitej beznadziejności zmieniła mu twarz prawie nie do poznania.

— Pietrek nie powinien mnie zobaczyć! — rzekł głosem niewiele mocniejszym niżli wysilony szept. — Dziecko, musisz mnie zrozumieć, właśnie ty powinnaś mnie zrozumieć! Czyż nie wiesz, dlaczego uciekłem wtenczas od Pietrka, powierzając go opiece Szymona Mac Quarrie'a? Szło mi o to, by ułatwić życie memu synowi, by nie wisiała nad nim wciąż ta ohydna groźba, która wisi nade mną. Ja modliłem się również, co rano i wieczór zanosilem modły do Boga w ciągu lat długich dla mnie niby wieczność. Błagałem o szczęście dla Pietrka, o to, by z czasem zapomniał nawet o istnieniu ojca. Lecz ja sam nie potrafiłem zapomnieć ani na jeden moment o moim miłym synku! Stanowił wprost część duszy mej i ciała, krocząc obok mnie, śpiąc wraz ze mną, siedząc u mego boku, nocami, przy skąpym obozowym ognisku, aż nieraz tęsknota za jedynym dzieckiem dochodziła do takiego natężenia, że stawałem wprost u wrót obłędu. I cały ten czas ścigano mnie, tępiono! Umykałem z miejsca na miejsce, kryłem się po bagnach i ostępach leśnych, unikałem ludzi i miejsc zamieszkałych! Pietrek był wciąż ze mną i spozierał wciąż tak samo błagalnie, jak wtedy, gdy zostawiałem go samego w pobliżu osady Pięciu Palców, a on prosił, bym pozwolił mu iść ze sobą...

Wargi Donalda Mac Raego zdrząły; wstrząsnął nim dreszcz. Mona odparła cicho i szybko:

— Bo w ciągu tych wszystkich lat Pietrek naprawdę towarzyszył panu, Pietrek i ja. W pogodne,

letnie noce pytaliśmy księżycy, gdzie się pan znajduje, a gdy było zimno i burzliwie, odmawialiśmy pacierze. A na Boże Narodzenie Pietrek zawsze przygotowywał prezent dla swego ojca!

Po wynędzniałej twarzy przeleciał radosny błysk.

— Wspominaliście więc mnie na Gwiazdkę?

— Ależ tak, zawsze. I potem Pietrek wręczał mi swoje prezenty, bym je starannie przechowywała w cedrowej skrzyni, bo przecież wiedzieliśmy na pewno, że pan któregoś dnia wróci! Więc teraz...

Wołanie Pietrka odezwało się ponownie, tym razem znacznie bliżej. Donald puścił Monę, lecz ona, wspiąwszy się na palce, pocałowała go szybko i gorąco. Oczy miała pełne łez.

— Pietrek dziwi się, czemu nie odpowiadam! Och, proszę pana... proszę...

Niezdecydowany co czynie ukrył twarz w dłoniach. Z ogromnym wysiłkiem otrząsnął się z pokusy.

— Muszę ci to wytłumaczyć szybko — rzekł z rozpaczą — a ty musisz mnie zrozumieć! Policja znowu dybie na mnie. Włóczyłem się po wielkich mokradłach na północy, by zmylić tropy, ale mi się to nie powiodło. Jeśli wtargnę ponownie w życie Pietrka, mogę to uczynić jedynie na parę godzin — wiesz, co to znaczy? Nowa tragedia dla niego, nowy żal, nowa męka, ciemna chmura ponad tym rajem, który ty dla niego stworzyłaś, którego niezmaconą pogodę możesz i powinnaś utrzymać! Wróciłem, by go zobaczyć, by go sobie obejrzeć, by odnowić w pamięci obraz mego dziecka. Ale on nie powinien o tym wiedzieć. Jeśli naprawdę kochasz Pietrka, jeśli dbasz choć trochę o mnie samego, jeśli się nade mną litujesz — umożliwisz mi, bym mego syna mógł zobaczyć. Ukryję się pośród wierzb, a ty i on pogawędzicie na polanie.

— Pan postępuje źle! — przerwała Mona nerwowo. — Pan postępuje bardzo źle...

— Przeciwnie, postępuję dobrze! — upierał się Donald Mac Rae. — Będzie to dla mnie wielkim szczęściem zobaczyć go z tak bliska, usłyszeć jego głos, wiedzieć, że mu dobrze na świecie. Jeśli zaś Pietrek mnie zobaczy, jeśli mnie dotknie, jeśli przemówi do mnie, kto wie, czy nie zapłacę życiem za tę jedną chwilę. Rozumiesz, to by mnie zatrzymało tu na dłużej! Nie znalazłbym w sobie dość siły, aby odejść, tymczasem policja jest blisko i jeśli mnie schwyta...

Nie kończąc zdania zgarbił się tylko, jak gdyby niespodziany ciężar przytłoczył mu barki. W oczach Mony zapłonął ogień, a łzy obeschły prędko. — A jeśli sprowadzę Pietrka tu, na polanę — spytała — czy obiecuje pan zaczekać, aż będziemy mogli porozmawiać?

— Obiecuję.

— Nawet gdyby przyszło czekać do jutra lub do pojutrze?

— Zaczekam.

Trudno mu było kłamać, nie odwracając wzroku od pięknych oczu patrzących tak uważnie. Kłamał mimo to wspaniale, tak dalece bez zarzutu, że Mona ani się domyślała podstępu.

Odwróciła się teraz szybko, twarzą ku polanie.

— Sprowadzę tutaj Pietrka! — rzekła.

Podbiegła do kępy jeżyn i nachylona gorączkowo doprowadziła do porządku koszyk z żywnością, ciskając w wodę niedojedzone szczątki. Potem pośpieszyła przez polanę. Wołanie Pietrka doleciało ku niej znowu, lecz tym razem nie zwlekała już z odpowiedzią. Przystanęła w głębokim cieniu po drugiej stronie łączki i ręce przycisnęła do twarzy. Policzki paliły ją jak w gorączce. Zwalczała narastające uczucie winy, rozumiejąc, że nie tylko oszukuje teraz Pietrka, ale popełnia nawet coś w rodzaju świętokradztwa, zatajając fakt, iż Stwórca wysłuchał wreszcie gorących modlitw. A jednak trzeba ukryć prawdę przez Pietrkiem!...

Tylko czy uda się go oszukać? Czy nie spostrzeże jej podniecenia? Chyba że... Ależ tak, doskonały pomysł!

Roześmiała się cichutko rada z pomysłu. Pietrek lubił jej włosy. Lubiał, gdy nosiła je spuszczone luźno, jak wtedy gdy spotkał ją pierwszego dnia w pobliżu osady. Mona przystanąła znów na chwilę, szybko przebierając palcami wśród lśniących splotów, aż opadły w dół ciężką, błyszczącą falą. Teraz Pietrek nie domyśli się niczego, niczego nie zauważy. Był to doprawdy najlepszy sposób, by uczynić go ślepym na wszystko inne.

Słyszała go, jak się zbliżał pośród chaszczy. Biegł zaniepokojony niewątpliwie, że czas dłuższy nie otrzymywał odpowiedzi na swe wołanie i że za ostatnim razem głos Mony zabrzmiał inaczej jakoś niż zwykle.

Mona zachowywała się bardzo cicho, tak, iż skoro Pietrek przesadził jednym skokiem zwalone drzewo, zaledwie o dwadzieścia kroków od niej, nie spostrzegł jej jeszcze. Zatrzymał się i z głową odrzuconą wstecz, oddychając szybko, nasłuchiwał. Monie przypomniawszy się w tej chwili pamiętny dzień sprzed siedmiu laty, gdy Pietrek wpadł podobnie na inną polanę i zastał ją walczącą z Aleckiem Currym.

Był to przecie ten sam Pietrek, tyle, że dorosły. Włosy mu nie ściemniały, oczy zaś zachowały niezmacony błękit. Szczery, odważny, wrażliwy Pietrek, który się nie zawahał walczyć w obronie obcej dziewczynki z chłopakiem znacznie od siebie starszym, i niemal dwakroć większym.

Z biegiem lat zmienił się jedynie na korzyść. Był nadal po chłopięcemu szczupły, a taki przy tym zręczny, taki lekki w ruchach, że serce Mony drgnęło dumą. Obserwując go, wstrzymała oddech, rada, że widzi w jego rysach wzrastający niepokój. Zawołał ją znowu, w chwili zaś, gdy krzyk jego zamarł w powietrzu i nastąpiła zupełna cisza, Mona klasnąwszy w dłonie wybuchnęła śmiechem.

Pietrek obrócił się zdumiony, gdy zaś zobaczył ją stojącą nieruchomo w powodzi ciemnych włosów, odetchnął głęboko, i krew uderzyła mu do głowy. Zbliżał się do dziewczyny milcząco. Niepokój na twarzy jego pierzchł, ustępując miejsca ogromnemu szczęściu. Wobec tak spontanicznej radości Mona uśmiechnęła się promiennie, wyciągając ręce do narzeczonego zapomniawszy na chwilę o tym, iż wśród pobliskich chaszczy czeka ukryty wędrowiec.

Pietrek przytulił Monę, trzymając ją przez moment tak ciasno, że czuł wyraźnie bicie jej serca. Dopiero gdy ucałował włosy jej i usta, przyszło mu na myśl spytać, czemu tyle czasu nie odpowiadała na jego wołanie.

— Chciałam cię po prostu ukarać za to, że mi kazałeś czekać tak długo! — rzekła. Ale — tu uniosła ku górze pasmo rozpuszczonych włosów — w ostatniej chwili pożałowałam, że jestem taka mściwa i chciałam ci to jakoś wynagrodzić. Czy mi przebaczasz, Pietrku?

Mona przypomniawszy sobie znowu o obecności Donalda Mac Raego, wsunawszy zatem dłoń w rękę Pietrka powiodła go w stronę stawu. Pietrek zaś tak był rad obecności narzeczonej, tak wzruszony, że ma ją blisko, iż nie przyszło mu nawet do głowy zastanawiać się, czemu dziewczyna tak kurczowo ścisła jego palce lub czemu oddycha prędko i nierówno.

Znaleźli się niebawem tuż obok wierzbowej gęstwy. Mona wiedziała, że Donald spogląda obecnie w twarz swego syna. Wzrok jej wybiegał wciąż ku kępie zielonych zarośli, pośród których krył się wędrowiec, a w pewnej chwili uловиła nawet drżenie liści na szczytowych gałęziach, jak gdyby je poruszył wiatr albo też zaniepokojone zwierzę.

Mona energicznym ruchem odrzuciła teraz wstecz rozpuszczone włosy. Nie usiłowała już w tej chwili ukrywać wobec Pietrka niepokoju, który ją dręczył. Zdziwił się, a nawet nieco przeraził jej wyglądem. Mimo woli, ponad ramieniem narzeczonego wlepiała wzrok w zieloną gęstwę, w której czatował Donald Mac Rae. Znajdowali się zaledwie o parę kroków od zbiega, niewątpliwie więc ani jedno słowo wypowiedziane nawet głosem normalnym, nie mogło ujść jego uwagi.

Dziewczyna przeniosła znów oczy na Pietrka. Widząc jego ogromny niepokój posłała mu uśmiech

i pocałunek. Na ten jej gest rozchmurzał się zawsze. Nieśmiało ujmując za rękaw, pociągnęła go jeszcze o krok bliżej wierzbowej gęstwy.

— Zanim tu przyszedłeś — zaczęła — coś się stało... Mówiła dość głośno, na pół ze wzburzenia, na pół w obawie, że Donald Mac Rae nie słyszy jej dość wyraźnie.

— Coś się stało. Zdrzemnęłam się widać, i nawiedził mnie sen... okropny.

Urwała, bowiem doszedł ją w pobliżu trzask pękającej pod stopą gałęzi. Wzdrygnęła się.

— Jakaż ja jestem niemądra, że sen tak bardzo mnie przeraził. Na twarzy Pietrka odmalowała się wyraźna ulga. Objął dziewczynę, przytulił mocno i delikatnie odgarnął jej włosy z czoła.

— Spałaś, aniołku! A ja zdzieriałem sobie gardło, żeby cię obudzić!

Wyczerpawszy jak gdyby poprzedni temat, Mona rzekła:

— Pietrku, czyś mi nie skłamał wtenczas? Czy doprawdy wierzysz w siłę modlitwy?

Pochylając się ucałował ją w czoło.

— Tak, aniołku, szczególnie w twoją modlitwę. Bóg wysłuchał cię dotąd zawsze i niewątpliwie zechce cię też wysłuchać nadal!

— Prawda, że oboje modlimy się już bardzo dawno o powrót twego ojca?

Skinął głową twierdząco, choć był nieco zdziwiony.

— Tak, bardzo dawno.

Mona przemówiła teraz bardzo wolno, bardzo dobitnie, przy czym słowa jej przeznaczone były raczej dla Donalda Mac Rae, niż dla Pietrka.

— A jeśli ojciec twój nigdy już nie wróci, jeśli go nigdy więcej nie ujrzysz, wiara twoja w Boga, do którego modliliśmy się przecie tak żarliwie, ulegnie jednak pewnemu zachwianiu. Prawda, Pietrek?

Czekała, wstrzymując nawet oddech, w obawie, że najlżejszy choćby szelest nie dozwoli człowiekowi ukrytemu w gęstwinie usłyszeć w całości odpowiedzi Pietrka.

— Wróci na pewno. Nadejdzie dzień, że ojciec mój wróci z pewnością, Mono.

— To ci przecie obiecał solennie, tego dnia, gdy porzucił cię samego w pobliżu naszej osady — i uciekł. Wspominałeś niejednokrotnie, że po Bogu najsilniejsza jest w tobie wiara w ojca. Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że owego dnia, przed laty, ojciec, obiecując ci że wróci, po prostu — skłamał?!

Zagapił się na nią bez słowa. Z blaskiem triumfu w oczach Mona spojrzała w stronę kryjówki Donalda Mac Raego.

— W naszym małym kościółku ojciec Albanel uczy nas zawsze żyć prawdą, nie kłamać, i dotrzymywać poczynionych obietnic. Pietrku, gdyby ojciec twój cię oszukał albo gdybym ja cię oszukała, czyż to nie byłoby straszne?! Mój koszmar polegał właśnie na tym, i tak okropnie mnie przeraził...

Umilkła na chwilę, opierając policzek o ramię narzeczonego; zależało jej na tym, by nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy.

— Znajdowałam się tutaj, w pobliżu tego drzewa, gdy zauważyłam zjawę twego ojca. Był w łachmanach, znużony i chory, tak przy tym blady, że jadł surową marchew, którą przyniosłam dla bobrów. Przybył rzekomo po to wyłącznie, by cię zobaczyć, Pietrku, obejrzeć z ukrycia, ale nie pokazać się samemu. Twierdził, że byłbyś na nowo nieszczęśliwy; że o wiele lepiej będzie, gdy zapomnisz o jego egzystencji. Kazał mi przyrzec, że ci jego obecności nie zdradzę. Przyrzekłam! Przyrzekłam, że cię oszukam, kochany, że po tylu latach tęsknoty i modłów zataję przed tobą prawdę...

Objęła go ramionami za szyję, twarz tuliła mocno do piersi.

— Och, Pietrku, gdybym tak postąpiła naprawdę, nawet Bóg nie zdołałby mi przebaczyć! A ty sam, gdybyś się z czasem o oszustwie dowiedział, czyż mógłbyś mnie nadal darzyć zaufaniem? No, powiedz? Powiedz!

Cała drżąca, z sercem dziko bijącym na alarm, tuliła się doń rozpaczliwie. W grupie wierzb dostrzegła nowy ruch i zgroza przejęła ją na myśl, że Donald Mac Rae odchodzi.

— To był tylko sen! — uspokajał ją Pietrek, mocno tuląc dziewczynę do piersi. — Nie obawiasz się chyba snów, Mono?

Wtem, spośród gąszczu, rozległ się głos:

— Niech mi Bóg przebaczy, że jestem tak słaby! — wołał ktoś poza nimi. — Pietrku, Pietrku!

Donald Mac Rae wyszedł spomiędzy wierzb na polanę. Zapomniał, że nosi łachmany, że pokrywa go zaschłe błoto; nie miał już w twarzy okropnego wyrazu ściganego człowieka. Teraźniejszość przestała istnieć: groźna dłoń sprawiedliwości zawieszona nad głową, wyczerpanie, nędza, głód. Miał wrażenie, że czas cofnął się o pięć lat i że na polanie zalanej blaskiem słonecznym żegna swego synka.

W ciągu tych paru sekund, gdy Pietrek zamarł na dźwięk niespodziewanego głosu, Mona patrzyła na Donalda Mac Raego stojącego z wyciągniętymi ramionami. Lecz skoro Pietrek obrócił się wolno i spojrzał na ojca, wzruszenie dziewczyny wyładowało się potokiem łez.

Wtem:

— Ojczy!

Nigdy jeszcze nie słyszała z ust Pietrka takiego okrzyku. Zdławiło ją w gardle, a gdy obaj mężczyźni padli sobie w objęcia, Mona odwróciła się i odeszła.

Dążąc wzdłuż porośłego chaszczami brzegu stawu, szybko straciła ich z oczu. Poprzez łyzy ledwo mogła odróżnić ścieżkę. Bezwiednie szeptem, powtarzała wciąż w kółko imię Pietrka, jak gdyby, chociaż od lat wielu modliła się o to szczęśliwe zakończenie, nie umiała w głębi duszy uwierzyć, iż się to spełniło naprawdę.

Rozdział XVI

ZAKŁĘTY WRÓG

Na krótki czas Pietrek zmienił się w dawnego chłopca, dla którego ojciec był całym światem i jedyną radością życia. Nie odczuwał też żadnej różnicy w dotyku tych ramion, które od małego otaczały go troskliwą opieką, które tuliły go i dodawały mu odwagi z kobiecą niemal tkliwością.

Dopiero gdy Donald Mac Rae odsunął nieco syna, oparłszy mu dłonie na ramionach, do świadomości Pietrka przedostał się inny czynnik, prócz obłędnej radości z powrotu ojca. Dostrzegł zresztą zmianę: nagą pierś, na pół obnażone barki, brud i łachmany, twarz, na której niezliczone troski wyryły niezatarte piętno. Usiłował zapanować nad uczuciem przerażenia, nie pozwolił, by zgroza odzwierciedliła się w jego oczach, próbował się śmiać, zanosić od śmiechu przez łzy. Wskazał też palcem pobliską białą brzozę, na której darła się wesoło błękitna sójka.

— Błękitna sójka! — krzyknął. — Błękitna sójka, ojcze! Czy pamiętasz tego dnia, za zwałoną kłodą, sójkę wrzeszczącą na wierzchołku sąsiedniego drzewa? A ten dzieciół kujący pień pod samą ręką?! A te fiołki pod nogami?!

Dłonie, kurczowo oparte na jego ramionach, zmiękły.

— Ilekroć spostrzegłem błękitną sójkę, zawsze myślałem o tobie! — rzekł Donald Mac Rae. — I o tej wzburzonej rzece za nami i jak wymknęliśmy się policji, i jak piekliśmy króliki! I... i...

Doznał znów takiego zawrotu głowy, że świat zawirował mu w oczach. Usiłował się uśmiechnąć, czepiał się Pietrka sztywniejącymi palcami.

— Na mokradłach panował straszny upał, chłopcze... Taki jestem okropnie znużony...

Zatoczył się, więc Pietrek pochwycił go w samą porę. Chuda twarz Donalda Mac Raego zbieleła, powieki bezwładnie opadły mu na oczy, lecz jakkolwiek już mało co widział, wciąż jeszcze starał się uśmiechać do swego synka.

Mona, splatająca włosy w dwa warkocze poza osłoną wierzbowej gęstwy, usłyszała pełne przerażenia wołanie Pietrka. Gdy podbiegła szybko, chłopak klęczał obok leżącego na ziemi ojca, spryskując mu twarz wodą ze stawu. Donald Mac Rae leżał wyciągnięty na murawie. Ledwo oddychał, przy czym wynędzniała jego twarz pod szczeciną niegolonej brody miała kolor wosku.

Z rysów Pietrka strach i rozpacz starły podniecenie. Unosząc ku Monie przerażone oczy daremnie usiłował coś powiedzieć.

Dziewczyna od razu zrozumiała, co zaszło. Klękając obok tkliwie uniosła głowę Donalda Mac Raego, kładąc ją sobie na kolanach. Podniecenie wraz z silną wolą podtrzymywały czas jakiś tę ruinę człowieka, lecz teraz nadszedł kres nadwątlonych sił. Pietrek był tak zbolały, jak gdyby weń trafiła kula.

Mona przeczuła myśli Pietrka oraz powód, dla którego ze zbielełych warg nie mogło wyjść nawet jedno słowo. Przemówiła zatem prędko i raźnie:

— Pietrku, to tylko omdlenie! To ta włóczęga po mokradłach! Zwierzył mi się, że policja go prześladowuje i że się krył wśród bagien. Gorąco, niedobra woda do picia...

Usiłowała daremnie zatrzeć straszną prawdę, wmówić w Pietrka, że tę ruinę człowieka wytworzył przypadkowy zbieg okoliczności, że nie jest to bynajmniej wynik długiej nędzy, tylko chwilowe wyczerpanie. Zrozumiawszy jednak niebawem, że to daremny trud, umilkła i wobec przenikliwych oczu Pietrka spuściła głowę.

Słyszała, jak szeptem powtórzył: policja, przy czym to jedno słowo z trudem przeszło mu przez

gardło. Omal się nim nie zadławił. Wstał potem i zszedł raz jeszcze na brzeg, po wodę. Skoro wrócił z wiaderkiem, Mona umoczyła własną chusteczkę, przykrywając wilgotną szmatką oczy i skronie Donalda. Pietrek rozsznurowywał tymczasem zniszczone, pokryte zaschłym błotem trzewiki, lecz wtem krzyknął. Był to nie tyle krzyk, co jęk rozpacz i zrozumienia, gdyż właśnie dłoń jego odnalazła w zdeptanej trawie na pół zjedzoną marchew, porzuconą przez ojca.

Mona nie widziała nigdy twarzy Pietrka tak bladej ani nigdy nie dostrzegła w błękitnych oczach tego chłopca, z którym przecież rosła w ciągu kilku lat — tak groźnego, tak całkowicie obcego wyrazu.

— Oddycha już łżej! — rzekła. — To było wzruszenie... wstrząs...

Skinął głową, po czym odparł głosem bardzo równym i jak gdyby martwym.

— Wiem, co to było, och, wiem dobrze!

Ujął w obie dłonie rękę ojca i trzymając mocno, nie spuszczał wzroku z nieruchomej głowy, spoczywającej na kolanach dziewczyny. Twarz poróżowiła trochę, oddychał nieco swobodniej.

— Jakże to długo trwało, ojcze! Sześć lat, całych sześć lat na wzór owych trzech dni, gdy policja polowała na nas w borze, a tyś chwycił w sidła króliki, żeby mnie nakarmić! Ale teraz to już koniec! Koniec!

Monie ścisnęło się serce.

— Och, tak, Pietrku, zatrzymamy go tutaj na zawsze! Znajdziemy mu jakąś kryjówkę, nie pozwolimy odejść nigdy więcej! Pietrku, to wcale nie będzie takie trudne. Ojciec Albanel nam pomoże! Szymon. ..

Donald Mac Rae odetchnął głębiej, lecz nie ten oddech bynajmniej ani też towarzyszący mu zdławiony jęk sprawiły, że dziewczynie słowa ugrzęzły raptem w gardle. Nie skończyła nawet rozpoczętego zdania. Pietrek, ponad jej głową, patrzył na coś, co się znajdowało poza jej plecami. Puścił dłoń ojca, to zaś co dostrzegła w jego rysach, wydarło jej z piersi trwożny okrzyk, zanim nawet zrozumiała jeszcze, o co chodzi. Obróciwszy się, podniosła wzrok i raptem, momentalnie porwała się wraz z Pietrkiem na równe nogi.

Tak ostrożnie, że najmniejszy nawet szelest ani chrzęst mchu, ani trzask suchej gałązki pod stopą nie uprzedziły o jego zbliżaniu, człowiek jakiś podkradł się do nich o parę kroków.

Stał zaledwie o trzy czy cztery metry, odziany w połowy mundur miejscowej policji. Ten straszny fakt wrył się najpiew w jej mózg. Człowiek ten był przedstawicielem władzy, ścigał Donalda Mac Rae i schwycił go!

Po pierwszym wstrząsie przyszedł drugi, jeszcze silniejszy, gdyż z kolei dostrzegła twarz ponad mundurem. Było to oblicze wielkie i pospolite, ociekające potem; grube wargi, duży nos, tylko oczy zbyt małe i zbyt wąsko osadzone, jak na tę masywną postać. W rysach odzwierciedlał się triumf graniczący z upojeniem, całość zaś stanowiła coś na kształt dramatycznego prologu, gdy przybysz czekał milcząc, ciężkimi łapami wsparty o biodra, przy czym złośliwy uśmiech wykrzywiał mu kąty ust.

Nie przemówił ani słowa, nie ruszał się wcale, lecz sama jego obecność napełniała grozą Monę i Pietrka. Policjant zatrzymał teraz wzrok na Monie. Jadowity błysk jego oczu, myśl, której nie potrafi ukryć, nielitościwy zamiar bijący z przymrużonych źrenic — wszystko to sprawiło, że Mona krzyknęła raptem, ze strachu, z rozpacz, na pół jeszcze nie wierząc, a równocześnie żebrząc już litości.

— Aleck! Aleck Curry!

Człowiek skinął kwadratowym łbem, lecz milczał w dalszym ciągu. Zbyt wielkim było zwycięstwo, aby je można było wyrazić w słowach. Zerknął natomiast na Pietrka, po czym, z

wyraźną intencją zniżył wzrok ku nieruchomej postaci Pietrkowego ojca. Nie marzył nawet nigdy o wspanialszej wygranej! Gdyby nie ten człowiek, a raczej , gdyby nie jego syn, dziewczyna należałaby dziś do Alecka Curry'ego! Pietrek stanął mu na drodze od samego początku, od tego dnia, gdy schwytał Monę na skraju polany. Pietrek zwyciężył go i zbił! Znienawidził też tego przybłądy bardziej, niż kogokolwiek na całej kuli ziemskiej! A teraz trzymał w garści serce i duszę Pietrka, całe jego szczęście, nieomal cały dalszy los!

Jakże drogo każe mu zapłacić!

— No, teraz już koniec! — rzekł, powtarzając zdanie Pietrka sprzed paru minut. — Prawdę mówiąc, to się bardzo cieszę, gdyż na mokradłach panuje piekielny upał, i masa tam komarów...

Coś szcęknęło, gdy sięgnął do pasa, i na ten dźwięk Monę przebiegł dreszcz zgrozy. Aleck wyciągnął na dłoni stalowe kajdanki, z wyraźną intencją, by dziewczyna mogła je sobie dokładnie obejrzeć.

— Niestety, muszę! — rzekł z drwiącą pokorą w głosie. — Przykre, ale konieczne!

Zwrócił się teraz do Pietrka.

— Ojciec twój wie, że depczemy mu po piętach. Udawanie nieboszczyka nie na wiele się przyda! Śliski jest niby węgorz, toteż zabezpieczę się na wszelki wypadek. Mam wrażenie...

Umilkł, ruchem głowy wskazując teraz Monę.

— Mam wrażenie — ciągnął znów po chwili — że ojciec Albanel i stary Szymon niewiele tu już teraz pomogą! Mimo to pięknie zrobiłaś Mono, że pomyślałaś o tym! Byłaś zawsze tak czuła, ilekroć szło o Pietrka!

Nic się w ciągu paru lat nie zmienił; nadal był tym samym ordynarnym gburem, toteż głos miał pełen triumfu. Ależ mu się powiodło. Nie szło już nawet o tego człowieka, którego schwytał, i którego zgodnie z prawem czeka szubienica. O ileż miłszym był widok skażonej cierpieniem twarzy Mony! Jej nieludzkie przerażenie! A rysy Pietrka pełne bezradnej rozpacz i bólu! Nie spieszył się zatem Aleck Curry, nie przyzywał na pomoc autorytetu swojej szarży, lecz z wolna i umiejętnie obracał nóż w ranie tych obojga.

Mona odwróciła wzrok od Alecka Curry'ego i spojrzała na Pietrka. Serce w niej zamarło. Był szary na twarzy; bez kropli krwi w wargach. Spozierając w dół na nieruchomą, obróconą ku niemu twarz ojca, zaciskał pięści.

Po pewnym czasie uniósł głowę i Mona spostrzegła, że oczy jego nie są już w niczym podobne do oczu dawnego Pietrka. Z wolna podeszła do Alecka Curry'ego. Brzękły kajdanki. Aleck puścił je znów na przytwierdzony do pasa łańcuszek i namacał dłonią rewolwer na biodrze.

Pietrek nie słyszał brzęku stali ani nie zdał sobie sprawy z groźnego znaczenia tego gestu. Jedną, jedyne myśl obłądnie tłukła mu się po mózgu. Ojciec wrócił, po sześciu latach przybył znowu do domu i zaraz w pierwszych chwilach to bydlę w ludzkim ciele chce zniweczyć wszystko, rozwalić w gruzy gmach szczęścia wzniesiony modłami i wiarą. W Alecku Currym widział nie tylko wcielenie bezlitosnego prawa, które ścigało ojca tropiąc go od nory do nory, niby szczura, lecz widział w nim również złośliwego potwora, rozpuszczonego chłopca, z którego wyrósł pozbawiony ludzkich uczuć człowiek. Jedyne wyjście było Alecka zabić!

Mona, na równi z Aleckiem Currym odgadła zamiar Pietrka. Lecz dostrzegła coś więcej: dłoni na rewolwerze, zaciskające się palce, niebezpieczny błysk w oczach — a Pietrek tylko z gołymi pięściami! Krzyknęła ostrzegawczo, zdjeta strachem tak potwornym, że paraliżującym jej ruchy. Krzyk przeszedł w okropny wrzask, gdyż w chwili, gdy Pietrek skoczył, Aleck poderwał broń i strzelił. Monie zrobiło się teraz tak słabo, że przez pewien czas, na pół mdlejąc, nie widziała już i nie słyszała nic.

Gończy pomuch wystrzału zionął Pietrkowi prosto w twarz, a huk ogłuszył go niby piorun. To nie był strzał dany tylko na postrach; śmierć minęła go zaledwie o parę cali. Aleck zamierzał już ponownie pociągnąć za cyngiel, już nawet powtórnie zgiął palec, lecz Pietrek go uprzedził ruchem jeszcze szybszym. Schylił się mianowicie i runął całym ciężarem pod wieszoną ramię przeciwnika. Nie uderzył, tylko oburącz schwytał kiść policjanta, równocześnie podstawiając mu nogę. Zwalili się obaj na ziemię, Aleck na wznak, Pietrek twarzą na jego pierś.

Pietrek zrozumiał w tej chwili, jak dalece nierówna będzie ta walka. Naga prawda olśniła go niby piorun. Walczy oto z człowiekiem, który go chce *zabić*, który ma po temu pełne prawo i któremu z zabójstwa nie tylko nie uczynią zarzutu, lecz pochwalą go za ten czyn. Jest przecież wyrzutkiem społeczeństwa, postawionym już poza nawias i słusznie zasługującym na swój los. Lecz zarówno jego życie, jak i życie ojca zależało teraz od wygranej. Musi więc złamać kiść przeciwnika i zdobyć rewolwer. Zginać samemu lub samemu zabić!

Dobyl wszelkich zasobów sił fizycznych i skoncentrował je na kiści Alecka, podczas gdy ten ostatni opasał mu szyję wolnym ramieniem. Pietrek przeciągnął wrogą rękę ku sobie, wykręcił ją i próbował złamać szarpiąc, lecz była niby pręt stalowy, którego nie sposób skruszyć. Grube palce ani myślały wypuścić rękojeści rewolweru i mimo rozpaczliwych usiłowań wytrzeszczone oczy Pietrka widziały, jak czarny otwór lufy sunie coraz bliżej jego ciała.

Było już zresztą za późno; Pietrek doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że w walce wręcz nie da Aleckowi rady. Jego zwinność i wytrwałość nie liczyły się tutaj wcale. Aleck, powolny, mało obrotny, niezbyt wytrwały, lecz posiadający siłę iście zwierzęcą, siłę trzech normalnych ludzi, mógł go łatwo zmażdżyć. Na razie jednak policjant miał co innego na myśli: chciał koniecznie użyć broni i na tym pragnieniu skoncentrował cały swój wysiłek.

Te dwie lub trzy minuty rozpaczliwej walki o życie dłużyły się Pietrkowi niby wieczność. Widział twarz Alecka, wykrzywioną złośliwym uśmiechem, drwiąco zmrużone, nabiegłe krwią oczy i grube kpiące wargi. Potężne ramię przeciwnika wolno lecz pewnie łamało jego opór. Rewolwer celował mu już prosto w pierś. Teraz dopiero Pietrek pojął, czemu Aleck Curry nie wyzyskał dławiącej siły lewego ramienia. Wyczekiwał po prostu chwili sposobnej, gdy zaś nadeszła, zacieśnił obręcz. Było to niby stalowe półkole gniotące kark Pietrka, wykręcające mu głowę w ten sposób, że rozszerzone z braku powietrza oczy musiały się oderwać od rewolweru i pod przymusem spojrzeć w górę.

Wtenczas właśnie Pietrek dostrzegł Monę. Chwiejąc się biegła znad skraju wody, trzymając w garści coś, co przypominało kawał zeschniętego błota. Mignęła mu z bliska jej biała, ściągnięta przerażeniem twarz; padłszy obok na kolana, poczęła walić o coś tą trzymaną w ręku grudą.

Aleck Curry wrzasnął przeraźliwie, a ramię jego, dławiące szyję Pietrka, zwiotczało. Pietrek mógł teraz znowu odwrócić głowę, dostrzegł więc Monę obrabiającą kamieniem garść Alecka trzymającą rewolwer. Ten właśnie kamień wziął poprzednio za stwardniałe błoto. Dłoń policjanta broczyła już krwią; grube palce rozłaziły się bezwładnie. Błyskawicznym ruchem dziewczyna porwała z ziemi ciężki rewolwer i cofnęła się z nim na bezpieczną odległość.

Pietrek gwałtownym podrzutem do góry wyswobodził się z uścisku Alecka. Równocześnie wrzasnął dziko, radośnie, zachwycony czynem Mony. Aleck także gramolił się z ziemi. Obaj stanęli na nogach. Pietrek wyrzucił pięść ku przodowi, trafił Alecka w szczękę i omal nie zwałił go na ziemię. Potem obrócił się, by przyjąć od dziewczyny rewolwer. Znajdowała się właśnie w pół drogi od stawu. Przywołał ją krzykiem ostrzegawczym, ale zdawała się nie słyszeć. Lśniącą broń wyleciała jej z garści, zatoczyła łuk w powietrzu, i z pluskiem zginęła w wodzie.

Teraz dziewczyna obróciła się, gdy zaś przywoływał ją nadal, podbiegła, podając mu kamień

pokryty błotem i krwią. Oczy miała bezmiernie przerażone. Zrozumiał, że chciała się co prędzej pozbyć broni, która o mało nie odebrała mu życia. Widziała w tym rewolwerze narzędzie mordu posłuszne tylko stronie przeciwnej.

Pietrek pozwolił, by okruch głazu wyśliznął mu się z palców i potoczył po ziemi. Nie zważał na krzyk protestu z bladych ust Mony ani nie spostrzegł, że dziewczyna się pochyła i podnosi kamień na nowo. Sam szedł na spotkanie Alecka Curry'ego.

Wróg czekał przygięty, pochylony ku przodowi, niby potworny goryl. Głowę trzymał nisko, zaciskał olbrzymie pięści, a twarz miał pełną wściekłości. Ręka skaleczona kamieniem Mony broczyła krwią.

Runął pierwszy do ataku, szeroko rozstawiwszy ramiona, usiłując pochwycić znenawidzonego rywala. Pietrek przyjął go zręcznie niby kot, unikając śmiertelnego chwytu, skacząc to tu, to tam, bijąc i cofając się znowu. Padał cios za ciosem. Lokując całą swą siłę w celnym uderzeniu, Pietrek sięgnął masywnej szczęki, lecz tym razem ciężka głowa ledwo się zachwiała na krótkiej, grubej szyi. Aleck następował wolno lecz uparcie, nie dbając, o ciosy, sunąc bezdusznie na pozór, jak machina i za każdym krokiem spychając Pietrka coraz dalej nad brzeg stawu.

Wtem Mona, zabiegłszy od tyłu, oburącz uniosła swój kamień i uderzyła Alecka między łopatki. Uniosła go właśnie po raz drugi, gdy ze zwierzęcym rykiem mężczyzna obrócił się niespodzianie, wyciągniętym ramieniem, niby poławem, zataczając szerokie półkole.

Cios zawadził o dziewczynę, odrzucił ją z wielką siłą i cisnął nieprzytomną na ziemię. Nie krzyknęła nawet, Pietrek natomiast wrzasnął w dzikiej pasji. Skoczył naprzód i lawina razów zwała się na głowę Alecka, kalecząc mu wargi, oślepiając go i tamując dech w piersi. Lecz mimo to potężne garści prawie po omacku schwytały Pietrka właśnie w chwili, gdy stopy obu walczących poczęły grzęznąć w mule przybrzeżnym. Z pokrwawionych ust Alecka dobył się krzyk triumfu. Chwila jego wreszcie nadeszła!

Czując, że trafił ponownie w śmiertelny uścisk, Pietrek gorączkowo pomyślał o ratunku. Wybawienie leżało jedynie na dnie stawu, wiedział więc, że jeśli mu się nie uda zaciągnąć tam przeciwnika, jest nieodwołalnie zgubiony. Wyciągając ręce zacisnął zatem obie dłonie we włosach Alecka i z całej siły szarpnął mu głowę w dół. Ten ruch wywołał efekt zamierzony, gdyż obaj przeciwnicy zbliżyli się znów o krok do krawędzi, poza którą ziała ośmiometrowa głębia wodna.

Nieświadom czekającej nań pułapki, Aleck zgiął się do przodu, z całej siły cisnąc do siebie Pietrka, skoro zaś ten raptownie podał się wstecz, obaj stracili równowagę i z chlupotem wpadli do stawu.

Ledwie uderzyli o wodę, Pietrek głęboko wciągnął w płuca powietrze, a w tejże samej chwili jego przeciwnik, rozluźniając uścisk, począł się niezdarnie miotać wśród żywiołu, z którym w czasach dziecięcych jeszcze nie umiał zawrzeć bliższej znajomości. Mona, która chwiejnie przyczołgała się właśnie nad brzeg stawu, dostrzegła teraz wynurzającą się ponad toń wielką, szkarłatną twarz. Lecz równocześnie ołowiany ciężar wczepił się w jedną z nóg Alecka i powlókł go w dół. Dopiero znalazłszy się na błotnistym dnie Pietrek wypuścił swego wroga, sam zaś wypłynął na powierzchnię, by złapać świeży zapas tlenu. Nabrał właśnie pełne płuca powietrza, gdy Aleck również wynurzył się z toni, lecz Pietrek ponownie dał nurka wlejąc wroga za sobą. Tym razem trwało to znacznie dłużej. Pietrek wisiał u nogi policjanta jak kotwica.

Po raz trzeci i czwarty Aleck wydzierał się z topieli, lecz za piątym razem osłabł tak dalece, że Pietrek musiał go sam przyholować do brzegu i prawie nieprzytomnego wydobyć na ląd.

Mona, odzyskawszy już całkowicie przytomność, brała także udział przy wyciąganiu na suszę ciężkiego cielska. Pietrek zauważył na jej czole wielki siniec, ślad po otrzymanym uderzeniu. W

ciągu paru sekund kajdanki, przeznaczone dla Donalda Mac Raego, zatrzasnęły się wokół kiści Alecka. Przy pomocy rzemieennego pasa Pietrek mocno skrępował nogi swego więźnia. Wreszcie znów spojrzął na Monę.

W żrenicach obojga było to samo pytanie. W oczach Mony czaiła się ponadto straszliwa groza. Pietrek zwrócił wzrok na swojego ojca. Donald Mac Rae drżał nieco, jak gdyby się miał przebudzić. Słabo uniósł z trawy na pół bezwładną rękę. Niewątpliwie nie słyszał przedtem nic, i o niczym nie wiedział. Pietrek pomyślał, iż za wszelką cenę należy ojcu nadal zapewnić spokój. Dysząc z utrudzenia szepnął Monie na ucho:

— On nie ma o niczym pojęcia! Musimy go stąd zabrać. Świadomość faktu, iż policja go znalazła oraz, że broniąc go przed więzieniem sam stałem się przestępcą, mogłaby go zabić!

Mona zbliżyła się tuż do narzeczonego i obu dłońmi musnęła jego twarz w ten sam sposób, w jaki uczyniła to samo przed laty, w dniu pierwszej utarczki z Aleckiem Currym.

— Pietrku, nie mogą przecież winić ciebie wyłącznie! Ja także pomagałam!

Podawała mu usta, lecz Pietrek nie pocałował ich tym razem, natomiast przycisnął wargi do sinej smugi na jej czole.

— Mamy naszą małą chatkę! — szepnęła dziewczyna. — Tam możemy ulokować twego ojca! Pietrku, kocham ciebie, jakże ja ciebie strasznie kocham!

Cofnęła się nieco; oczy miała energiczne i wesołe. Aleck Curry odkasznął już część wody z płuc i zwijał się teraz w swoich więzach. Poczynał nawet bełkotać. Pietrek nachylał się nad ojcem. Donald unosił właśnie powieki.

— Śpieszmy! — nalegała Mona. — Musimy go przenieść w miejsce zupełnie bezpieczne, gdzie go nikt nie znajdzie!

Pietrek wziął ojca na rękę. Drobnny ciężar wychudłego ciała ścisnął mu serce bólem. Miał po prostu wrażenie, że podnosi z ziemi chłopaka, nie zaś dorosłego mężczyznę.

Mona, trzymając się tuż obok, dzielnym uśmiechem dodawała mu odwagi. Wspólnie pośpieszyli przez łączkę. Teraz dziewczyna pobiegła przodem, dążąc ledwo przetartą śród gęstwy ścieżyną. Znaleźli się niebawem na nowej polance, gdzie w cieniu drzew stała chatka. Pietrek zbudował ją przed dwoma laty, w tym celu aby Mona, odwiedzając nieraz zimą swoje bobry, miała się gdzie ogrzać i gdzie odpocząć. Wewnątrz znajdowała się prycza zasłana świeżo nałamaną jedliną, ktiżyrą dziewczyna przykrywała teraz spiesznie derką oraz prześcieradłem.

Donald trzymał już oczy szeroko otwarte i z zażenowaniem uśmiechał się do Pietrka.

— Czyś kiedy myślał, chłopcze, że przyjdzie dzień, gdy będziesz niańczył swego starego ojca, niby niemowlę? — pytał, usiłując się roześmiać.

Zaledwie jednak dotknął głową poduszki, powieki znów mu opadły.

Pietrek odciągnął Monę na bok. Był znów całkowicie opanowany i spokojny.

— Na brzegu jeziora leży łódka! — rzekł! — Zmuszę Alecka Curry'ego, by do niej wsiadł, po czym zawiozę go na małą, skalistą wysepkę o dwie mile od lądu! Nikt tam nigdy nie zagląda, możemy go więc trzymać w niewoli dotąd, aż ojciec wróci do zdrowia. A potem ..

W tej chwili właśnie, od strony bobrowych żeremi zabrzmiał wrzask pełen wściekłości. Pietrek niewzruszenie mówił dalej:

— Oho, Aleck się niecierpliwi! Zostań tutaj z ojcem, Mono. Powiedz mu, że udałem się do osady Pięciu Palców po różne rzeczy dla niego. Wrócę przed nocą. Do widzenia, kochanie!

Ucałował dziewczynę serdecznie. Mona na krótką chwilę uczepiła się jego ręki.

— Gdy wsadzisz Alecka do czółna — prosiła — gdy ci wszystko dobrze pójdzie, daj mi proszę znać zwykłym naszym sygnałem!

Sledziła go wzrokiem, aż zniknął w gąszczu. Siadłszy później tuż obok Donalda Mac Raego, ujęła w obie ręce jedną z jego bezwładnych dłoni. Zdawało się jej, iż minął nieskończenie długi okres czasu, zanim stłumiony, choć wyraźny zabrzmiał z oddali głos Pietrka, na dowód, iż wszystko poszło dobrze i że odbija właśnie od brzegu wioząc Alecka Curry'ego na skalistą wysepkę, mającą być odtąd jego więzieniem.

Ponad borem zapadła głęboka i głucha cisza. Nigdy dotąd milczenie puszczy nie wydawało się Monie tak całkowite jak obecnie, gdy siedziała długie godziny bez ruchu, trzymając w obu dłoniach wiotką rękę Donalda Mac Raego. Mężczyzna przeplótł swymi palcami jej palce, jak gdyby w obawie, że go niespodzianie porzuci. Oddychał teraz nieco równiej, lecz ledwo dosłyszalnie, jak dziecko, co świadczyło, iż znużony do ostatecznych granic zapadł w sen bliski śmierci.

Zmierzch, a potem noc opadły na bór; na zachodzie skonały ostatnie złote błyski. Nadchodziła pora ulubiona zazwyczaj przez Monę, chwila, gdy ciemność otulała puszcę szatą z czarnego aksamitu. Cisza, ostrożne szepty drzew, wielki spokój nocy dodały jej odwagi i spotęgowały ufność. Wreszcie z daleka, od żeremi bobrowych ozwało się ponowne hukanie Pietrka. Wracal!

Donald Mac Rae zaś, jak gdyby również usłyszał i zrozumiał sens tego krzyku, poruszył się nieco i wyszeptał imię syna.

Rozdział XVII

ROZPACZ

Cicho i szybko udała się Mona na spotkanie Pietrka.

— Śpi! — szepnęła, gdy ramiona narzeczonego opasały ją silnie w gęstniejącym mroku. — Jeśli będzie wypoczywał w ten sposób przez całą noc, do rana nabierze niewątpliwie sił i energii.

Usiłowała go pocieszyć, uspokoić, lecz głos jej drżał. Spytała:

— Czy z Alekiem wszystko w porządku? Czy znajduje się na wyspie?

— Tak. Na razie wszystko w porządku. Nie potrzebujemy się o niego troszczyć ani dziś, ani jutro, ani być może parę dni! Lecz później...

Urwał, sam nie bardzo wiedząc, co rzec. Delikatna dłoń Mony pogładziła go po twarzy.

— Powiemy Szymonowi, ojcu Albanelowi oraz wujkowi Piotrkowi Gourdonowi. Już oni coś wymyślą!

— Sam już się nad tym zastanawiałem! — mówił Pietrek wolno, z wargami w jej włosach. — Musisz mi obiecać, Mono, że nic nie powiesz! To jest moim zdaniem konieczne. W każdym razie należy z całą pewnością zachować tajemnicę dwa lub trzy dni! Nie zapomnisz?!

— Czy pewien jesteś, że tak będzie lepiej?

— Tak sędzę.

— W takim razie obiecuję.

Przysunęli się bliżej chaty, nasłuchując. Słabo dolatywał do nich oddech śpiącego Donalda Mac Raego.

— Musisz wrócić do domu! — szepnął Pietrek do Mony. — Odprowadzę cię!

Ręka w rękę pośpieszyli poprzez ciemność. W ciągu pół godziny dotarli do skalistej ścieżyny, wiodącej wzdłuż brzegu jeziora aż do samej osady. Tutaj Mona wymogła, by Pietrek zawrócił, twierdząc, że doskonale dojdzie dalej sama.

Była bardzo rada przyszedłszy do domu, że Piotr i Józia znajdowali się z wizytą u syna. Poprzez otwarte drzwi zawołała ku nim dobranoc i co prędzej zamknęła się w swym pokoju, pod pretekstem, że czuje się ogromnie znużona spacerem.

Siadłszy później w oknie spozierała na wschodzący księżyc. Niebawem Piotr wraz z Józia wrócili do siebie. Wkrótce też, jedno po drugim gasły światła w Pięciu Palcach, aż powoli wszystkie chaty pogrążyły się w mroku i w sennej ciszy. W ciszy tej Mona łowiła śpieszny tykot swego zegarka.

Nigdy dotąd nie przyszło jej na myśl, że wysłuchana modlitwa może być źródłem takiej strasznej trwogi, i tak nieludzkiej męki.

Tłumiąc głośniejsze łkanie wyszłochała w poduszkę żal i nienawiść do Alecka Curry'ego, do tego potwora, do tej bestii, która wreszcie mogła zemścić się na nich.

W miarę jak się godziny wlekły, coraz trudniej było zwalczać chęć wyjścia po cichu z pokoju, na palcach, zejścia w dół po schodach i pobiegnięcia do chaty Szymona Mac Quarrie'a. Jakże chętnie zwierzyłaby mu się ze wszystkiego, co zaszło dzisiejszego, popołudnia. Jedyne przestroga Pietrka utrzymywała ją w miejscu.

Szymon był jej ostoją; pokładała w nim wielką nadzieję. Pamiętała przecież, jak ogromnym uczuciem darzył stary Szkot Pietrka, i to od dnia przybycia do Pięciu Palców. Po raz pierwszy w życiu zamierzała się wyłamać spod danej narzeczonemu obietnicy. Argumenty za i przeciw męcząco walczyły w jej mózgu, aż doszła do przekonania, że uczyni słusznie, jeśli mimo wszystko

wtajemniczy Szymona Mac Quarrie'a w to, co zaszło.

Po cichu otwórzysz drzwi izdebki na palcach zesłała ze schodów, bacząc pilnie, by najlżejszym nawet szelestem nie zwrócić uwagi Piotra lub Józki. Szczupła, jasna sylwetka biegiem minęła polanę i przystanąła w cieniu chaty starego Szkota.

Najpewniej instynktownie zerknęła w okno Pietrka, jakkolwiek wiedziała dobrze, że ten znajduje się w lesie przy swym ojcu. Potem zapukała do drzwi. Serce kołatało w niej mocno, gdy nasłuchiwała odpowiedzi. Jakże hałasuje to serce, zupełnie jak gdyby miało jej za złe, że łamie dane słowo!

Po chwili zapukała znów, i teraz usłyszała wyraźnie, jak się Mac Quarrie w izbie poruszył. Liczyła powolne jego kroki, gdy nie śpiesząc się zbliżał się do drzwi. Drzwi się otworzyły i stanęła przed nią wysoka, chuda sylwetka w białej koszuli nocnej opadającej aż do pięt. Przy innej okazji Mona zapewne wybuchnęłaby śmiechem, taki był komiczny w tym stroju, z uważnie pochyloną głową, z której zwisał długi czepek nocny.

Wyciągnął ku niej rękę.

— Aniołku, to ty! Co się stało?!

Prześlizgnęła się pomiędzy nim a ścianą w głąb izby, przy czym wchodząc zamknęła za sobą drzwi.

— Proszę zapalić lampę... — rzekła. — Proszę...

Szymon potarł zapalniczkę. Przy bladym świetle zobaczyła jego twarz, zmienioną oczekiwaniem i niepokojem. Gdy z kolei zapalił lampę, zdjął z kołka w ścianie płaszcz i nałożył go na koszulę. Potem dopiero zwrócił się znów do Mony.

Stała, zaciskając ręce na piersi, a w ciemnych oczach miała wyraz tak szczególny, że się stary przestraszył. Na obnażonej szyi dziewczęcia dostrzegł mocno bijący puls, znak, że jest czymś do głębi przejęta.

Z krzykiem rozpaczy schwytała go naraz za rękę.

— Stało się coś okropnego! — jęknęła. — Coś, o czym pan koniecznie musi wiedzieć! A ja przyrzekłam Pietrkowi, dałam mu słowo, że zachowam tajemnicę wobec wszystkich, wobec pana także! Mimo to nie mogłam milczeć! Nie mogłam!...

Głos załamał się jej w gardle. Dodała najgłośniejszym szeptem:

— Ojciec Pietrka wrócił. Znajduje się wraz z Pietrkiem w naszej małej chatce, koło bobrowych żeremi...

Szymon Mac Quarrie cofnął się nieco, przy czym ręce zwisły mu po bokach bezwładnie. Potem uniósł prawą dłoń, jak gdyby dla otarcia potu z czoła, lecz zrzucił tylko z głowy czepek nocny.

— Donald Mac Rae wrócił! — powtórzył bez tchu prawie. Surowe linie jego twarzy zmiękły, a w głosie zdrzała wielka radość.

— Mona, niechże Bogu będą dzięki! Cóż w tym jest strasznego? Wszak czekaliśmy go od dawna! Wszak modliliśmy się wszyscy...

Urwał. To, co dostrzegł w jej twarzy, zmieniło niespodzianie wyraz jego własnej. Schwytał dziewczynę za rękę.

— Czy się co stało? — zagadnął. — Czy coś się stało z Donaldem Mac Raem lub z Pietrkiem?!

Poczęła zatem opowiadać wszystko głosem ścisłym, podczas gdy Szymon wlepił w nią półprzymknięte oczy, wyciągając przy tym ręce i przebierając nimi w powietrzu, jak gdyby chciał coś w przestrzeni pochwycić.

— Znajdowałam się koło żeremi bobrowych, gdy ojciec Pietrka wynurzył się chwiejnie spośród wierzb i omal mi nie upadł pod nogi. Nie miałam pojęcia, kto to taki, ale był słaby, chory i głodny, tak głodny, że jadł marchew przeznaczoną dla bobrów. Oddałam mu naszą kolację i podczas gdy jadł,

dowiedziałam się, że to ojciec Pietrka. Ucieszyłam się bardzo, Pietrek miał właśnie lada chwila nadejść, więc powiedziałam o tym Donaldowi Mac Raeemu. Błagał, by zachować tajemnicę wobec Pietrka. Zamierzał ukryć się w krzakach, przypatrzeć się synowi, sam nie będąc widzianym, i potem znowu odejść. Twierdził, że po to jedynie wrócił, by z daleka zobaczyć swego chłopca! Oznajmił mi, że policja znów go ściga, że depta mu po piętach, że tropią go od kryjówki do kryjówki niby szczura! Że obecność jego przyniesie Pietrkowi jedynie nieszczęście. Ukrył się zatem pośród wierzby i właśnie nadszedł Pietrek...

— Co dalej?...

— Donald Mac Rae jednak wyszedł spośród chaszczy i wtenczas zostawiłam ich samych. Nieco później Pietrek przywołał mnie więc nadbiegłam. Donald Mac Rae leżał na ziemi i najpierw pewna byłam, że nie żyje! Dopiero wtenczas zrozumiałam, jak okropnie jest słaby i chory. Klęczeliśmy przy nim oboje, gdy zaś podnieśliśmy oczy, tam... tam... z drwiącym wyrazem oczu stał człowiek, przed którym ojciec Pietrka tak uciekał! Och, jakież on był straszny, wielki, spocony, pełen triumfu, pełen złośliwej radości... I, proszę pana, proszę pana... tym człowiekiem był Aleck Curry!

Zapłakała z rozpacz. Szymon zacisnął pięści tak mocno, aż mu trzasnęły stawy. Sucha, szorstka twarz szarzała w świetle lampy.

— Co dalej, Mono?!

— Gdy Aleck usiłował założyć ojciu Pietrka kajdanki, wynikła bójka, straszna bójka. Aleck chciał Pietrka zabić! Dwakroć strzelał z rewolweru! Znalazłam kamień i pomogłam trochę tym kamieniem. Potem Pietrek zwałił się razem z Aleckiem do stawu i tamten omal nie utonął. Donald Mac Rae leżał zemdłony, więc zanieśliśmy go do chaty. Pietrek zawiózł Alecka na małą skalistą wysepkę, o parę mil od lądu. Tam się teraz znajduje w charakterze więźnia. Ale co będzie dalej z Pietrką! Co policja może z nim zrobić?!

Szymon z wolna przechadzał się po izbie; rysy miał jak wykute z kamienia. Długa, biała koszula pętała mu się wokół nóg, ręce zaś zwisały u boków bezwładnie.

— Jeśli Aleck umknie z wyspy i zaaresztuje Pietrka lub jeśli doniesie o wszystkim komisarzowi, Pietrka czeka więzienie! — oznajmił wreszcie, jak gdyby mówiąc do samego siebie. — I niewątpliwie tak się w końcu stanie, bowiem Aleck Curry Pietrka nienawidzi! Rad by widzieć Donalda na szubienicy, Pietrka w więzieniu, no a ciebie...

Umilkł, przy czym długą chwilę obserwował dziewczynę gorączkowo błyszczącymi oczyma.

— Dlaczego Pietrek go nie zabił, skoro mógł to uczynić?! — wrzasnął naraz, tracąc na czas pewien panowanie nad nerwami. — Jako wyrostek był to już brutal i ordynus, skoro zaś dorósł, potwór się z niego zrobił, istny potwór! Nie zawaham się tego twierdzić, mimo iż znajduje się on obecnie rzekomo po stronie prawa! Pożąda ciebie, Mono, pożądał cię zawsze! Widziałem to wtenczas jeszcze, gdy byłaś właściwie dzieckiem. Dla nasycenia swojej chuci gotów świat podpalić! Czemu Pietrek go nie zgładził?! Ja sam, tymi oto rękoma. ...

Wysunął ku przodowi długie ramiona, zaciskając przy tym palce niby szpony. Trwał tak dobrą chwilę, aż ręce mu zwiotczały i opadły. Głosem bardziej miękkiem, mniej pewnym, skończył:

— Choć może to i lepiej. Ano, pewnie że lepiej, jakkolwiek byle gadzina jadowita większe ma prawa do życia, niż ten Aleck Curry!...

Jął się znów przechadzać po pokoju, a za każdym krokiem rysy mu tężały, wzruszenie ulatniało się z nich bez śladu, aż przybrał na się surową, całkowicie beznamiętną maskę, taką, jaką zazwyczaj widywali wrogowie starego Szkota. Na czas pewien zapomniał jak gdyby o istnieniu Mony. Potem spytał:

— Co robi teraz Pietrek? Co zamierza zrobić?

Mona wzdrygnęła się na to pytanie. Oczy Szymona Mac Quarrie'a świeciły chłodno niby lód.

— Nie mam pojęcia. Pietrek również nic jeszcze nie wie. Postanowił tylko, że zatrzyma Alecka Curry'ego na wyspie dotąd, aż ojciec jego wydobrzeje i będzie mógł bezpiecznie odejść.

Szymon mruczał coś pod nosem.

— Masz na myśli tę nagą skałę, o dwie mile od żeremi bobrowych?

— Tak.

Szymon znów poruszył rękoma, jak gdyby chwytając powietrze.

— Sierżant Carter wpadł tu do nas na chwilę dzisiejszego popołudnia. Powiedział Piotrowi i Dominikowi, że udaje się do Zatoki Georgian, czy też w tamte strony i że się u nas parę dni zatrzyma. Kłamał. Pracuje najwidoczniej z Aleckiem Currym. Jeśli zaś Aleck zbyt długo się nie pokaże albo też jeśli zacznie palić na wyspie ogień sygnałowy?!... Jeśli Carter to spostrzeże?...

— Aleck nie posiada wcale zapalek! — przerwała Mona szybko. — Pietrek mu je odebrał.

Twarz Szymona rozpromieniła się w uśmiechu.

— Rośnie chłopak! — zawyrokował z uznaniem. — Gdyby jeszcze okazał więcej rozsądku tam, nad stawem, gdyby nas na zawsze uwolnił od tej gadziny.

Lecz Mona była tak roztrzęsiona, że nie mogła już panować nad nerwami. Krzyknąwszy, zakryła dłońmi oczy. Momentalnie Szymon znalazł się obok, a długie jego ramiona czule opasały kibić dziewczyny.

— Kochanie, ja przecież tylko żartowałem! — zawołał na widok malującego się w jej oczach przerażenia. — Mówiąc poważnie, sytuacja przedstawia się źle, bardzo źle nawet dla Pietrka, lecz mimo to darujemy życie Aleckowi Curry'emu, a Pietrka jakoś musimy ratować. Miał rację, gdy kazał ci zachować rzecz całą w najgłębszej tajemnicy. Nie pisnę ani słówka zarówno Piotrowi Gourdonowi, jak i Dominikowi Beauvais'mu, szczególnie zanim Carter nie opuści osady! Wykurzymy go zresztą w ciągu najbliższych dni. Tymczasem jednak należy dbać, by Aleck nie zbiegł z wyspy i by Carter niczego się nie domyślił. Miejcie baczenie na każdy wasz ruch i na każde słowo. Przede wszystkim zaś nie mów czasem Pietrkowi, że się mi zwierzyłaś. Musisz mi o każdym nowym zdarzeniu donosić, lecz niech Pietrek ani podejrzewa, że ja wiem cośkolwiek! Pamiętaj!

Głos miał napięty, nierówny, nie przypominający w niczym zwykłego głosu Szymona Mac Quarrie'a. Mona złąkała się brzmienia tych słów. Lecz skinąwszy głową obiecywała solennie:

— Tak. Rozumiem. Pietrek o niczym nie będzie wiedział. A panu natychmiast doniosę o wszystkim!...

Przytulił ją mocno i Mona poczuła naraz do tego starego człowieka ufność tak głęboką, jak do żadnej innej istoty. Nie widziała jednak twarzy ponad sobą, twarzy, która przybrała wyraz tak groźny i tak bezlitosny, że sam Szymon się zląkł, by dziewczyna dostrzegłszy, co się z nim dzieje, nie wpadła znowu w panikę. Przytrzymał więc ją póty, aż zdołał przywołać na usta pogodny uśmiech. Potem z czułością, jaką budzili w nim zawsze ci dwoje: Pie-trek i Mona, odprowadził gościa swego do drzwi.

— Musisz teraz iść do domu i położyć się do łóżka! — rzekł. — Twoja rola jest tu równie ważna, jak rola Pietrka. Jutro nikt nie powinien poznać, że ci coś dolega. Szczególnie Carter nie powinien się niczego domyślać!

Po cichu otworzył drzwi, a Mona jak cień wyslizgnęła się na zewnątrz. Szeptem rzucił w ślad za nią:

— Dobranoc, aniołku!

— Dobranoc! — odszepnęła mu w odpowiedzi. Przymknąwszy drzwi nasłuchiwał chwilę jej oddalających się kroków. Potem podnosząc głowę zerknął ku górze, gdzie na stryszku zazwyczaj

sypiał Pietrek. Czy mu rozbłysły i powiedział takim głosem, jak gdyby przemawiał do kogoś, kto czeka i słucha niewidzialny.

— Teraz moja kolej. Zaopiekuję się chłopakiem! — Przed wielu laty Donald Mac Rae zabił człowieka, który znieważył ciebie, czyż nie jest więc rzeczą słuszną, aby Szymon Mac Quarrie zbił draba, który chce skrzywdzić twego syna?!...

Zdmuchnąwszy lampę stary Szkot począł się układać do snu.

Mona wahała się czas jakiś, stojąc w mroku pod wielką jodłą rosnącą opodal chaty Szymona Mac Quarrie'a. Oglądała się na oświetlone okno domostwa, przy czym serce kołatało jej tak mocno, że słyszała jego przyspieszony stuk. Pamiętała dobrze obietnicę daną Pietrkowi, lecz mimo to rada była, że wszystko już minęło i że stary Szkot zna całą prawdę.

Jedno tylko zachowała dla siebie i przez chwilę miała wielką ochotę zawrócić, by zwierzyć staremu osobisty swój lęk przed Aleckiem Currym. Nigdy dotąd nie czuła przed nim trwogi. Jako mała dziewczynka drwiła zeń nawet, traktowała w sposób wyzywający; później, dorastając, poznała wstręt i odrazę. To, że można się Alecka bać, nie mieściło się jej po prostu w głowie, chociaż parokrotnie musiała się bronić pięściami, gdy posuwał natrętne zaloty zbyt daleko.

Teraz nabrała przekonania, że wybiła godzina przewagi Alecka. Jakkolwiek chwilowo więzili go na wyspie, nie ulegało wątpliwości, że potwór trzyma ich w garści i że dalszy ich los zależy wyłącznie od niego. Zrozumiała to dobrze, patrząc wtedy, ponad stawem, w jego pełne triumfu oczy. Z całą pewnością mniej mu szło o zwycięstwo nad ojcem Pietrka, niżli o to, że nareszcie dziewczyna, której tak bardzo pożądał, trafiła w sferę jego wpływów. Walka, jakkolwiek zakończona czasową wygraną Pietrka, podniosła jedynie akcje Alecka, gdyż obecnie jego rywal był człowiekiem wyjętym spod prawa i łatwo było zgnieść go całkowicie. Nikt prócz Mony nie zdawał sobie sprawy, jakiej ceny zażąda Aleck Curry w zamian za wolność Donalda Mac Raego i jego syna.

Sama już myśl podobnego rozwiązania wydała się jej rzeczą wprost potworną. Walczyła z nią, odpychała ją rozpaczliwie, gdy zaś odwróciła się wreszcie od chaty Szymona, aż zaciskała ręce, krocząc przez polanę zalaną księżycowym światłem. W oczach miała błyskawice równie niemal groźne, jak stary Szymon Mac Quarrie. Starła się w siebie wmówić, że się wcale Alecka nie lęka. Szeptala nawet w kółko tych parę słów. Lecz w sercu miała trwogę zimną i nieustępliwą.

W pobliżu chaty Piotra Gourдона wynurzyła się raptem z cienia czyjaś postać, dążąc na jej spotkanie. Był to Pietrek. Niespokojna twarz spojrzała na nią z bliska.

— Byk. Nem przekonany, że śpisz! — szepnął jej na ucho. — Przystanąłem więc na chwilę pod twym oknem. Tak mi się chciało być w pobliżu ciebie...

Objął ją, zaglądając niespokojnie w zmieszane oczy. Musnął włosy wargami.

— Nie mogłam... — drżała mu na piersi. — Och, Pietrku, doprawdy nie mogłam! Rozebrałam się i położyłam, tak jak mi kazałeś, ale musiałam wstać i wyjść! Myślałam, myślałam, aż miałam ochotę wrzeszczeć albo też wyskoczyć oknem i lecieć na twe spotkanie...

— Kochanie, ta awantura nad stawem rozstroiła ci trochę nerwy. Ale zobaczysz, że się wszystko skończy pomyślnie. Aleck siedzi na wyspie. Nie może nam już szkodzić...

Szybko podniósłszy wzrok uловиła w jego oczach dziwnie twardy wyraz, zupełnie niezgodny ze spokojnym brzmieniem słów. Przytuliła się mocniej.

— Pietrku, po co mnie okłamujesz! — rzekła. — Myślimy przecie o tym samym oboje i oboje boimy się tego samego, Aleck Curry opuści kiedyś wyspę, a co wtedy? Możemy go tam zatrzymać, póki ojciec twój nie wydobrzeje, lecz co dalej, co z tobą?

Pietrek roześmiał się nieszczerze.

— Cóż, nie zrobią nic gorszego, tylko poślą mnie na czas pewien do więzienia! Poczekasz na

mnie wówczas, prawda, aniołku?

Wiedziała, z jakim trudem przychodzą mu te słowa i ten ton pogodny. Odpowiedziała szybko, bez namysłu.

— Czekalabym chętnie całe życie, kochany! Niespodzianie pociągnął ją w głębszy cień rzucany przez okap

dachu. Wzrokiem przeszukiwał drugi koniec polany.

— Patrz! — szepnął.

Wyteżyła oczy. Niejasno, w mroku, dostrzegła ruchomy cień. Zbliżał się, skręcając w stronę chaty Szymona. Instynktem odgadła, kto to taki, lecz czekała, by Pietrek przemówił pierwszy.

— Gdy wróciłem do domu — zaczął Pietrek — on już tutaj węszył. Przed chwilą usiłował zajrzeć do twego okna. Potem łąził koło domu Szymona i wreszcie znikł w lesie. Pojęcia nie mam, kto to taki, ale znalazłem się w pewnej chwili o kilka zaledwie kroków od niego i wtenczas spostrzegłem, że nosi taki sam mundur jak Aleck Curry. Niewątpliwie ścigał mego ojca. Teraz niepokoi się pewno i dziwi, czemu Alecka tutaj nie ma?...

— Nazywa się Carter — rzekła Mona. — Przybył do Pięciu Palców dziś po południu.

Rozdział XVIII

OKROPNA ZJAWA

Przetrwali długi czas w cieniu chaty, przy czym senna cisza nocna wraz z łagodnym ćwierkaniem świerszczy oraz monotonnym szumem jeziora podziały kojąco na skołatane nerwy Mony. Opasana ramieniem Pietrka nie bała się już wcale. Opowiedział jej dokładnie, co zaszło od chwili jej odejścia. Donald Mac Rae dwukrotnie budził się z otępienia i za każdym razem pytał o nią. Gdy Pietrek wspomniał o tym fakcie, głos drżał mu z radości; cieszył się widząc, że ojciec od razu pokochał przyszłą synową i że nawet w wyczerpaniu i gorączce o niej pamięta. Przyjdzie niewątpliwie dzień, gdy Bóg wysłucha ich gorące modlitwy, gdy wszystko obróci się na dobre i będą razem bardzo szczęśliwi!

Dopiero gdy Pietrek oddalił się wreszcie, a Mona znalazła się sama w swej izdebce, zdała sobie w pełni sprawę z tego, jak niespodziewanie szybko minął czas. Zegarek wskazywał trzecią. Nie rozbierając się zatem wcale, przysiadła tylko na łóżku, twarzą obrócona ku wschodowi.

Skoro miłość, optymizm i niezachwianą energią narzeczonego nie towarzyszyły jej już, wróciły posępne myśli. Pierzchła pogodna wiara, a rozpętał się strach. Co przyniesie nadchodzący dzień? Czym się to wszystko skończy? Jakże się cieszyła, że ma chociaż zapewnioną pomoc Szymona. Stary Szkot jawił się jej niby skała, niby opoka, której się można ucześcić w tragicznej chwili. Ale i Szymon, cóż właściwie może pomóc? Czyż nie jest w gruncie rzeczy równie bezradny jak ona sama lub Pietrek?

Wzdrygnęła się wspominając straszliwy wyraz determinacji w twarzy Szymona Mac Quarrie'a. Ten sam wyraz dostrzegła przelotnie w twarzy Pietrka, jakkolwiek usiłował to przed nią ukryć. Serce zakołatało w niej gwałtownie, a palce kurczowo ścisnęły ramę okienną. Czy którykolwiek z nich dwu: Pietrek lub Szymon zabije Alecka Curry'ego?!

Przygniotła ją świadomość okropnej prawdy dławiąc za gardło tak silnie, że po prostu straciła oddech. Nie ma żadnej nadziei, nie ma żadnego wyjścia tak długo, jak Aleck żyje! Omal nie wykrzyknęła głośno tej wielkiej prawdy. Jeśli Pietrek nie ucieknie, jeśli nie będzie się krył po lasach na wzór Donalda Mac Raego, niewątpliwie czeka go więzienie! Lecz jeśli Aleck nigdy nie opuści skalistej wysepki, jeśli umrze tam... nikt się nigdy nie dowie o przebiegu walki koło bobrowych żeremi.

Mona ukryła twarz w dłoniach. Jakież to było łatwe i jakie straszne zarazem! Niezmiernie łatwe... Pietrek lub Szymon? Szymon tak dziwnie patrzył... Mówił tak zagadkowo...

— Nie, nie! — szeptała półgłosem. — Wszystko tylko nie to! Tylko nie to!

Uniósłszy głowę dostrzegła pierwszy, różowy blask świtu. Lecz dzisiejszego ranka do Mony nie przemówiło piękno przyrody. Myślała wciąż w kółko o jednym. Czy zdoła przetrwać cały dzień i niczego nie zdradzić?! Czy potrafi obcować z Piotrem Gourdonem i z Józia, z Antosią, z ojcem Albanelem, z Adettą oraz Jamesem Clamartem i ukryć przed nimi straszną męczarnię? Czy sierżant Carter nie będzie podejrzewał niczego?

Siedziała w oknie póty, aż pierwsze białe słupy dymu wytrysły z kominów chat. Wstała wtenczas, przy czym śliczna jej twarzyczka zastygła w surowym postanowieniu. Uchyliła okna, by słońce mogło do woli zalewać pokój, po czym w blasku słonecznym, rozplótszy włosy cesała i szczotkowała je długo, aż ją pokryły migotliwym płaszczem, będącym największą dumą Pietrka. Splotła je wreszcie starannie, usiłując nawet śpiewać, bowiem zawsze śpiewała w godzinach rannych, lecz dziś głos

miała nieposłuszny i schrypnięty.

Wówczas właśnie, wyglądając oknem, dostrzegła pomiędzy sobą a słońcem siny opar. Słabo doleciał ku niej znajomy zapach dymu.

Gdy zeszła na dół, od razu spotkała Piotra. Ucałował ją na przywitanie, jak to czynił co dzień. Lecz w twarzy miał wyraźny niepokój.

— Znów to samo, co było przed rokiem i przed dwoma! — rzekł. — Puszcza od północy i zachodu płonie. Nie mamy się czego obawiać, do nas ogień nie dojdzie, ale dręczy mnie zawsze myśl, że zmarnieje taki szmat lasu przez czyjąś nieostrożność.

Lecz pożar lasu użyczył Monie doskonałego pretekstu. Mogła przynajmniej wytłumaczyć Józii, czemu jest roztargniona i smutna. Ten sam powód wystarczył na cały dzień, w ciągu którego zresztą na horyzoncie gęstniały dymy. Powszechnie było wiadome, że zdaniem Mony każde drzewo posiada duszę, toteż świadomość, iż giną one tysiącami, stanowiła dla dziewczyny tragedię niewiele mniejszą niż ospa, która niegdyś nawiedziła osadę.

Po śniadaniu, gdy tylko mogła się wyrwać z domu nie wzbudzając niczyjego podejrzenia, Mona pobiegła do chaty Szymona Mac Quarrie'a. Tam niespodzianie trafiła na Cartera. Od pierwszego wejrzenia człowiek ten wzbudził w niej niepokój i niechęć. Miał orli nos oraz surowe oczy człowieka, w którym poczucie obowiązku zajęło tyle miejsca, że nic już nie zostało dla spraw bardziej ludzkich. Gdy Szymon przedstawił go Monie, Carter spojrział tak badawczo, że w dziewczynie serce zamarło. Jeśli jednak policjant wiedział coś o jej poprzedniej wizycie u Szymona lub też o nocnym spotkaniu z Pietrkiem, nie dał nic po sobie poznać; uczynił jedynie parę obojętnych uwag dotyczących pożaru lasu, i odszedł pożegnawszy się uprzejmie.

Szymon Mac Quarrie miał po jego odejściu wyraźny niepokój w oczach.

— Dowiedziałem się jeszcze paru rzeczy o tym Carterze! — rzekł. — To jeden z najzdolniejszych ludzi w tutejszej brygadzie i nie wysyłają go nigdy bez ważnego powodu. Już to samo, że tak szybko nas pożegnał, dowodzi jego sprytu. Nie chce wzbudzać podejrzeń. Wstąpił rzekomo po to, by się dowiedzieć, jaka najwygodniejsza droga prowadzi stąd na północo-zachód. Twierdzi, iż wyrusza w drogę już za pół godziny, by donieść władzy o pożarze lasów. Kłamie oczywiście. Nie oddali się stąd więcej niż o pół mili. Zaczai się gdzieś w borze. Z pewnością rad by wiedzieć, gdzie się podział Pietrek, a niech no tylko zwęszy trop...

Umilkł, lecz uśmiechnął się wnet i zatarł ręce.

— Już wiem. Skoro on idzie w kierunku pożaru, idę z nim. W osadzie wszyscy jesteście ciekawi, jakie rozmiary pożar przybrał. Carter nie znajdzie pretekstu, by się mnie pozbyć!

Mona opowiedziała staremu w paru słowach o krótkiej rozmowie z Pietrkiem. Potem, stojąc tak blisko i patrząc tak uważnie, że Szymon nie mógł uniknąć jej wzroku, wyraziła głośno przypuszczenie, że albo sam Szymon albo też Pietrek chcą Alecka zamordować.

Słowa te wywarły na starym Szkocie wrażenie wstrząsające. Skamieniał po prostu, tępo patrząc na nią. Wreszcie wyciągnął jedną ze swych chudych, kościstych dłoni i oparł ją na ramieniu dziewczyny tak mocno, że aż zabolęło.

— Nie mów o tym nawet szeptem! — rzekł. — Rozumiesz?! Nie wolno ci! Pietrek nic Aleckowi nie robi, jeśli zaś chodzi o mnie, to na razie o wiele bardziej interesuje mnie Carter!

Opuścił ją nie mówiąc więcej ani słowa i pośpieszył w ślad za Carterem. W ruchach miał coś tak ponurego, że poczuła dreszcz strachu, skoro zaś oddalił się o parę kroków zwróciła uwagę na jego buty. O północy widziała je w chacie zupełnie czyste i wysmarowane tłuszczem. Obecnie powlekała je aż do góry skorupa zeschniętego błota.

Posępna mina Szymona Mac Quarrie'a, twardy uścisk jego palców, szorstkie słowa, znaczące

milczenie oraz to zaschłe błoto na obuwiu — wszystko razem przeraziło Monę. Czyżby Szymon dokonał już okropnego czynu? Czyżby dlatego właśnie tak mu zależało na tym, by odciągnąć Cartera dalej od osady? Pobiegła w ślad za starym Szkotem, zamierzając wydobyć z niego prawdę.

Odgadłszy jej zamiar, przemówił szorstko i niegrzecznie.

— Nie pytaj o nic, Mono! Carter przystanął i ogląda się na nas. Wracaj i siedź w domu, jeśli nie potrafisz zapanować nad nerwami.

Resztę dnia Mona spędziła na niespokojnym wyczekiwaniu powrotu Pietrka. W południe, przy obiedzie, Piotr Gourdon mówił niemal wyłącznie o szalejącym ogniu. Pożar przerzucił się niewątpliwie przez linię kolejową, o trzydzieści mil na północ i obecnie posuwa się dalej ku wschodowi. Jeśli wiatr się zmieni i skręci na południe, puszcza wokół Pięciu Palców znajdzie się w niebezpieczeństwie. Osada natomiast nie powinna się niczego obawiać, gdyż z tych stron bronią jej rozmieszczone umiejętnie przesieki oraz pola uprawne, a z czwartej jezioro.

Piotr dziwił się także, gdzie się podział Szymon Mac Quarrie oraz zapytywał Mony, czy nie widziała czasem Pietrka? Przypuszczał, że udali się obaj na pobliskie wzgórza, by z tej wzniosłości lepiej obserwować pochód pożaru. James Clamart wraz z Poleonem Dufresne'em pilnują północnych przełęczy, jeśli bowiem ogień zechce się tamtędy przedrzeć, cała ludność osady wystąpi do walki z żywiołem. Poczyniono już właściwe przygotowania. Pietrek i Szymon nie powinni byli odejść w takiej chwili, nie mówiąc nawet dokąd idą ani na jak długo. Policjant Carter znikł również.

Po południu dym, niby delikatna mgła, opadł na polanę. Słońce znikło zupełnie. Zwierzęta domowe i drób wracały do zabudowań, kobiety zaś i mężczyźni porzuciwszy pracę rozważali możliwości najbliższych paru godzin. Mona musiała wciąż ze sobą walczyć, by nie wymknąć się z domu i nie pośpieszyć do chatynki, w której przebywał Donald Mac Rae. Wiedziała, że Pietrek znajduje się przy ojcu, teraz zaś, w miarę jak dym gęstniał, przypuszczała, że niebawem porzuci niepewne schronienie i wróci do osady.

W ciągu ostatnich paru godzin powietrze stało się gorące i nieruchome. Tylko od czasu do czasu czuło się nieznaczny powiew. Po południu Adetta Clamart namówiła Monę, by udała się z nią razem na kąpiel w jeziorze. Pływały właśnie w pobliżu brzegu, gdy łodzią żaglową przyplłynął Pietrek; żagiel miał zwinięty i posuwał się przy pomocy wiosł. Adetta przesłoniła oburącz śliczne oczy, kiedy Pietrek, wychylając się z łódki, ucałował narzeczoną. Szepnął jej na ucho:

— Przyjdź do domu. Chcę z tobą pomówić!

Był jakiś zmieszany i nieswój, a twarz miał bardzo bladą. Po upływie paru minut odnalazła go w chacie.

— Ojciec miewa się lepiej — rzekł Pietrek. — Lecz dzisiejszej nocy muszę go gdzieś przenieść. Obawiam się ognia. Przy sprzyjającym wietrze pożar może objąć chatę w godzinę lub dwie. Na razie muszę zabrać trochę zapasów dla Alecka Curry'ego. Potem, zanim wrócę do ojca, wstąpię na chwilę do ciebie. Na jeziorze dmie lekki wiaterek, więc dopłynę do wyspy w ciągu godziny. Czy widziałas Cartera?

— Dziś rano, owszem. Od tej pory nie pokazał się wcale.

— A Szymon?

— Odszedł również.

Podala mu zawiniątko z żywnością, po czym pożegnała narzeczonego wymógłszy na nim wpięty przyrzeczenie, iż będzie wracać z wyspy koło zatoczki, gdzie się spotkają. Śledziła go z brzegu dotąd, aż nie zniknął w sianej mgle wiszącej nad jeziorem. Straciwszy go z oczu spojrziała na zegarek, by ustalić godzinę powrotu. W tejże chwili na tle okna mignęła jej znajoma sylwetka. Poznała Szymona Mac Quarrie'a. Stary Szkot udał się wprost do swej chaty, a wszedłszy do wnętrza zamknął

za sobą drzwi. Był sam. Carter nie wrócił razem z nim!

Serce biło jej boleśnie, gdy wybiegła przed dom, zamierzając pośpieszyć do chaty starego. Coś ją wstrzymywało. Przemogła jednakże podświadomy strach i zapukała do drzwi. Milczenie. Kołatała uparcie wołając równocześnie jego imię, lecz wciąż brakło odpowiedzi. Spróbowała wtenczas sama otworzyć, ale drzwi były zamknięte od wewnątrz.

Strasne podejrzenie zamieniło się teraz w zupełną pewność. Stary Szkot załatwił porachunek na swój sposób! W sposób jedynie możliwy rozwiązał trudny problem. Obdarował wolnością starego druha Donalda Mac Raego. Zgładził dwu ludzi: Cartera i Alecka Curry'ego. *Teraz*, rzecz jasna, iż chce być zupełnie sam ze swymi myślami!...

Już nie wątpiła o słuszności tych przypuszczeń. Już nie mogła się przeciw nim bronić. Oddychając ciężko poczęła się skradać ku brzegowi lasu, stamtąd zaś pomknęła ku wysokiemu cyplowi, porośłemu jedliną i cedrem, który na kształt długiego palca nurzał się w jeziorze. Po upływie pół godziny stanęła na żwirze pokrytej plaży, w cieniu wielkiej skały, postanowiwszy, iż tutaj doczeka powrotu. Pietrka.

Czekając dostrzegła, że wiatr się zmienia. Luźne pasma jej włosów porywało w stronę jeziora. Znaczyło to, że pożar przedostanie się zapewne poprzez pasmo wzgórz i otoczy z bliska osadę Pięciu Palców.

Po upływie kwadransa ledwo już mogła sięgnąć wzrokiem przez zatokę do najbliższego cypla. Od północo-zachodu dym wisiał czarny i gęsty jak ciemna kurtyna. Wtem, bardzo niewyraźnie zobaczyła jakiś pełzający kształt na mrocznej toni jeziora. Wiedziała, że to wraca Pietrek. Miała wrażenie, że płynie niezwykle wolno, o wiele wolniej niż zazwyczaj. Nie chciała go jednak przywoływać krzykiem, zanim się zupełnie nie zbliży. Wiosłował tak marudnie, że czasami pomiędzy jednym zagarnięciem wody a drugim upływało chyba pół godziny. Nie mogła wcale *pojąć*, dlaczego tak zwleka. Czy dlatego, że przybywszy na wyspę znalazł coś okropnego? Chociaż nie, Szymon nie zostawiłby u pewnością żadnych śladów! Po prostu Alecka Curry'ego brakłoby na wyspie, nic więcej!

Mona wzdrygnęła się. Nie mogąc dłużej wytrzymać wykrzyknęła imię Pietrka. Głos jej zabrzmiał z dziwną siłą. Z łódki odpowiedziało milczenie. Wiosła nawet nie sprawiały żadnego hałasu.

— Pietrku! — zawołała Mona ponownie. — Jestem tutaj, na cyplu!

Musiał niewątpliwie usłyszeć jej wołanie, nie mogła więc pojąć, czemu nie odpowiada zwykłym ich sygnałem. Jedynie wiosła zgrzytnęły w dulkach, a kontur łodzi skręcił i jął się przybliżać. Jakie to dziwne, że Pietrek, zamiast przybić prosto do cypla, osadził łódź o pięćdziesiąt jardów wśród wielkich głazów, gdzie tak trudno było zejść. Drżąc z niecierpliwości Mona czekała.

Słyszała, jak chrzęszczą na głazach jego trzewiki. Po chwili dostrzegła go nadchodzącego w półmroku wieczornym, zgęszczonym przez dym bliskiego już ognia.

— Tu jestem, Pietrku! Tutaj! — zawołała półgłosem.

Nie, człowiek ten doprawdy nie przypominał Pietrka. Był strasznie duży i taki jakiś niezgrabny w ruchach. Mona jednakże wyciągnęła ręce, przy czym oczy promieniały jej radością. Cóż z tego, że Pietrek tak dziwnie wygląda? To półmrok i luna pożaru zniekształcają jego sylwetkę. Lecz wtem serce w niej zamarło.

Nadchodzący człowiek znajdował się już tylko o parę metrów. I to wcale nie był Pietrek!

To był Aleck Curry!

Rozdział XIX

RUINA MARZEŃ

Po raz pierwszy w życiu, pod wpływem okropnego wstrząsu Mona poczuła, że traci przytomność. Siły opuściły ją całkowicie, ramiona jej zwisły, zachwiała się przy tym jakby mając upaść. Gdyby pod ręką znajdowało się jakieś drzewo, chwyciłaby się go kurczowo.

Nie wiedziała wcale, że w oczach Alecka nie zdradza się ze swą słabością; tyle że stoi sztywno i nieruchomo niby głaz, że ma rozchylone wargi i płonące oczy. To, co dla niej zdawało się być wiecznością, zajęło zaledwie parę sekund. Potem myśl cofnęła się logiczna i jasna. Myliła się! Szymon wcale nie odwiedzał wyspy! Nie zabił Alecka Curry'ego, przeciwnie, Aleck zrobił coś z Pietrkiem, skoro mógł teraz nadpłynąć jego łodzią. Ale co się stało z Pietrkiem?

Nie zadała wcale tego pytania, lecz rozplómiło się samo w jej gorejących źrenicach. Tymczasem Aleck zbliżał się wolno poty, aż się znalazł na odległość ręki. Był bosy, odziany jedynie w koszulę i spodnie. Rozchełstana koszula okazywała nagą pierś. Zdumienie, radość, przekonanie o swej wyższości, o nieuniknionym zwycięstwie, przeobraziło niemal ordynarną jego twarz; jakby nie ten sam człowiek. Uśmiechając się wyciągnął ku dziewczynie wielkie ręce, jak gdyby doprawdy był Pietrkiem i spodziewał się, że mu samorzutnie zarzuci ramiona na szyję.

— Doszliśmy z Pietrkiem do porozumienia — rzekł Aleck Curry. — Zamieniliśmy się miejscami. Wytłumaczyłem mu, że to jeszcze najlepsze wyjście zarówno dla niego samego, jak też dla ojca jego i dla ciebie, Mono. Pozwolę jego ojcu umknąć i zapomnę o wszystkim, w zamian za pewną rzecz, której pragnę. I tak zamieniliśmy się. Jak to dobrze, że cię od razu spotykam, że stałaś na brzegu i że wołałaś z daleka.

Jakże niezręcznie kłamał. Słowa płynęły niezdarnie i każde mówiło o fałszu. Wisząca ponad nią groźba napełniła Monę przerażeniem. Nie dała jednakże nic poznać po sobie. Zbliżył się o krok, a ona się o krok cofnęła. Gorączkowo szukając w mózgu znalazła, jak się zdawało, ratunek. Podnosząc głowę zerknęła ku urwisku.

— Nie chcę, żeby Carter cię tu ze mną zobaczył — rzekła cicho i szybko. — Przyszliśmy razem i mam wrażenie, że czeka tam w górze.

Aleck nie bardzo zrozumiał, o co jej chodzi, mimo to zbliżył się bardziej do stóp urwiska, tak, by ktoś znajdujący się w górze nie mógł go dostrzec. Mona szła tuż za nim bohatersko zwalczając strach.

— Dlaczego nie chcesz, by Carter nas widział? — spytał Aleck chropowatym szeptem.

— Bo przecież, gdyby nas zobaczył, wszystko byłoby stracone. Już nie mógłbyś mi wcale pomóc. A ty mi pomożesz, Alecku, pomożesz, prawda?

Oszłomiła go zaszła w niej zmiana. Mona oparła mu dłoń na ramieniu. Oczy jej błyszczały.

— Musisz mi tylko wyznać całą prawdę. Nie ma potrzeby kłamać. Coś zrobił z Pietrkiem, gdy on przybył na wyspę? No, powiedz?

Gniotła mu ramię palcami, lecz uśmiech nie schodził jej z warg. Aleck odpowiedział niby urzeczony:

— Dym był gęsty. Usłyszałem, jak przyplywa i ukryłem się w wodzie. Ogłuszyłem go kijem. Trochę skaleczony, nie bardzo, ale w każdym razie z wyspy nie wydostanie się tak łatwo.

Omam nie krzyknęła głośno z radosnej ulgi. Tak się straszliwie bała, że Pietrek zginął. Oczy jej lśniły tuż koło twarzy Alecka. Niespodzianie wyciągnawszy wielką garść, ujął drobną jej dłoń opartą na swym ramieniu. Nachylił się. Poczuła na czole jego oddech.

— Twierdziłem przecież zawsze — zawołał głosem chrapliwym z przejęcia — twierdziłem zawsze, że czas mój nadejdzie. Mój dzień, dzień triumfu! Trzymam ich obu w ręku. Jednego na szubienicę, drugiego do ciupy!

— Tsss...

Położyła palec na ustach; W ten sposób zdobyła pretekst, by się odeń odsunąć, uwolnić dłoń z obmierzłego uścisku i zataić, że serce tak straszliwie łomocze. Zerknęła ponownie ku górze.

— Słyszałeś coś?

- Nie, nic. Jeśli jednak ktoś nas usłyszy, będzie to twoja wina, nie zaś moja!

Nie mogła uniknąć jego wejrzenia ani udać, że nie rozumie, dlaczego ma tak bardzo zniekształcone rysy. Lecz Mona nie straciła głowy wobec grożącego niebezpieczeństwa. Szło nie tylko o nią, lecz przede wszystkim o Pietrka, o Donalda, Mac Quarrie'a nawet, jeśli stary Szkot wywarł już zemstę na Carterze. Walczyła niejako w ich obronie. Wiedziała, że Aleck Curry jest przekonany, iż zamierza mu się poddać i że jedynie z tego właśnie względu trzyma na wodzy swoją żądzę. Nie potrzebuje się śpieszyć, skoro ma już zupełną pewność. Jeśli natomiast domyśli się prawdy, zrozumie, że Mona gra na zwłokę, że zamierza wywieść go w pole, nic już nie zdoła jej ocalić, choćby nawet Aleck uwierzył, że Carter obserwuje ich z góry!

Mona uśmiechnęła się zatem znów do Alecka, z trudem hamując nerwowe drżenie rąk. Nigdy nie przypuszczał, że ma aż tak promienne oczy. Lśniły niby gwiazdy. Udana słodycz maskowała wstęt i rozpacz. Cóż to za piękna dziewczyna, cóż to za nieodparty wdzięk! — myślał Aleck Curry.

Mona ścisnęła go palcami za ramię:

— Muszę stąd Cartera wyprawić! — szepnęła. — Muszę to zrobić, Alecku! Nie chcę, żeby on widział. Pobiegnę szybko i wrócę. Obiecuję ci, że wrócę!

Przyciągnął ją bliżej. Poczula niesamowite wprost obrzydzenie. Nie ośmieliła się jednak opierać. Z głuchym stęknieniem Aleck wziął ją w ramiona. Omal jej nie zgniótł. Była zupełnie bezwładna, z głową przegiętą wstecz, równocześnie grube, żarłoczne wargi obsypywały ją pocałunkami. Opuściła ją cała z trudem zdobyta energia. Zwisła w ramionach mężczyzny pozornie bez życia i to ją właśnie ocaliło. Aleck zrozumiał, że dziewczyna mu się poddaje. Rozluźnił ramiona, by mogła swobodnie odetchnąć. Słabo odepchnęła się obu dłońmi. Wciąż jednakże czuła na twarzy jego gorący oddech niby truciznę. Pochylając się szybko ku niej pocałował ją w same usta. Ledwo nie zemdląła pod tym pocałunkiem.

— Muszę śpieszyć do Cartera! — jęknęła. — Muszę go stąd usunąć. Później wrócę. Jeśli mi nie pozwolisz odejść na chwilę, będę krzyczeć i Carter usłyszy. Puść mnie lepiej, żeby Carter o niczym nie wiedział i nie mógł nic Pietrkowi donieść...

Nie potrzebowała nawet kończyć. Radosny triumf przeobraził rysy Alecka. Z bliska, badawczo zajrzał jej w oczy. Zwróciła mu to wejrzenie bez cienia lęku, czy też fałszu.

— Puszczę cię — rzekł. — Odpraw stąd Cartera. Lecz jeśli nie wrócisz tu niebawem, udam się do osady. Wiesz, co to znaczy dla Pietrka i dla jego ojca?!

— Wrócę! — skłamała.

Wspięła się stromą ścieżyną na szczyt urwiska, a nabrawszy w pierś oddechu zawołała na całe gardło Cartera po imieniu, czyniąc to tak głośno, by Aleck w dole usłyszał.

Potem puściła się pędem. Była jeszcze silnie osłabiona i miała wrażenie, że trucizna wsączona pocałunkami Alecka Curry'ego tkwi w organizmie, podkopując jej siły. Biegając poczęła płakać. Nie widziała już wcale wyjścia przed sobą. Należy szybko wyznać prawdę komukolwiek, pierwszemu człowiekowi, którego spotka na swej drodze. Ale najpierw należy powiadomić Szymona. Kto wie, czy na małej wysepce Pietrek nie kona od ran! Może Aleck Curry zabił rywala? Wszak mógł to

uczynić bezkarnie z mocy tego prawa, któremu służył!

Mona jęczała biegnąc i przez łązy wołała narzeczonego po imieniu. Znalazła się wreszcie na wysokim, pozbawionym roślinności wzgórzu, lecz tu ujrzała coś, co po prostu podcięło jej nogi. Stała się chwiejąc się i łapiąc otwartymi ustami oddech.

Wiatr dał jej prosto w twarz. Od północy nie leżał już welon dymu, lecz rozpościerało się morze ognia. Blask pełzał po ziemi i sięgał niebios. Pożar cwałował półkolem, przeskakując z jednego pagórka na drugi. Obawa Piotra Gourдона przybrała kształty realne. Płomienie dążyły w stronę osady!

Mona puściła się znów pędem. Rozwiane włosy czepiały się mijanych krzewów, więc zgarnęła je oburącz. Dopadła wreszcie skraju polany i chwiejnie poczęła biec w stronę chat. W oknach płonęły światła. Świeciło się w jej własnym domu, u Dominika Beauvais'go, u Adetty Clamart, u pół tuzina innych, lecz szyby Szymona Mac Quarrie'a zasnuwał gęsty mrok. Mimo to, nie tracąc nadziei gnała ku jego domostwu i u drzwi omal nie wpadła na starego Szkota. Był sztywny i milczący niby cień. Twarz miał surową i pobladłą. Słyszał, jak dziewczyna łąka, jak dyszy, usiłując coś powiedzieć, zagarnął ją więc w silne ramiona, by usłyszeć okropną wiadomość o Pietrku. Po upływie pięciu minut Szymon odpływał żaglówką.

— Jest tak ciemno — mówił — że Aleck nie dostrzeże mnie z pewnością, gdy będę mijał przesmyk. A za pół godziny najdalej odnajdę Pietrka.

Mona wróciła do chaty Szymona Mac Quarrie'a, weszła po drabinie do izdebki narzeczonego i zapaliła lampę. W skrzyni z cedrowego drzewa znalazła rewolwer Pietrka, kaliber trzydzieści osiem i naładowała go umiejętnie. Zgasła potem światło, zeszła w dół po drabinie i opuściła chatę dążąc w kierunku miejsca, gdzie czekał na nią Aleck Curry.

Jedno tylko pozostało jej do zrobienia, zdecydowała się więc szybko. Miała przecie prawo czekać na cyplu nad jeziorem powrotu narzeczonego i Szymona Mac Quarrie'a, jeśli zaś Aleck będzie jej nadal groził lub też usiłuje ją tknąć, zabije go po prostu. Nic innego już nie wymyśli. Ocali zresztą w ten sposób Pietrka, Donalda Mac Raego i siebie samą.

Nie uważała wcale, że popełni zbrodnię. Przeciwnie, postąpi zupełnie słusznie, skoro zgładzi ze świata istotę złą i szkodliwą, człowieka, który ze swej strony grozi zniweczeniem wszystkiego, cokolwiek ona ceni w życiu.

Mijała właśnie chatę Clamartów, gdy z mroku wynurzyła się biała sylwetka i ledwo Mona zdążyła wsunąć rewolwer w fałdy sukni, już Adetta trzymała ją za ramię. Śliczna twarz Adetty była bardzo blada, a głos łamał się jej ze zmęczenia.

— Jakie to wszystko straszne! — wołała. — James mówił, że ogień dojdzie do bobrowych żeremi najdalej za godzinę i właśnie pobiegli w tamtą stronę wszyscy trzej: mój mąż, Jeremiasz Poulin i Carter, żeby powstrzymać pożar, o ile się tylko da!

— Carter? — wykrztusiła Mona.

— Tak. James opowiedział mi o tej chatce zbudowanej przez Pietrka, i Carter zaraz począł dowodzić, że nie można pozwolić jej spłonąć i że należy również koniecznie ratować bobry. James twierdził, że i stu ludzi nic tu nie pomoże, lecz Carter nalegał, o i właśnie poszli!

Mona daremnie usiłowała coś powiedzieć, gdyż słowa zamierały jej na wargach. Dziękowała natomiast Bogu bez słów, że Adette skoczyła już przodem zamierzając dopędzić męża i oddać mu śniadanie, które w domu zapomniał. Więc Carter wrócił do osady i chce zwiedzić chatkę zbudowaną przez Pietrka, chatkę, w której się ukrywa Donald Mac Rae! Chata ta, zdaniem Jamesa Clamarta, znajdzie się za godzinę w sercu płomieni. Skoro Pietrek unieruchomiony jest na wyspie, a Szymon pojechał go ratować, któż ocali Donalda? Pożar i Carter! Kto pierwszy dopadnie zbiega?

Z suchych warg Mony dobył się jęk. Poprzez iglasty bór przesycony żywicą, rosnący wokół bobrowych żeremi, ogień pchany wiatrem runie niby nawałnica. Donald Mac Rae, chory i bezradny niewątpliwie padnie ofiarą.

Na skutek niebezpieczeństwa grożącego ojcu Pietrka, Mona powzięła nagłą decyzję. Musi wyprzedzić Cartera i musi wyprzedzić pożar! Aleck Curry odsunął się na drugi plan. Z Aleckiem można się będzie porachować później. Do chaty należy pędzić zaraz! Nie wolno tracić ani minuty, ani sekundy, jeśli chce przybyć wcześniej niż ogień i niż policjant!

Z miejsca puściła się pędem, obierając ścieżynę wiodącą przez łąkę do lasu, ciągnącego się wąską smugą pomiędzy jeziorem a osadą. Jej nogi i Pietrka wygładziły tę dróżkę i Mona wiedziała z pewnością, że wobec mroku nocy pogłębionego jeszcze dymem, posuwa się szybciej po znajomym szlaku niżli James Clamart i Carter, którzy kroczą zjeżoną pniami porębą. Po upływie dziesięciu minut dopadła urwiska ciągnącego się wzdłuż zachodniego brzegu jeziora.

Znajdowała się obecnie na wyżynie pozbawionej drzew ograniczających pole widzenia. To co ujrzała, nappełniło ją przerażeniem. Od północy ciemność pierzchła całkowicie. Widnokrąg poczerwieniał, przy czym jaskrawe błyski przecinały go na kształt wybuchów. Na zachodzie, poza stawem bobrów, nagromadzone w starodrzewiu zapasy żywicy przeobraziły senny bór we wrzący, płomienisty kocioł. Cierpka woń rozgrzanej żywicy biła w nozdrza; do uszu docierał ryk i łoskot ognia, zupełnie jak gdyby szereg wielkich pieców hutniczych stanęło nagle otworem.

Monę najbardziej trwożył wiatr. Dmąc silnie z północo-zachodu niósł ze sobą duszący żar. Wraz z gorącym powietrzem nadlatywały już chmury popiołu i sadzy, aż dziewczyna, poparzona na twarzy i na pół oślepla, szybko zdjęła ze siebie koszulę, otulając nią głowę i zakrywając oczy.

W połowie drogi do stawu, mając jeszcze dobrą milę przed sobą, dostrzegła płomienie przeskakujące ostatnie pasmo wzgórz. Serce zamarło jej w piersi, z ust zaś dobył się krzyk przerażenia i rozpacz. Spóźniła się jednak. Pomiędzy tymi wzgórzami a chatą, w której leżał chory ojciec Pietrka, znajdowała się niespełna półmilowa przestrzeń iglastego boru, poszyta tak gęsto karłowatą, żywiczną sośniną, że żadna siła oprócz woli bożej nie mogła już powstrzymać pochodu rozszalałego żywiołu. Skoro wiatr poganiał pożar, płomienie niewątpliwie osaczą chatę, zanim Mona zdoła przebiec ćwierć pozostałej przestrzeni.

Z wrażenia nogi tak jej osłabły, że padłszy na ziemię łkała rozpaczliwie i bezsilnie, śledząc wzrokiem pochód szkarłatnej śmierci, która wyprzedziła zarówno ją, jak i Cartera. W tej chwili cierpiała nawet bardziej jeszcze, niż gdy Aleck opowiadał jej o zranieniu Pietrka, wyobrażała sobie bowiem marę człowieka, wypełzającego na kolanach i rękach z zadymionej izby, by znaleźć się twarzą w twarz z morzem ognia; człowiek ten był chory, bezradny i z płaczem wzywał to ją, to syna, konając wolno z podwójnym imieniem na ustach.

Chwiejąc się stanęła znów na nogach i dążąc dalej martwiejącymi ustami odmawiała modlitwy błagając Boga, by Donald Mac Rae znalazł dość sił, aby dowlec się nad brzeg jeziora. Jeśli nie uczynił tego poprzednio, obecnie było już za późno, gdyż skoro wdarła się z trudem na bardziej stromy cypel urwiska, wiatr uderzył ją w twarz gorącym tchnieniem, tam zaś, gdzie niegdyś znajdowała się chata, szalało jedno wielkie morze ognia.

Mimo to biegła wciąż dalej i dalej. Szlak zniżał się, spełzał ku gładkiej plaży nadbrzeżnej; w jakiejś chwili Mona usłyszała dość blisko trzask łamanych chaszczy i głosy żywych istot. Olbrzymi łoś przecwałował tak blisko, że musiała muz drogi uskoczyć: potworne zwierzę z gorejącymi oczyma i dymiącymi nozdrzami. Tuż pędził inny stwór, ciemniejszy, bardziej okrągły: niedźwiedź, szukający bezpieczeństwa w wodnym rozlewisku.

Mona dotarła teraz do zwirem pokrytej płaszczyzny, gdzie szlak skręcał pod ostrym kątem ku

bobrowym żeremiom. Tu stanęła, wierząc, że nie wolno jej iść dalej, skoro nie chce się narazić na straszną śmierć, przed którą wszystko, co żyje, ratuje się paniczną ucieczką.

Zaczęła więc wzywać kolejno to Pietrka, to Donalda Mac Rae, to znów Szymona Mac Quarrie'a, przeplatając te lamentsy imieniem bożym. Wreszcie padła na ziemię kryjąc twarz w zwojach koszuli, z radością prawie myśląc o śmierci, skoro nie tylko wszystkim jej najbliższym, lecz całemu światu, do którego od tylu lat przyłgnęła sercem, groziła nieuchronna zagłada.

Jakiś dźwięk w pobliżu skłonił ją do odstąpienia głowy, dźwięk odbijający wyraźnie od łoskotu ognia i wycia wiatru. Wyteżając w ciemności wzrok dojrzała dziwaczny cień, coś, co nie było ani jeleniem, ani jakimkolwiek w ogóle zwierzem spotykanym w puszczy. Zerwawszy się z ziemi rozróżniła człowieka zgiętego pod wielkim, bezwładnym ciężarem.

Wrzasnęła dziko; odpowiedział jej zdławiony głos, głos chrapliwy, nieludzki, którego dźwięk rozdarł jej serce. Skoro zaś człowiek złożywszy ciężar swój na białym piasku wyprostował się, Mona poznała Pietrka.

Chwiejąc się podeszła ku niemu. Objął ją i przytulił. Oddychał ciężko z utrudzenia, a serce łomotało w nim tak gwałtownie, że aż się cały trząsał. Wobec jego słabości Mona znalazła w sobie nowy zasób sił. Szybko pogładziła go po twarzy i wyrwawszy się przyklękła obok leżącego na piasku człowieka.

Był to Donald Mac Rae.

Nad ich głowami płonęła teraz jaskrawa luna, więc przy jej świetle Mona zobaczyła szerniącą twarz i osmalone ręce. Człowiek mimo to oddychał. Mona zerwała z głowy koszulę i pobiegła, by ją umoczyć w wodzie, lecz skoro wróciła z płótnem ociekającym chłodnymi kroplami, Pietrek, klęczący obok ojca, przytrzymał ją za rękę.

— Nie wodę! — rzekł. — Trzeba znaleźć coś innego. Jest bardzo poparzony.

Mona opasała Pietrka rękami, wspierając na moment głowę na jego ramieniu. Zaczął wtenczas opowiadać szybko w słowach urywanych i skąpych, jak to Aleck go przechytrył i ogłuszonego zostawił na wyspie. Przy pomocy suchego bala Pietrek wy dostał się z wyspy na ląd stały, zbyt późno jednak, by zdążyć na czas do chaty koło bobrowych żeremi. Pożar go wyprzedził. Ojca znalazł w pół drogi, pełznącego na kolanach i rękach. Miał silnie poparzoną twarz i ręce, ale żadnych obrażeń poza tym. Jeszcze chwila i płomień doścignąłby ojca. W tym momencie głos się Pietrkowi załamał, więc Mona pogładziła go po twarzy i ucałowała gorące czo wiąo.

Zanieśli Donalda Mac Raego pod osłonę najbliższego urwiska, gdzie nie docierały prawie dym i żar. U ich stóp sączyło się wśród głązów skąpe źródło. Tu Mona opowiedziała narzeczonemu, jak Aleck zjawił się na cyplu, lecz o jego groźbach i pieszczotach nie powiedziała ani słowa. Wspomniała również, że Szymon Mac Quarrie udał się żaglówką na wyspę i że skoro Pietrka tam nie znajdzie, niewątpliwie wyląduje tutaj właśnie. W tym czasie, gdy układając Donalda wygodniej czekali cierpliwie, aż pożar przestanie szaleć, Mona powiadomiła jeszcze Pietrka o ruchach Cartera, twierdząc przy tym, że nie należy zwlekać ani chwili, tylko zaraz szukać bezpiecznej kryjówki.

Pietrek pochylił się nad ojciem. Wiedział, niestety, dobrze, co ta bezpieczniejsza kryjówka oznacza. Ledwo dostłyszalnym szeptem zwierzył się Monie. On także musi odejść. Nie potrwa to długo: być może tydzień, może miesiąc, a może jego nieobecność przedłuży się jeszcze trochę. Ucieka nie ze względu na siebie bynajmniej; Nie lęka się ani Alecka, ani prawa, gdyż to, co uczynił nad stawem, powtórzyłby chętnie przy następnej podobnej okazji, choćby w obliczu całego świata. Zrobił przecież rzecz jedynie słuszną. Lecz obecność jego przy ojcu jest niezbędna. Gdyby teraz postąpił niegodnie, puszczając starego i chorego człowieka samopas, wówczas Mona nie mogłaby go kochać po dawnemu, całym sercem ani też spoglądać na niego z taką miłością i jak gdyby dumą, które

z kolei napawają go szczęściem i dodają sił do znoszenia przeciwności losu. Bez niego ojciec zginie. Teraz miejmy nadzieję, że Szymon niebawem nadpłynie w swej łódce, gdyż przy pomocy tej łodzi właśnie uciekną w głąsę na zachód.

Mona milczała w czasie tej przemowy. Jakże mogłaby dobrać głosu, skoro dławiono ją w gardle tak silnie, że ledwo chwyciła oddech. Lecz gładziła dłoń Pietrka, tuliła się policzkiem do jego osmalonej twarzy, a silniejsza niżli rozpacz rosła w niej duma, że oto taki człowiek kocha właśnie ją. Przypomniła sobie opowieść z czasów średniowiecza, o młodym rycerzu, imieniem Sir Nigel, który miał również wrażliwą chłopięcą, twarz. Ukochana jego, słodka Mary, pozwoliła mu mężnie odejść na srogą wojnę, podczas której latami zdobywał niegasnącą sławę. Więc Mona skrzepiła w sobie serce, jak to zapewne niegdyś musiała czynić Mary i oznajmiła Pietrkowi spokojnym głosem, że w istocie jest to jedyna droga, jedyne wyjście, że Bóg będzie mu z pewnością na niej błogosławił, ona sama zaś nigdy o nim nie zapomni i pokocha go tym bardziej.

Starła się nawet wywołać uśmiech na wargi, lecz dręczyły ją okropne przeczucia, gdy zaś powracające czółno Szymona Mac Quarrie'a zgrzytnęło o piasek, Mona uczuła wyraźny ból w sercu. Gorąco ucałowała Pietrka. Szymon wysiadł, wysłuchał wszystkiego i po upływie pięciu minut znikł, ponownie wracając do osady dla dostarczenia Pietrkowi i jego ojcu potrzebnych zapasów oraz lekarstw.

Nieobecność starego Szkota trwała całą godzinę, cały czas Donald Mac Rae bohatersko tłumił jęk bólu. Mimo wysiłków nie potrafił otworzyć oczu, więc Mona wachlowała mu twarz skrawkiem mokrej koszuli, tłumacząc, że Szymon wróci niebawem przynosząc maści i bandaże, które zapewnią natychmiastową ulgę. Pietrek nawet chichotał czasami, opowiadając o niespodzianym wybuchu pożaru, jak gdyby było w tym coś zabawnego, lecz cieszyli się oboje, że ten stary, chory człowiek nie widzi ich rysów zmienionych trwogą i bólem.

Ogień pożerał hucząc resztę iglastych zarośli, po czym spopieliał u zrębu nagich kamieni i głazów, dzielących bór od wybrzeża. Łódka Szymona Mac Quarrie'a ponownie zgrzytnęła na piasku.

— Carter wrócił do osady i wybierał się właśnie łodzią w tę stronę, gdy udało mi się jakoś wymknąć! — szepnął Szkot na ucho Monie.

Mona oddaliła się wraz z Pietrką w stronę łodzi, pozostawiając dwu starych przyjaciół razem. Niebawem zresztą nadszedł Szymon, dzwigając na własnych barkach chorego druha. Bardzo czule i ostrożnie umieścił go na derkach rozpostartych na dnie łodzi.

— Niech Bóg cię strzeże, Donaldzie! — szepnął głosem złamanym. — Niech Bóg ma cię zawsze w swej opiece!

Pokryta ranami ręka uniosła się do twarzy Szymona.

— Nie byłem nigdy samotny, Szymonie! — zapewniał chory — Bóg i moja biedna nieboszczka towarzyszyli mi zawsze. Teraz zaś, gdy wychowałeś Pietrka na tak dzielnego człowieka, mam nadzieję połączyć się z nią niedługo...

W ciemności Mona wyslizgnęła się z ramion Pietrka.

— Pietrku, nie wolno ci dłużej zwlekać. Musisz już iść!

— Kochanie, pamiętaj, że wrócę niebawem.

— A ja, Pietrku, ja przysięgam ci na słodką świętą Annę, że będę na ciebie czekała, aż wrócisz, choćbym miała czekać tak długo, nim nowy bór wyrośnie na miejscu tego, który spłonął. Idź już więc, kochanie, idź...

Oderwała się od niego, odbiegła w ciemność i nie próbował nawet jej ściagać, chociaż słyszał wyraźnie, jak płacze.

Teraz przysunął się doń Szymon. W mroku silnie uścisnęli sobie dłonie. Stary Szkot powiedział

głosem stłumionym i drżącym.

— Posmarowałem ręce i twarz twego ojca maścią kojącą, więc już mniej cierpi. Mam wrażenie, że nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń. Wszystko masz w łodzi, chłopcze: zapasy, derki, lekarstwa oraz trochę pieniędzy, ile tam znalazłem pod ręką.

Umilkł i zawahał się wyraźnie, podczas gdy uścisk jego dłoni stał się mocniejszy.

— Na rufie leży twoja fuzja wraz z zapasowymi nabojami w skórzanym worku. Przyda ci się zapewne. Ale nie zadzieraj z prawem, chłopcze, chyba że nie znajdziesz innego wyjścia. Pamiętaj. Prawo nie zna wymówek, nawet, gdy się czasem zdarzy, że służą mu przez omyłkę tacy łotrzy jak Aleck Curry i takie żądne krwi łasice jak Carter. Muszę ci też przypomnieć, że na własne oczy widziałem, jak ojciec twój zabił człowieka, podczas gdy matka nosiła cię jeszcze na rękach, taki byłeś malutki. Zabił z racji twej matki właśnie i niewątpliwie miał rację, lecz mimo to prawo nie mogło mu tego czynu darować i ściga go, jak widzisz, zanim nie schwyta. Musisz teraz przechytrzyć prawo, wszelako bez użycia fuzji. Kocham cię, chłopcze, gdybyś jednak puścił ojca samego, poczytałbym cię za przekłętą tchórzka. Latami modliliście się wraz z Moną o powrót ojca, teraz zaś gdy wrócił, jest w tym wyraźna wola boża. W tym człowieku, niegdyś tak niepospolicie silnym, nie zostało dzisiaj nic prócz uwielbienia dla ciebie i miłości dla twej zmarłej matki. Opiekuj się nim, Pietrku, i niech cię Bóg strzeże!

Odkąd Pietrek zamieszkał pod dachem Szymona Mac Quarrie'a, stary mruk nie zdobył się nigdy na tak długą przemowę. Pietrek wsiadł do łodzi milcząc, bowiem gardło miał ściśnięte, Szymon zaś odepchnął czołno od brzegu wchodząc w wodę niemal po pierś. Pożegnał ich też zwykłym do widzenia, jak gdyby jechali po prostu zastawić sieci koło rozsianych po jeziorze wysepek, przy czym surowy jak zwykle głos nie zdradzał wcale, iż po brunatnych niby rzemień policzkach starego, w kryjącym wszystko mroku, płyną wielkie łzy.

Skoro Pietrek podniósł żagiel, Szymon Mac Quarrie zawrócił ku brzegowi, lecz zaledwie stanął na lądzie opasało go dwoje kobiecych ramion i Mona z rozpaczą poczęła łkać na jego ramieniu.

Zanim jeszcze skręcili na kamienisty szlak wiodący wzdłuż skalistego urwiska, usłyszeli nowy dźwięk. Od osady nadpływała lekka łódź i z chrzęstem osiadła na piasku przybrzeżnym.

Carter, siedzący u steru, służył już dawno w szeregach policji. Był zaciekły jak łasica, sprytny niby lis, obdarzony zimną krwią i stalowymi nerwami, a już zupełnie nie znał litości. Skoro czołno dziobem wryło się w piasek i Aleck Curry śpiesznie wyskoczył na ląd, Carter nie ruszył się z miejsca. Spokojnie czekał. Po upływie paru minut usłyszał głosy: najpierw chłodną, beznamiętną mowę starego Szkota, potem zaś brutalne pytanie Alecka i wreszcie krótką, zdławioną odpowiedź Mony.

Wtenczas Carter wstał, a wyskakując na ląd uśmiechnął się w ciemności. Twarz miał surową i szczupłą. Słyszał, jak Szymon mówił do Alecka, że prawo nie ma nic do roboty w osadzie Pięciu Palców, bowiem Pietrek wraz z ojcem zginęli w pożarze. Usłyszał, że Mona płacze z głową opartą o ramię starego. Wtenczas pocisnął guzik latarki elektrycznej, nie oświetlając wszelako tych dwojga. Blask padł prosto na twarz Alecka, brutalną, rozczarowaną i wściekłą po doznanym zawodzie. Carter uśmiechnął się znów, ubawiony.

Cofnął się teraz, wodząc snopem światła po wilgotnym piasku nadbrzeża. Po czym rzekł obojętnie, jakby odkrycie, którego dokonał przed chwilą, nie miało w istocie rzeczy głębszego znaczenia.

— Kłamiesz, Mac Quarrie! Spóźniliśmy się ledwie o kwadrans. Pietrek Mac Rae wraz z ojcem odpłynęli w twojej łodzi, ponieważ zaś wiatr dmie tak leniwie, że nie wypełni wcale żagla, sądzę, że zapał Alecka wraz z tym moim lekkim czołenkiem pozwolą nam doścignąć zbiegów.

Zachichotał, gasząc latarkę, a chichot ten wydał się Monie bardziej obmierzłym niżli kołatanie grzechotnika. Brzmiała w nim groźba o wiele straszliwsza, niż ją wyczytała przed chwilą w zmienionej nienawiścią twarzy Alecka. Gdyż Carter był nie tylko przedstawicielem prawa; był niejako jego wcieleniem. A łódź unosząca tego człowieka, który napawał Monę większą grozą niż ktokolwiek inny — odbiła już od brzegu i mknęła teraz śladem łodzi Pietrka i Donalda Mac Raego.

Rozdział XX

ŚLEPIEC

Dobrych parę chwil po odbiciu od brzegu Pietrek nie ośmielał się zabrać głosu. Miał wrażenie, że słowa ugrzęzną mu w gardle.

Przed sobą nie dostrzegał nic prócz brunatnego chaosu. Jednak gdy zwracał głowę w stronę lądu, widział, mimo dymnej zasłony, mroczny zarys skał na tle szkarłatnego nieba. Nie rozróżniał nawet sylwetki żagla pociemniałego od niepogody, skoro zaś spozierał w głąb łodzi zgadywał raczej obecność ojca.

Teraz, gdy pożar wygasł, prąd nagrzanego powietrza bijący od strony lądu ustąpił miejsce letniej ciszy. Dym rozwłóczył się na kształt gęstej mgły, a w nieruchomym powietrzu wszelkie dźwięki niosły się tak daleko i wyraźnie, że Pietrek wyłowił wycie psa z osady Pięciu Palców.

Wtem doleciał doń słaby zgrzyt wiosła w dulkach, zacisnął zatem dłoń na sterze. Byli to znów Aleck Curry i Carter, Carter, łowca ludzi! Śpieszyli, by odciąć zbiegów od otwartej przestrzeni, zanim zdołają Wypłynąć na jezioro. W piersi Pietrka wezbrała taka wściekłość, że jak niegdyś, przed laty, omal nie rzucił głośno w przestrzeń zuchwałego wyzwania. Miniony dawno dzień zarysował się w pamięci niby żywy. Ogromna kłoda, poza którą schronili się we dwójkę, zbrojni ludzie w chaszczach, błękitna sójka na wierzchołku drzewa, głód, pragnienie oraz surowa, blada, lecz tak pomimo wszystko spokojna twarz ojca, wyczekującego cierpliwie nadejścia mroku; zmierzch, ucieczka przy pomocy suchego bala, pierwsze obozowisko wygnańcze w lesie. Jakże się ojciec nadzwyczajnie zachował w tamtych ciężkich chwilach, których doniosłości Pietrek, jako głupi wyrostek, nie umiał nawet pojąć! Teraz zaś spoczywał u jego nóg chory i bezradny, ruina człowieka, a wszystkiemu było winne prawo, bezlitosne prawo!

Pietrek szepnął coś cicho. Był to ledwie dosłyszalny dźwięk, stęknienie raczej, jak gdyby mu zawadzał dym, którego się tyle nałykał. Lecz od razu w ciemności uniosła się ręka i musnęła go tkliwie.

— Pietrku?

— Tak ojcze.

— Wszystko się obróciło na złe, mój chłopcze. Ach, gdybym tylko mniej za tobą tęsknił... Gdybym tu wcale nie wracał...

Pietrek nachylił się, czule gładząc osmaloną twarz, którą Szymon posmarował maścią kojącą.

— Gdybyś nie wrócił, ojcze, straciłbym wiarę w Boga, któremu nauczyłeś mnie ufać — szepnął. — Już bym w ogóle zwątpił, gdyby nie Mona. Powtarzała wciąż, że się jednak jeszcze zobaczymy. Teraz zaś nie jest nawet w połowie tak źle, jak było niegdyś, pamiętasz, tego dnia za zwaloną kłodą drzewa. Jak o mnie wtedy dbałeś, ojcze, jak usiłowałeś utrzymać mnie nad wodą, gdyśmy płynęli przyczepieni do pnia. Jak łowiłeś króliki w sidła, abym miał co jeść i jak mnie starannie otulałeś na noc. Teraz nadeszła moja kolej. Prawie się cieszę, iż jesteś chory, gdyż mogę ci wreszcie dowieść, jak bardzo wyrosłem, odkąd rozstaliśmy się przed laty. Okłamałeś mnie wtenczas, ojcze. Kazałeś mi wierzyć, że wrócisz nazajutrz lub najdalej za parę dni. Czyż nigdy nie było ci wstyd?

Głos Pietrka nabrał już normalnego brzmienia. Wszak przemawiał do swego ojca, do druha i przyjaciela z lat dziecińczych. Ileż miał w sercu prawdziwej, niefałszowanej przyjaźni.

— Wiedziałem, Pietrku, że u Szymona *będzie* ci dobrze! — rzekł Donald Mac Rae. — I na jakiego człowieka cię wykierował! Ale żal mi, żal mi strasznie, że wróciłem. Stęskniłem się do

ciebie, synku, tęsknota dokuczała mi jak głód. Lecz chciałem tylko spojrzeć na ciebie z daleka, zobaczyć przez chwilę twoją twarz, i zaraz odejść, byś o niczym nie wiedział. Bóg mi świadkiem, nie zamierzałem łamać ci życia w ten sposób.

Gładził dłoń Pietrka, chłopak zaś pochylał głowę tak nisko, że przez mgnienie musnął policzkiem policzek ojca. Donald milczał, tylko wciąż pieścił dotykem dłoń syna. Po chwili rzekł:

— Pietrku, zdaje mi się, że coś słyszę.

— To pewno grzmot. W ślad za pożarem idzie burza.

— Mylisz się, to gdzieś blisko i dźwięk jest zupełnie inny. Jak gdyby drzewo ocierało się o drzewo.

Donald opadł na dno łodzi. Pierek, pochylony, ułożył mu głowę wygodniej.

— To mi przypomina ostatnią naszą noc w borze, gdy otuliłeś mnie własną kurtką i kazałeś zaraz zasnąć! — szepnął tklawie. — Teraz ja ci mówię to samo, ojczu. Potrzebujesz snu. Spróbuj usnąć.

Mówiąc słyszał ponownie podejrzane dźwięki i wiedział dobrze, że to chrobocą wiosła łodzi policyjnej. Umocował wtenczas żagiel w ten sposób, że własne jego czółno biegło ku środkowi jeziora. Potem odszukał na dnie derkę, z której szybko i cicho wydobył nabitą fuzję. Słowa Szymona dźwięczały mu w mózgu miarowo i natrętnie niby tykanie zegara.

— Opiekuj się nim, Pietrku. Pietrku, niech cię Bóg strzeże!

W miarę, jak minuty mijały, Pietrek doznawał wrażenia, że ten dźwięk staje się żywą, nieodłączną częścią nocy, że opływa ich czółno na kształt złowrogiego szeptu, że czai się za masztem, że szemrze wraz z wodą koło burt i krąży w powietrzu. Ów głos nikły i tajemniczy podkreślał jeszcze martwą ciszę, która zawładnęła spalonym światem. Było coś dziwnego w powietrzu, jakieś wielkie napięcie, jak gdyby nieznanne moce, okiełznane czasowo, mogły lada moment rozpuścić chaos, zniszczenie. Z oddali nadciągał grzmot. Chrzęst wiosła umilkł.

Pietrek wyteżał wzrok, chcąc przesyć oczyma ciemności, choć wiedział dobrze, iż usiłowania są bezcelowe i daremne. Szkarłatna luna gasła. Miejscami nie zaznaczała się już wcale. Tam, gdzie nie tak dawno wsiadali do łodzi, panował czarny, milczący mrok, który przygniatał serce Pietrka i napawał go najgorszymi przeczuciami.

Nowy dźwięk ozwał się w ciszy; słodki, daleki i tak bardzo znajomy. Pietrek z wolna rozluźnił palce zaciśnięte na kolbie fuzji, po czym kornie schylił głowę. Był to dzwon umieszczony ponad małym, drewnianym kościółkiem osady Pięciu Palców, ojciec Albanel zaś pociągał za linę. Nawet teraz, w porze nocnej zasnutej dymem, mały misjonarz zwoływał gromadkę wiernych w progę świątyni bożej, by złożyli korne dzięki za ocalenie zarówno ich samych, jak i ich najbliższych, a także domostw i dobytku przed straszliwą zagładą. Dzwon przemawiał niby głos ludzki słodki i kojący, a niósł ze sobą spokój i otuchę. Tak, Bóg istnieje! Pietrek krzyczał wielką prawdę całą duszą i sercem. Gdyby nie Bóg, ojciec zginąłby niewątpliwie, osada zaś poszłaby z dymem. Mona przestałaby go kochać. Nie istniałaby wolna przestrzeń rozpostarta przed łodzią. Pietrek wyprostował się w łodzi by lepiej i dłużej łowić rozproszone dźwięki, przy czym wargi mu się poruszyły w żarliwej modlitwie.

Gdy wreszcie zamarł ostatni, dźwięczny ton, chłopak poczuł się o wiele różnie, zupełnie jak gdyby czyjś przyjazny duch zajął obok niego miejsce w łodzi.

Szeptem przemówił do ojca, lecz odpowiedziało mu milczenie. Wyczerpanie wraz z rzeźwym powietrzem na jeziorze oraz panująca wokoło cisza zmorzyły starego, usnął więc głęboko.

Noc ociężała od dymu i ciszy mijała nieskończenie wolno. Odległy grzmot wraz z obietnicą deszczu przeszły bokiem. Pietrek z pół tuzina razy zapalał zapalną, aby spojrzeć na zegarek. Doczekał się wreszcie godziny trzeciej, gdy mrok i dym poczęły ustępować wobec bliskiego już świtania. Zbudziła się lekka bryza, jak gdyby kto zamiótł powietrze wielką miotłą i Pietrek dojrzał z dala

zarysy brzegu. Serce zabiło w nim teraz silniej, gdyż w tyle, poza groźną zaporą skalną spiętrzoną na kształt barbarzyńskiego mauzoleum, przewijał się wypełniony wodą przesmyk. Pietrek poważił się raz spróbować płynąć po tym potoku, w dzień całkowicie bezwietrzny i przekonał się wtenczas, że mijając nagie głązy i urwiska można trafić wreszcie w głąb puszczy, w samo serce kniei, gdzie właśnie zamierzał poszukać sobie kryjówki.

Ledwo bez zastrzeżeń oddał się radości, wiatr ponownie zamarł. Równocześnie żywszy blask roztoczył się ponad jeziorem. Horyzont cofnął się i rozszerzył, jakby właśnie odsłonięto kurtynę i w odległości pół mili Pietrek dostrzegł coś, co mu zaparło oddech.

W ciągu paru chwil trwał bez ruchu, nie oddychając prawie, wpatrzony w nadpływającą szybko łódź. Potem rzucił wzrokiem na ojca. Donald Mac Rae nie przebudził się jeszcze. Od skroni do skroni, poprzez zamknięte powieki ciągnęła się czerwona blizna, niby ślad rozpalonego żelaza. Ręce miał pokryte pęcherzami, wargi zbrzęknięte, ramiona i szyję całe w ranach, powleczone grubo kojącą maścią Szymona Mac Quarrie'a. Mimo tak strasznych obrażeń Donald Mac Rae spał.

Widok był tak okropny, że Pietrek omal nie krzyknął głośno, wzywając pomsty bożej na tych, którzy z człowieka dzielnego i pełnego sił zrobili taką ruinę. Odwrócił się z ręką na kolbie fuzji. Nie bał się już wcale prawa ani przedstawicieli jego w osobach Alecka Curry'ego lub Cartera-łascicy. Marzył o tym wyłącznie, by ich zabić. Ze zdumiewającym spokojem czekał, obserwując nadpływającą łódź. Kiedy znalazła się o dwieście jardów podniósł broń do oka.

Na pierwszy strzał obrał kark Alecka. Lecz w tej samej chwili zauważył, że ponieważ Carter siedzi na rufie, Aleck zaś w połowie długości łodzi, zatem dziób wystaje wysoko ponad wodę. Właśnie tej okoliczności Aleck zawdzięczał życie. Pierwsza kula Pietrka trafiła w burtę o cal lub dwa poniżej linii wodnej. Dwie następne posłał w to samo miejsce.

Efekt okazał się prawie natychmiastowy. Aleck Curry puścił wiosła i rzucił się wstecz, wskutek czego łódź omal nie uległa awarii. Lecz już bystro orientujący się się Carter odwołał Alecka na rufę, gdzie kucnęli obaj, skuleni, wspólnym ciężarem unosząc strzaskany dziób ponad wodę, podczas gdy Carter co rychlej zdzierał przez głowę koszulę.

Strzały zbudziły Donalda, który z wysiłkiem uniósłszy się na dnie, ukląkł obok Pietrka.

— Co to takiego? — pytał. Obrócił w stronę syna zniekształconą twarz i raptem z okropnym krzykiem zakrył ją rękami — Mój Boże, mój Boże! — wołał. — Ja nic nie widzę! Pietrku, ja oślepiłem!

W tej najtragiczniejszej bodaj chwili swego życia Pietrek z całej duszy podziękował Bogu, że wiatr zerwawszy się nagle wypełnił żagiel łodzi oraz że ani Carter, ani Aleck Curry nie krzyczeli za nimi. Ojciec nie słyszał nic i nic nie widział, Pietrek zatem mógł łatwo skłamać, rzucił więc pierwsze słowa, jakie mu przeszły przez myśl:

— Strzelałem do stada cyfanek, alem chybił!

Mówił głosem wesołym i prawie rozbawionym, upewniając ojca, że jakkolwiek teraz nie może otworzyć oczu, co jest rzeczą zupełnie zrozumiałą wobec silnie spuchniętych powiek, nie ulega przecie wątpliwości, że po jakimś czasie odzyska normalny wzrok. Należy się tylko uzbroić w cierpliwość. Więc Donald nie dostrzegając upiornej bladości ani jego wykrzywionych rysów, uśmiechał się ufnie mimo piekącego bólu, podnosząc okaleczoną twarz ku błękitnemu niebu. Mniej mu idzie o ręce, dowodził, lecz jaka szkoda, że Pietrek koniecznie bandażuje mu oczy, bo tak ogromnie chciałby przypatrzeć się swemu synkowi w czasie krótkiego okresu wspólnej wędrówki. Głos Donalda Mac Raego brzmiał dziwnie pogodnie, co stanowiło patetyczny kontrast z zupełną jego bezradnością.

A Pietrek dokonywał bohaterских wysiłków byle nie spłoszyć radosnego nastroju ojca. Lecz

serce łamało się w nim z bólu, wiedział bowiem, że Donald jest ślepcem.

W kilkanaście godzin później, w gasnącym świetle dnia, łódź zbiegów skradała się ku brzegowi. Tym razem, żagiel był zwinięty, Pietrek zaś, ostrożnie robiąc wiosłem, szukał znajomego przejścia. Osłonięty coraz gęstniejącym mrokiem wprowadził czołno w wąską szczelinę jaru, na dnie którego płynął potok. Ściany skalne piętrzyły się im nad głowami na wysokość dwustu stóp. W zupełnej ciemności, mając jedynie kędyś w górze bladą smugę zmierzchu, sunęli po omacku dobre pół godziny. Potem przesmyk się rozszerzył, po następnym kwadransie zaś ściany skalne rozstały się w lewo i w prawo, topniejąc w mroku, a na przedzie wyrosła drobna wysepka pokryta niemal całkowicie zwaliskami głazów, porośła gęstym odwiecznym borem.

Pietrek osadził czołno na wąskim skrawku piaszczystego wybrzeża, po czym zapalił latarnię, która staraniem Szymona znajdowała się pośród ekwipunku. W tym świetle wystąpiły jeszcze wyraźniej głębokie cienie wkoło; przechadzając się pośród nich Pietrek stwierdził, że znajdują się tu na każdym niemal kroku liczne zagłębienia, jaskinie i pieczary stworzone przez chaotyczne nagromadzenie skał i głazów. Dno tych kryjówek wyściełał przeważnie miękki biały piasek.

Pietrek obrał jedną z tych jaskiń jako miejsce noclegu, lecz dopiero zgromadziwszy naręcze suchego drzewa i rozpaliwszy ogień powrócił do łodzi. Wtenczas właśnie w żółtym blasku płonącego cedru i sośniny zauważył, iż ojciec jego uległ dziwnej i niepokojącej zmianie. Donald Mac Rae nie sprawiał już wrażenia chorego człowieka. Stał wyprostowany oddychając głęboko. Uśmiechając się do syna spokojnie zsunął z oczu bandaże.

— Nareszcie znajdujemy się w domu! — przemówił tkliwie. — A tuż za tobą, Pietrku, widzę twoją matkę.

Umilkł i jak gdyby zdawszy sobie sprawę ze wstrząsu, jaki mogą wyrzucić na synu podobne słowa, dodał szybko w formie wyjaśnienia.

— Nie przerażaj się chłopcze. Przecie ona towarzyszyła mi zawsze, dzień i noc. Tylko że obecnie znajduje się bliżej.

Wyciągnął ramiona do zjawy, Pietrek zaś uchwycił siszy ich wprost kurczowo. Donald przesunął dłonią po włosach syna. Przemówił takim tonem i takimi słowami, jakimi niegdyś przemawiał do dziecka:

— Nie boisz się, Pietrku?

— Czego miałbym się bać?

— Nic ci nie zrobią — uspokajał go Donald łagodnie. — Nie pozwolę im, by skrzywdzili mego synka!

Pietrkowi serce zamarło w piersi. Cofnął się z wolna. W blasku ognia twarz miał zupełnie szarą i oczy przerażone do dna. Usiłował coś powiedzieć, lecz ze sztywnych warg nie dobyło się ani jedno słowo. Rysy Donalda, zeszpecone śladami oparzeń, miały w sobie dziwny spokój. Jak gdyby z tego człowieka zdjęto ciężar lat. Ani śladu strachu, zmęczenia, przejęcia tragiczną rzeczywistością czy choćby zrozumienia tego, co ich może spotkać w najbliższej przyszłości. Pietrka olśniła raptem wielka prawda, na razie w formie przeczucia tylko, potem już jako pewnik niezbity. Zachwiał się na nogach. Donald Mac Rae nie był już niestety tym człowiekiem, który po latach samotnej włóczęgi wrócił, by zobaczyć znów swego chłopca. Postradał rozum. Myśl jego odbiegła wstecz, cofnęła się do dziecięcych dni Pietrka, wymawiał więc zapomniane słowa jak gdyby się właśnie stosowały do chwili obecnej. Był dobrotliwy i mądrze wyrozumiały, jak wtenczas, gdy usiłował zastąpić synowi zmarłą matkę.

Mówił:

— Nie obawiaj się niczego, Pietrku. Oni przecież nie skrzywdzą małego chłopaka. Uciekajmy

stąd. A potem znów powędrujemy sobie we dwójkę w głąb szerokich borów, przez góry i doliny jak to sobie dawno marzyliśmy...

Pietrek zacisnął ręce i przytknął je do warg w obawie, że pocznie głośno jęczeć ze zgrozy.

W ciągu męcząco powolnych godzin, jakie teraz nadeszły, Donald Mac Rae przeżywał znowu czasy dzieciństwa Pietrka, wspominając dawno minione zdarzenia, jak gdyby się przytrafiły wczoraj dopiero, dobywając na jaw marzenia i sny, malując wspólną przyszłość tymi samymi słowami, jak to czynił niegdyś o zachodzie słońca. Pietrek, mając duszę zbolałą i skrwawione serce usiłował podtrzymać rozmowę. Wspólnie odbywali zatem nieistniejące łowy. Wspólnie chadzali po linii sideł. Słuchali śpiewu ptasząt siejąc i flancując kwiaty w małym ogródku koło skromnego domostwa, skoro zaś nadeszła pora wieczornych pacierzy, Pietrek ukląkł u kolan ojca by pomodlić się po dziecinnemu. Jakże często marzył o podobnej chwili w czasie lat spędzonych w osadzie Pięciu Palców, lecz teraz czuł dreszcz zgrozy, jakkolwiek głos starego człowieka sławiącego przyszłość, miał w sobie posmak głębokiego szczęścia.

Wreszcie Donald Mac Rae usnął. Północ już minęła i ostatnie rude główne dogasały w ognisku. Pietrek, uniósłszy się na nogi, powędrował wzdłuż brzegu wpatrzony w ciemność. Mury skalne opasujące wysepkę piętrzyły mu się nad głową, niby cembrowina głębokiej studni. Dostrzegał liczne gwiazdy w górze, lecz sama ich odległość tym bardziej podkreślała uczucie pustki. Żadnego ruchu wkoło, żadnego śladu życia; gładko leżała tafla wodna; drzewa wieńczące szczyty urwiska nie szemrały z braku wiatru; kamienie i głazy trwały w całkowitej martwocie, a w sypkim piachu szeleścił jedynie własny jego krok.

Normalnym tym objawom Pietrek przypisywał jakiś związek z przemianą zaszłą w jego egzystencji. Cały świat podległ zmianie zasadniczej. Wszystko waliło się w gruzy, lecz z gruzów tych wyrastała nowa forma, na którą Pietrek godził się tępo. To co było zaledwie wczoraj, odsunęło się tak daleko, jak gdyby od pewnych zdarzeń dzieliła go nie zwykła doba, tylko nieskończenie długi okres czasu. Trudno już było nazwać domem osadę Pięciu Palców, a i Mona nawet umknęła w cień. Myśl nie buntowała się już wobec narzuconej nowej drogi.

Jedno tylko pojęcie ugruntowało się mocno, rozpanoszyło się w sercu i mózgu. Jest związany z ojcem, tak samo jak ojciec związany jest z nim, i to do końca życia. Trzeba się opiekować tym starym ułomnym człowiekiem, dbać o niego, walczyć w jego obronie, strzec go przed bezlitosnym wyrokiem prawa, choćby przyszło w końcu zapłacić głową. To nie ulega wątpliwości. Nawet miłość względem Mony nie mogła zmienić obowiązku względem kogoś, kto kocha tak dawno. To już nawet nie była decyzja, lecz niewzruszona pewność stanowiąca część składową istnienia, jak bicie serca na przykład.

Gwiazdy zbladły; ponad skalną wysepką błysnął pogodny dzień. Pietrek zawrócił, by znaleźć ojca pełzającego w piasku na kolanach i rękach. Donald gromadził suche patyki układając je w popiele wczorajszego ogniska, skoro zaś usłyszał kroki syna przerwał swe zajęcie, podnosząc ku niemu twarz spokojną i czułą.

— Czy nie jesteś głodny, Pietrku? — spytał.

Pietrek zaś klękając obok wiedział, że Donald przemawia nie do dorosłego człowieka, tylko do dziecka.

Rozpalili ogień wspólnie.

Rozdział XXI

SYN DONALDA MAC RAEGO

Pietrek wraz z ojcem spędzili pełnych dziewięć dni ukryci na samotnej wysepce. Ku końcowi tego pobytu rany Donalda uległy zablźnieniu i siły wróciły mu całkowicie. Nabrał nawet ciała, chodząc zaś trzymał ramiona wyprostowane. Obrzęk powiek znikł i same oczy były czyste, lecz wzrok doznał tak znacznego upośledzenia, że ściana skalna oddalona o sto jardów zdawała mu się mętną jakąś przeszkodą.

Pietrek nie mógł na razie uwierzyć, że wraz z fizyczną poprawą zdrowia nie idzie w parze odrodzenie umysłowe. Wraz z upływem dni bowiem Donald tym bardziej ześrodkował uwagę na czasach dawno minionych, aż wreszcie mogło się zdawać, że człowiek ten istniał jedynie za dziecięcych lat swego synka. Wspólnie odnajdywali zagubione nici, jak gdyby te nigdy nie uległy splątaniu lub zerwaniu, skoro zaś z rzadka pamięć Donalda zatrzymywała się na tragicznych przeżyciach świeższej daty, Pietrek modlił się prawie, by umysł ojca na nowo uległ zaćmieniu. To bowiem, co przerażało go niegdyś, zdawało się być teraz jedynym ratunkiem, ulgą, jaką daje środek znieczulający przy bolesnej operacji.

Wieczorem dziesiątego dnia Pietrek wypłynął ponownie na jezioro. O pięćdziesiąt mil na zachód od tajemnej wysepki wciągnął czółno na ląd i spalił je na brzegu.

Obecnie, gdy właściwa ucieczka na północ już się rozpoczęła, Pietrka przerażało nieraz po prostu zachowanie się ojca. Początkowo bowiem Donald był niesłychanie baczny na każdy szmer w pobliżu, wobec zaś kalectwa ślepoty słuch jego zaostrzył się wyjątkowo. Lecz prześladowało go wyłącznie niebezpieczeństwo sprzed lat, urojony pościg tych ludzi, którzy wygnali go wraz z synkiem z rodzinnego domostwa, każąc szukać schronienia w puszczy.

Trzeciego dnia Pietrek zauważył jeszcze jedną zmianę, tym razem zapewne ostatnią. Donald stał się mniej czujny i obce dźwięki nie przerażały go już wcale. Instykt samozachowawczy przybladł, by zniknąć wreszcie całkowicie. Ku końcowi siódmego dnia włóczęgi została w Donaldzie tylko jedna świadomość, że Pietrek jest małym chłopcem i że się znajduje obok. Fizycznie nie zdradzał żadnego załamania. Upośledzone oczy, jeszcze bardziej teraz słabe, jaśniały niezmaconą pogodą, a na twarzy rozlewała się dziwna dobroć. Pietrek usiłując sam za wszelką cenę zachować spokój, rozumiał, co to znaczy. Ojciec zapomniał o wszystkim prócz obecności syna, był więc szczęśliwy zupełnie.

Zmiana ta, bardziej niż cokolwiek innego, przekonała Pietrka, że o powrocie do osady Pięciu Palców nie ma teraz nawet co marzyć. Zwyczajne obłąkanie, odrzucające wszelki świat realny, zmusiłoby go może do udania się po radę do Szymona lub ojca Albanela, a w konsekwencji do zamknięcia ojca w szpitalu, zamiast w celi więziennej z perspektywą na szubienicę. Lecz to co się właśnie działo z ojcem, przypominało raczej łaskę bożą, niżli całkowite załamanie: rozumu.

W miarę jak dni płynęły za dniami, a jedna chłodna noc zastępowała drugą, okrzepło serce Pietrka i cicha rezygnacja zajęła miejsce poprzedniego cierpienia. Nigdy, ani na chwilę nie zapomniał o istnieniu Mony. Jej wizerunek towarzyszył mu stale: jej głos, dotyk jej warg i muśnięcie ręki. Przechadzała się z nim razem w gęstym mroku boru; spała u boku jego po nocach; równocześnie budzili się rano. Im dłużej trwała rozłąka, tym ciaśniej byli ze sobą zespoleni duchem. Lecz równocześnie powracała namiętna, jak za czasów dziecińczych, miłość do ojca. Ilekroć Donald muskał mu dłonią włosy, Pietrek czuł się przejęty do głębi. Przygasła chwilowo przyjaźń, tłąca

zawsze nikłym ogniem, rozplomieniała się teraz na nowo. Gorzała jasnym płomieniem, jak gdyby nic jej nigdy nie tłumilo. Dom, matka, ojciec, wszystkie radości i marzenia dziecięce wracały powoli budząc się z uspienia, aż Pietrek pojął, że równą niemożliwością byłoby opuścić ojca, jak zapomnieć o istnieniu narzeczonej.

Więziły go te dwie miłości, jedna zrodzona z pożądania, druga z obowiązku. Na razie postanowił przesłać Monie jakąś wiadomość i minęło dobre trzy tygodnie zanim całkowicie poniechał tej myśli. Zrozumiał, że byłoby to aktem wysokiej nierozwagi. Nie obawiał się już wcale Alecka Curry'ego, którego głupotę dostatecznie zmierzył, natomiast na równi z Moną drżał przed Carterem. Śliska, niemila trwoga dręczyła go nieustannie, a z czasem nabrał przekonania, że Carter wkrótce odnajdzie w kniei ich powikłany ślad. Doznawał nieraz głupiego wrażenia, że ta łasica w ludzkim ciele sunie już tropem; usiłował ustalić z góry, co pocznie, gdy się spotkają niespodzianie. Aż się wzdrygał na myśl, co się wtenczas stanie, co nieuchronnie musi się stać. Z Carterem nie wolno się już było bawić ani używać półśrodków.

Wciąż mając się na baczności, zawsze z nabitą fuzją na podorędziu, Pietrek kierował kroki na południo-zachód. Jesień zastała ich w okolicach Thelon. Tu, w obozie Indian z plemienia Psie Żrebro, Pietrek przehandlował zegarek na dwa dziesiątki sideł, koce oraz nowe mokasyny, kupił za resztę gotówki: mąkę, cukier, sól oraz herbatę, po czym objął w posiadanie opuszczoną chatę w okolicy Jeziora Hinde. Przez całą zimę polował przy pomocy wnyków i sideł.

W ciągu tej długiej zimy, ze sto razy bodaj zwalczał gwałtowną chęć posłania Monie wieści o sobie. Bieg miesięcy nie zmniejszył jego ostrożności, toteż zaledwie wczesna wiosna umożliwiła wędrówkę po kniei. Pietrek wyruszył wraz z ojcem w okolice Jeziora Artillery. Całą wiosnę i całe lato spędzili na bezustannej włóczędze, nigdzie dłużej nie zagrzewając miejsca i wciąż po trochu kierując się na południe. W sierpniu kończyli zataczać trzecią część olbrzymiego koliska, by na południe od krainy Athabaska znaleźć się między rzeką Cree i Mac Farlane, w stronach oznaczonych na mapie białą plamą. Tu, pośród borów przepastnych, jarów i mokradeł Pietrek doszedł do przekonania, że są dostatecznie ukryci zarówno przed pościgiem Cartera, jak i przed całym światem w ogóle.

Odetchnąwszy zatem lżej, wziął się do stawiania chaty. Miejsce pod budowę obrał nad czarną, milczącą strugą, z błotnistą łąką od tyłu, stromymi wiszarami w prawo i w lewo oraz niezmierną puszcą przed drzwiami. Najbliższe ludzkie osiedle, o obecności którego Pietrek coś wiedział, było osadą handlową Wielkiej Kompanii Zatoki Hudsona, odległe o dobrych sześćdziesiąt mil leśnego szlaku.

Wraz z każdą nową belką kładzioną na właściwe miejsce, Donald Mac Rae coraz bardziej zespalał się z chatą. Z niepamięci, mało mającej wspólnego ze zwykłym obłędem, wypełzały obecnie wspomnienia ciepłe i świeże, dyszące po prostu życiem. Donald bowiem wznosił na nowo swój stary dom, dom matki Pietrka, kiedy księżyc zazierał przez okno w noc urodzenia syna, dom pełen obecności ukochanej kobiety. Niebawem mogło się zdawać, że Donald sam obierał miejsce oraz zapoczątkował budowę, skoro zaś wiązanie pokryto dachem, Pietrek doznał dziwnego wrażenia, że niewidzialny duch, kojący niby modlitwa, zamieszkał wraz z nimi w tych ścianach.

Ponownie nadeszła jesień w przepychu barw. Cedry, sosny i jodły przybrały na siebie głębszą zielen. Co rano wschód słońca wyczarowywał na brzożach i topolach powiewne płaszcze ze złota i szkarłatu. Nocami dokuczał już chłód, lecz dnie były ciepłe, o powietrzu dziwnie rzeźwym i czystym. Donald twierdził, jak za dawnych, dobrych czasów, że Bóg częściej spogląda teraz na ziemię. Pietrek skłaniał się do tego przypuszczenia. Pogodna ufność zajęła miejsce rozpaczy. Oto wysłuchane zostały modlitwy Mony, mówione wspólnie z taką ufnością, w ciągu tylu lat, gdy prosili o powrót ojca,

marząc o spokojnym życiu we trójkę kędyś w umiłowanej głuszy leśnej. Jest teraz ojciec, jest puszcza i cisza wokoło, brak jedynie Mony.

Wraz z pierwszym śniegiem spadł na Pietrka *dreszcz* niepokoju. Czy teraz Mona mogłaby tu przybyć bezpiecznie? Nieraz nabierał w tym względzie pewności tak niezachwianej, że już prawie ruszał w drogę. Lecz ostrożność nie opuszczała go nigdy, toteż zawsze powściągał w porę niewczesny zapał. Szesnaście minionych miesięcy zdawało się Pietrkowi wiecznością, ale przezornie mówił sam sobie, że nie należy się śpieszyć.

Będzie czekał do wiosny. Do tej pory Carter zjawi się z pewnością, o ile całkowicie nie zgubił śladu. Jeśli jednak policjant nie da znać o sobie, Pietrek ruszy wiosną do osady Pięciu Palców, by sprowadzić Monę. Ani chwili nie wątpił, że dziewczyna nań *czeka*, że zechce mu towarzyszyć, toteż pogodnie śnił o wspólnej przyszłości, zmaconej jedynie z rzadka falą złych przeczuć. Dwa lata prawie to olbrzymi szmat czasu. Kto wie, co tam w domu zaszło w ciągu tych dwóch lat?

Na początku lutego Pietrek wyładował futrami lekkie sanki i wprzągłszy dwa indiańskie psy udał się do pobliskiej faktorii. Nie po raz pierwszy Donald miał zostać w domu zupełnie sam, lecz Pietrek nie obawiał się o ojca, tak dalece stary człowiek zespolił się z nową sadybą. Jedynie chyba własna zdecydowana wola lub obca przemoc mogły go stąd ruszyć. Nieobecność Pietrka miała potrwać pięć do sześciu dni zależnie od warunków podróży.

Było bardzo zimno. Drzewa pękały od dokuczliwego mrozu, a śnieg chrzęścił pod stopami. Długi czas po odejściu Pietrka Donald nieruchomo tkwił w progu, niewidzącymi oczyma wpatrzony w szlak, na którym znikł jego mały synek.

Coś, z czego Pietrek zupełnie nie zdawał sobie sprawy, poczynało się dziać w umyśle Donalda. Zbudziło się to już nocą, dokuczliwe i uparte, teraz zaś, w ciszy i samotności rozrastało się tym bardziej. Nawet chata przybrała jak gdyby inny wyraz. Mimo że słońce błyszczało na jasnym błękitnie niebios, na domu leżał cień, wszedłszy zaś przez uchylone drzwi Donald nie doznał wcale zwykłej radości.

Rysy starego również uległy zmianie. Był podenerwowany i niespokojny. Raził go każdy dźwięk. W mroku wieczora nie zapalił nawet świecy, lecz cicho siedział sobie w kącie wlepiając w mroczną przestrzeń na pół ślepe oczy. Nie kładł się też wcale przez całą noc.

Nazajutrz słońca zabrakło, niebo było zasnuwane chmurami, powietrze zaś tak duszne, że trudno było nim oddychać. Tajemnicze cienie pełzały wkoło, i nieraz Donald, przyczajony, daremnie usiłował je pochwycić rękoma. W miarę jak godziny mijały, rozsądek Donalda załamywał się zupełnie. Ustawicznie szeptał imię Pietrka. Potem zerwała się zamieć. Huragan rozpętał się po południu i do wieczora śnieżycą z wichrem szalała na dobre.

W mroku chata trzęsła się od ciosów wichury, zawodziło coś w kominie, a drobiny śniegu trzaskały po oknach niby śrut. Ludzie leśni mieli długo pamiętać tę kurzawę, ze względu na jej wyjątkową srogość oraz liczne wywołane przez nią tragedie. Donald począł przeżywać od razu swój dramat. Miał wrażenie, że wszelkie zło, przed którym uciekał w ciągu tylu lat, dopadło go wreszcie, osaczyło w chacie, a teraz usiłuje wyłamać drzwi i okna byle tylko wtargnąć do wnętrza.

Stary rozniecił ogień, aż z głośnym trzaskiem począł buzować w kominie i zapalił kilka świec. Chata rozbłysła światłem, jak gdyby ją płomień trawił od wewnątrz. Wtem, gwałtownie niby piorun dotarło coś do jego świadomości.

Był to głos, głos krzyczący za oknem, wrzeszczący ponad gontami dachu, zawodzący to mocniej to znów ciszej zależnie od porywów wiatru. — Pietrek! Pietrek, Pietrek! — huczała wichura. Imię to powtarzało się raz po raz, setki, tysiące razy, z odcieniem żalu, lęku, to znów zjadliwego szyderstwa.

Donald krzyknął także. Nie, nie bał się już wcale, jakżeby mógł bać się czegokolwiek w świecie,

skoro jest synowi potrzebny. Bez czapki, bez futrzanej kurty nawet odrzucił gwałtownym ruchem brzożową zaporę u drzwi i wypadł na zewnątrz.

— Pietrku! — wołał — Pietrku! Pietrku!

Donald był już tylko pochłonięty jedyną myślą. Zamięć porwała mu syna. Boryka się z nim, morduje go, złe duchy zaś polatujące z wichrem przysły się naigrawać z ojca. Ostryimi pazurami orały mu teraz szyderczo twarz i piersi. Śnieg kłuł go w oczy niby rozpalone igiełki. Z trudem tylko chwycił ustami powietrze. W ciemności, pośród kurzawy, posuwał się naprzód wołając. Huragan rwał słowa na strzępy i tłumiał głos. Demony lepiły twarde kule śnieżne miotając nimi celnie. Słyszał, jak skaczą wkoło, jak oddychają ze świstem. Umykały mu wszakże spod ręki, gdy usiłował ich dosięgnąć. Miast zatem walczyć daremnie z nieuchwytnym wrogiem, z całej mocy wzywał Pietrka, obiecując, że już nadchodzi, że jest blisko, że chłopak nie powinien tracić odwagi.

Nie wątpił przy tym ani chwili, że Pietrek znajduje się w pobliżu chaty, że zawrócił w pół drogi i usiłuje trafić z powrotem pod dach. Był o tym przekonany równie silnie jak i o tym, że złe moce poruszyły ziemię i piekło byle nie dopuścić do połączenia ojca z synem.

Głowę miał obnażoną, wełniana koszula zaś rozpięta mu się u szyi, lecz wcale nie zdawał sobie sprawy ze straszliwego chłodu towarzyszącemu zamieci. Na oślep stopami wymacał pośród drzew, szlak wydeptany niegdyś przez Pietrka, kroczył nim więc wyciągając ku przodowi gołe ręce, brnąc po kolana w zaspach. Krzewy i krzaki czepiały mu się nóg, gałęzie zaś mijanych drzew chwyciły go za skąpą *odzież*, *lecz* Donald nie wiedział o niczym.

Wydało mu się wreszcie, że słyszy odpowiedź na swe wołanie, lecz wiatr zawył właśnie silniej, a śnieg tak gwałtownie uderzył mu w twarz, że zupełnie nie potrafił zdać sobie sprawy, skąd mianowicie płynie upragniony głos. Wtenczas postanowił przechytrzyć zawieję. Upadł w śniegu pod jodłą i przeleżał spokojnie póty, aż nastąpiła względna cisza. Korzystając z niej krzyknął ponownie, tak donośnie jak tylko mógł.

Odpowiedziało mu słabe wołanie, na kształt echa. To mu pozwoliło ustalić kierunek. Pośpieszył więc na nowo przez zamieć i zasy, trafiając nad wąski, kamienisty parów o sto kroków od wydeptanej drogi. Co prędzej spuścił się w dół, by w panujących na dnie ciemnościach *znaleźć* nareszcie to, czego do tej pory daremnie szukał. Upadł teraz na kolana tuż przy skulonej postaci ludzkiej, bezwładnie leżącej w śniegu, i raz po raz, rozpaczliwie powtarzał imię Pietrka.

W pół godziny później Donald Mac Rae wrócił znów na polanę, chwiejąc się i potykając pod nadmiernym ciężarem. Kopniśniczem otwarł drzwi, po czym dwa na wpół bezwładne ciała z trzaskiem zwały się na podłogę. Pełzając na czworakach Donald zawrócił, by zamknąć drzwi przed zamiecią. Potem przyczołgał się do młodego człowieka, którego szeroko rozwarte oczy przyglądały mu się półprzytomnie z bladej, dziwnie wykrzywionej twarzy. Obejmując go czule, Donald przycisnął głowę jego do swej piersi.

— Lepiej ci już, prawda, synku? — pocieszał złamanym, starczym głosem. — Już ci lepiej, kochany?

Usiłował się roześmiać, zgrabiałymi palcami zmiatając śnieg z włosów tamtego.

— Jesteśmy już w domu, Pietrku, ciepło tu i spokojnie. Poczekaj chwilę, zaraz przyrządzę coś do zjedzenia...

Przyczołgał się do pieca, gaworząc z radości niby małe dziecko i uchylił żelazne drzwiczki, by podrzucić opału. Płomienie oświełiły jego twarz, bladą i bezkrwistą od chłodu, mokrą od śniegu, który począł już tajać na skórze ściekając drobnymi strużkami na szyję i na gołą pierś. Włosy lśniły mu bielą, bardziej bodaj niepokalaną niż przed paru godzinami. Oddychał z trudem, chrapliwie i rżęząco. Był to ochłap ludzki, na pół żywy, na pół przytomny, lecz mimo to, gdy odwrócił się od

pieca, promieniał szczęściem i uśmiechem. Niech tam sobie zamieć szaleje na zewnątrz, niech wichur wieje ile mocy, niech złe duchy ciemności udławiają się własnym gniewem! On już o to nie dba wcale. On uratował swego chłopca!

Uniósł się na nogi, lecz nie zdolny stąpić kroku stał z wyciągniętymi ramionami, daremnie usiłując co przemówić. Potem zachwiał się i upadł na pobliskie posłanie.

Człowiek na podłodze uniósł się na łokciu. Dłonią w grubej rękawicy sięgnął do szyi, jak gdyby chcąc się uwolnić od czyjś dławiącego chwytu. On również nie miał w twarzy ani kropli krwi. Była to twarz szczupła i bardzo blada, wymizerowana mrozem i trudem ponad siły. Niewątpliwie musiał z bliska zajrzeć w oczy śmierci, gdyż na żrenicach leżał mu jeszcze cień konania.

Zdjawszy rękawice, powłókł się z wielkim trudem po podłodze w stronę leżącego na łożku Donalda. Dotarłszy do tapczana uniósł się, chwytając rękami pościeli, po czym troskliwie objął ramionami bezwładne ciało człowieka, który go wydarł śmierci.

Donald wyczuł bliskość żywej istoty. Unosząc rękę pogładził tamtego po twarzy.

— To ty, Pietrku? — spytał.

— Tak, to ja.

Donald uśmiechnął się zsiniałymi wargami.

— Nie schwytali nas jednak, chłopcze, co? Jakoś się im wymknęliśmy!

— Tak.

— Ciepło ci teraz, synku? Wygodnie?

Mężczyzna schylił głowę, nisko, pokornie, aż prawie dotknął czołem piersi Donalda. To nie była głowa Pietrka. To nie głos Pietrka dawał staremu odpowiedź. Lecz Donald westchnął głęboko z ukontentowania, znalazłszy tuż obok swojej dłoń, o której sądził, iż należy od jego syna.

Długi czas żaden z nich nie przemówił ani słowa, gdy tymczasem w pobliżu ogień trzaskał wesoło w żelaznym piecyku, świece zaś pryskały tłuszczem, jak gdyby drwiąc z bezsilnej wściekłości szalejącej na zewnątrz zawieruchy.

Pełne trzy doby srożyła się zamieć ponad krainą Athabaski, przy czym żadna żywa istota nie mogła w tym czasie opuścić swej kryjówki, jak również nikt nie zdołałby wytrzymać straszliwego mrozu, jaki ścisnął ziemię w ślad za śnieżycą.

Dopiero piętnastego marca zatem, dwanaście dni dokładnie po opuszczeniu chaty, Pietrek Mac Rae minął Pipestone wracając do starego ojca.

Szalał z niepokoju, mając głowę nabitą tragicznymi możliwościami, kombinując, co mogło się przytrafić niedołężnemu starcowi podczas tak długiej nieobecności. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny nie pozwolił sobie nawet na krótką drzemkę.

W samo południe znalazł się na wyniosłym wzgórzu, ze szczytu którego mógł rzucić okiem w dół i dostrzec chatę oddaloną jeszcze o dobrą milę. Po raz pierwszy od wielu dni odetchnął swobodnie, widząc siwą spiralę dymu bijącą wysoko w jasne powietrze.

Roześmiał się uszczęśliwiony, skręcając na szlak wiodący nad strugą w pobliże ich domostwa. Zamierzał przystanąć tu na krótko, napić się wody, a potem wezwać ojca znajomym ich okrzykiem. Już sobie wyobrażał, jak ojciec będzie biegł mu na spotkanie w jasnym, słonecznym świetle.

Ledwie jednak minął ostatni zakręt ścieżki, zatrzymał się jak wryty. Nad strugą znajdowała się ludzka postać. Człowiek był oddalony zaledwie o sto jardów, toteż widział go wyraźnie, jak się prostuje wolno, podnosząc z ziemi wiadro wody. Pietrek przewiesił karabin przez plecy, osłaniając usta rękami złożonymi w kształcie tuby. To się dopiero ojciec ucieszy i zdziwi!

Lecz zamierzony okrzyk zamarł mu w gardle. Ten człowiek wcale nie był jego ojcem. Wysoki, chudy, zakapturzony, podpierając się kijem, szedł Pietrkowi naprzeciw. Posuwał się wolno, z

widocznym trudem, kulejąc za każdym krokiem. Głowę miał zgiętą i dopiero gdy się zbliżył o parę metrów, podniósł ją nieco ukazując twarz. Wtenczas Pietrek wrzasnął dziko, błyskawicznie kierując lufę fuzji w pierś człowieka.

— Carter!

Policjant uśmiechnął się blado i unosząc rękę zsunął kaptur z czoła.

— Nie nazywam się już Carter! — rzekł. — Od dwunastu dni byłem Pietrkiem Mac Raem, synem starego Donalda.

Wobec zmienionej jego twarzy i zapadłych oczu, Pietrka przeszył dreszcz.

Carter zatrzymał się, mając lufę fuzji wspartą o żołądek. Nie usiłował wcale usunąć jej na bok, lecz tkwił bez ruchu spokojnie patrząc w oczy Pietrka.

— To się właśnie przytrafiło przed dwunastu dniami — mówił. — Byłem na waszym tropie, gdy poślizgnąłem się pośród skał i o mało nie złamałem nogi. Złapała mnie śnieżyca i zamarzałem już prawie, lecz ojciec twój wyszedł w zawieję, wołając cię po imieniu, a ja mu odpowiedziałem. Zaniósł mnie do chaty, gdzie mieszkam od tej pory. Od początku był przekonany, że ocalił własnego syna.

Dopiero teraz zrozumiałem wszystko, Pietrku. Dopiero dzisiaj wiem, jak wielki popełniłem błąd. Zasłużyłem sobie na śmierć z twojej ręki. Byłbym rad, gdybyś zechciał pocisnąć cyngiel. Pietrek zniżył lufę ku ziemi.

— Chyba go nie skrzywdziłeś?

— Ja, jego!?

Carter z wolna obrócił się w stronę chaty, mając oczy pełne tępego cierpienia.

— Nie, nie skrzywdziłem już więcej tego człowieka. Od dwunastu dni nie uczyniłem mu nic złego. Jeden Bóg tylko wie, z jaką dobrocią i tkliwością odnosił się do mnie przekonany, że pielęgnuje ciebie. Gdybym mógł własną śmiercią okupić jego cierpienia, z radością odebrałbym" sobie życie. A gdybym się znajdował na twoim miejscu, Pietrku, strzeliłbym bez wahania!

Lecz Pietrek wyminął go bez słowa i skoczył naprzód. Carter krzyknął w ślad za biegnącym, jak gdyby przyzywał go z powrotem. Pietrek nie słuchał, nie zdołał także dojrzeć wyrazu przerażenia w oczach policjanta. U drzwi chaty zrzucił z ramion plecak, cisnął obok fuzję i wszedł. Nie dbał już o Cartera. Coś bardziej groźnego niż prawo, coś z czym jeszcze trudniej jest walczyć, czaiło się w pobliżu.

Carter dążył również ku chacie utykając na każdym kroku. Znalazłszy się w pobliżu zdjął czapkę i wtenczas dopiero wszedł do wnętrza.

Pietrek klęczał obok łóżka, w którym spoczywał Donald. Głowę oparł na piersi ojca, tuląc sztywne ciało w uścisku ramion.

Bardzo blady, Carter ukląkł także obok, kładąc obie dłonie na ramionach Pietrka.

— Dotychczas nigdy nie wierzyłem w istnienie Boga! — zaczął chrapliwie. — Uwierzyłem dopiero przed dwunastu dniami, gdy Bóg sprowadził mnie do tej chaty. W ciągu dwunastu dni, Pietrku, twój ojciec był moim ojcem. Pokochałem go i mam głęboką pewność, że gdyby Donald Mac Rae odzyskał choć na chwilę przytomność, przebaczyłby z całego serca człowiekowi, który pośrednio spowodował jego śmierć. Jeśli za sprawą Najwyższego ty, Pietrku, zdołasz przebaczyć mi również i pozwolisz mi być może zostać nadal jego synem, a twoim bratem...

Dłonią odszukał palce Pietrka i uściśnął je silne. Drugą ręką sięgnął do bladej i nieruchomej twarzy spoczywającej na poduszce.

— W imię Boże — szepnął — powiedz, że mi przebaczasz?... W odpowiedzi Pietrek milcząco zwrócił mu uścisk. Wtenczas

Carter, do niedawna zaciekły łowca ludzi, zapłakał. Po dłuższej chwili milczenia rzekł:

— To z racji straszliwego chłodu owej nocy, gdy szukał ciebie, Pietrku. Padło mu na płuca. Wczoraj rano jeszcze miałem cień nadziei. Potem przyszło błyskawiczne pogorszenie. Skonał dziś rano, Pietrku, w twoich ramionach, szepcząc imię twoje i Mony.

W ogromnej ciszy dwaj mężczyźni długo klęczeli nad trupem.

Rozdział XXII

REZYGNACJA

W ciągu długich dni i tygodni, które nastąpiły po śmierci starego Donalda, Pietrek obserwując stale Cartera nie mógł wyjść z podziwu, że dorosły człowiek może się tak radykalnie zmienić. Było to coś graniczące z cudem. Carter nie znający litości, łasica ludzka, w której w ciągu długoletniej służby nigdy nie przemówiły sumienie lub współczucie, znikł bez śladu, zrodził się natomiast człowiek zupełnie nowy.

Przez długie lata Pietrek myślał o Carterze jako o kimś nieczułym i mściwym. Zajadły ten służbista nie znał miłosierdzia. Kobiety, miłość, okoliczności łagodzące, nawet macierzyństwo, nic nie powstrzymało jego karzącej dłoni, skoro raz został wysłany w pościg. Zniszczył niejedno życie. Pogrążył w rozpacz niezliczonych ludzi. Dopiero teraz spojrzął na dobrze znajome sprawy z innego punktu widzenia.

Zrozumiał, że służąc prawu, hołdował równocześnie własnym, krwiożerczym instynktom. Że w gorliwości przesadził. Znienawidził sam siebie i sam siebie nazwał potworem. Wyjrzały ku niemu z moglił cienie ludzi zaszczytanych na śmierć, prześladowając go swą obecnością. Modlił się gorąco, by Pietrek przynajmniej zechciał darować mu swą przyjaźń.

— To ja zamordowałem twego ojca! — wyznał mu kiedyś szczerze. — Tropiłem go póty, aż postradał rozum. Mimo to los sprawił, że u schyłku życia nazwał mnie synem, a ja mu się odwdzięczyłem synowską miłością. Gdybym tylko przejrzał wcześniej. Lecz byłem głuchy i ślepy. Teraz życie moje należy do ciebie. Oddaję ci je chętnie w zamian za swój wielki błąd.

Zanim minęła posępna zima, Pietrek pojął, że nie potrafi nienawidzić Cartera. Mało tego, z wolna i niepostrzeżenie polubił człowieka, który, chociaż przyprawił ojca jego o śmierć, później pielęgnował swą ofiarę w ostatnich chwilach życia. Zdał sobie wreszcie sprawę, że nie tyle sam Carter ponosi winę tragicznych zdarzeń, co surowe i bezlitosne ustawodawstwo.

Pod koniec kwietnia postanowili obaj wracać do domu.

Poza plecami mieli teraz sześćset milową przestrzeń głuszy, znad rzek Pipestone oraz Mac Farlane, gdzie się rozegrały ostatnie fazy pościgu i gdzie przypadł finał tragedii.

Przed nimi stało się czterysta mil puszczy, bodaj jeszcze dzikszej, poza którą dopiero leżała osada Pięciu Palców.

Tej nocy, skoro zasiedli przy żółtym świetle brzoźowego ogniska, Carter wyrysował w popiele prymitywną mapę. Postępna głąb bezksiężycowego mroku zwieszała się w tyle jak kurtyna i na tym tle szczupła, do sępiego profilu podobna twarz policjanta, odbijała się tak wyraźnie, że Pietrek dostrzegł każde jej najlżejsze drgnienie.

— Tydzień do Jackson's Knee, tydzień do jeziora St. Joe, dwa tygodnie do High Land's i już zobaczysz osadę Pięciu Palców — mówił Carter. — Jakże się tam wszyscy uradują z twego powrotu! A Mona...

Uczył ramionami ruch lekceważący, bagatelizując niejako własne wzruszenie, lecz gdy wspomniał imię narzeczonej Pietrka, głos mu się załamał. Skończył teraz szybko z udaną wesołością.

— Czyż człowiek może nie być szczęśliwy, gdy u kresu drogi czeka na niego taka dziewczyna?

— Nieobecność moja trwała dwa lata! — zauważył Pietrek, którego myśl ta nie opuszczała od pewnego czasu ani na chwilę. Nieraz ogarnia mnie strach, ile mogło zajść ważkich zmian od owej nocy, gdy wraz z Alekiem Currym omal nie schwytaliście nad jeziorem mnie i ojca.

Carter jak gdyby wcale nie dosłyszał tych słów. Uparcie spoglądał w szkarłatne jeszcze, chociaż już gasnące zarzewie ogniska.

— Twoja matka była prawdziwym aniołem! — powiedział tak niespodzianie, że słowa jego wywarły na Pietrku wrażenie gwałtownego wstrząsu. — W ciągu ostatnich paru dni przed śmiercią, ojciec twój wciąż o niej mówił. Wspominał ją po prostu w ten sposób, jak gdyby żyła, i jak gdyby się niebawem miał z nią spotkać.

— Nie żyje od dwudziestu lat.

— Wiem. Umarła, lecz mimo to istnieje. Trudno mi wprost uwierzyć, że zaszczułem Donalda na śmierć za to jedynie, że uczynił rzecz, którą ja, będąc na jego miejscu zrobiłbym z pewnością także. Zabił w obronie honoru i czci własnej żony. Krótko mówiąc wymierzył sprawiedliwość. Nie pamiętam wcale swojej matki, Pietrku. Lecz twoją matkę poznałem ze słów Donalda tak dobrze, tak wyraźnie... Nie mogę nazwać stanu Donalda szaleństwem. To był raczej...

— Powrót do minionych dni. Carter twierdząco pochylił głowę.

— Właśnie, powrót do minionych dni, z całkowitym pominięciem chwili dzisiejszej. Dawne sprawy odżyły tak wyraźnie, tak jaskrawo. Roztaczał je przede mną niby na obrazku, a jeden z tych obrazków zbudził we mnie chęć mordy. Mała chatka na leśnej polanie przed dwudziestu z górą laty, matka twoja, ty na jej ręku... Donald Mac Rae wraca do domu i mści się na podłej gadzinie, która wyzyskała nieobecność męża, by znieważyć mu żonę. I czy wiesz, kogo pragnąłbym zabić, co za bestię w ludzkim ciele? Znasz tego człowieka, to Aleck Curry!

Pietrek milczał.

— Mogę naprawić częściowo to, com zepsuł! — ciągnął dalej Carter. Ścigałem twego ojca, aż postradał rozum, to się oczywiście odwrócić nie da. Minęło i skończyło się. Natomiast potrafię chyba okazać pomoc tobie i Monie Guyon. Pomiędzy tobą a nią, pomiędzy waszym wspólnym szczęciem stoi jeden tylko człowiek, podły, przebiegły, jadowity gad, który czeka dogodnej chwili, by ugryźć...

— Masz oczywiście na myśli Alecka?

— Tak, Alecka Curry'ego.

Carter wstał, przy czym na tle ognia zarysowała się wyraźnie wysoka jego, szczupła i giętka sylwetka, o sprężystych ruchach kota. Surowe usta miał silnie zacięte i uparcie spozierał w mrok. Powiedział drwiąco z wyraźną goryczą.

— Jeśli ja mówię o kimś, że brak mu sumienia, słowa te brzmią doprawdy humorystycznie. Sam w ciągu tylu lat wykazałem brak sumienia i brak serca, lecz nigdy nie miałem podobnych zamysłów w stosunku do kobiety, jak je ma Aleck Curry w stosunku do Mony Guyon. Sprzedałby duszę własną, gdyby ją oczywiście miał, byle tę dziewczynę posiadać. Zgodziłby się bodaj zapewnić ci bezkarność, w zamian za parę godzin rozkoszy z twoją narzeczoną. Tymczasem ty wracasz właśnie do domu, jako człowiek wyjęty spod prawa.

— Sądysz zatem, że Aleck Curry będzie mnie miał w ręku, skoro wrócę?

— Właśnie.

— I że spróbuje zawrzeć ze mną transakcję? Kupić...

Urwał w pół zdania; lecz wstał również i wyprostowany patrzył w oczy Cartera.

— Dlatego opóźniam drogę powrotną w miarę możliwości. Wuj Alecka Curry'ego zyskał ostatnio wielkie wpływy polityczne, Aleck zaś przed rokiem został mianowany kapralem. Ręczę, że nie zdradził dotychczas władzom, jaką rolę odegrałeś przed dwoma laty w sprawie ucieczki Donalda Mac Raego. Zbyt silny atut trzyma w ręku, by go chciał lekkomyślnie marnować. Napadłeś go przecie, omal nie zabiłeś i wyswobodziłeś ojca. Więziłeś policjanta na wyspie! Wreszcie strzelałeś

do nas, do niego i do mnie, gdy ruszyliśmy w pościg. Wszystko to oznacza pięć do piętnastu lat więzienia i Aleck doskonale o tym wie. Fakt, że ojciec twój był wówczas niemal zupełnie ślepy i niespełna zmysłów, nie będzie stanowił okoliczności łagodzących. Prawo jest prawem, szczególnie w Kanadzie. Nasz sąd oraz nasi sędziowie trzymają się ściśle litery kodeksu karnego i zwykłe ludzkie wzruszenie nie ma do nich dostępu. Ta niewzruszoność prawa, ten jego sztywny zasięg są właśnie powodem, że Aleck Curry ma ciebie w rękę. W porównaniu z tą *groźbą*, niczym były trudy i niebezpieczeństwa poniesione przez ciebie i twego ojca w podróży na północ...

Jeśli chodzi o Alecka, grają rolę dwa dominujące czynniki: nienawiść względem ciebie oraz żądza w stosunku do Mony. Tej nocy gdy uciekliście z ojcem z osady i gdy was omal nie schwytaliśmy na jeziorze, Aleck obiecał mi całkiem serio tysiąc dolarów gotówką oraz wpływy swego wuja dla otrzymania awansu, byłem mu tylko odstępiał na własność obu więźniów. Dla kawału zgodziłem się pozornie. Lecz nad ranem podziurawiłeś nam łódź kulami i umknąłeś. Teraz masz, Pietrku, całą prawdę. Jeżeli wrócisz do osady, nie ma dla ciebie ratunku. Aleck Curry zaraz cię dopadnie, zażąda, by Mona wyszła za niego za męża lub, kto wie, może się nawet bez ślubu obejść, jeśli dziewczyna odmówi...

— Będzie mogła odwiedzić mnie czasem w więzieniu — zauważył Pietrek.

W przeciwieństwie do Cartera był najzupełniej spokojny. Mówiąc, nie podnosił nawet głosu, ręce zaś, poprzednio zwinięte w pięści, rozluźniły mu się i opadły. Carter gapił się nań długą chwilę w milczeniu, jak gdyby nie dowierzając temu, co słyszał.

— Mówisz serio?

— Najzupełniej. Aleck Curry nie ma nade mną władzy, która by mogła w najmniejszym chociaż stopniu wpłynąć na jego stosunek do Mony. Jeśli zaciągnąłem dług, to go spłacę. Ani ja, ani Mona nie posiadamy niczego, co chcielibyśmy sprzedać, Aleck Curry zaś nie ma także niczego, co zamierzalibyśmy kupić.

Carter odetchnął głęboko.

— Ha, cóż, jeśli się w ten sposób na to zapatrujesz?

— Nie widzę w ogóle innego sposobu.

— Ale przecież Aleck Curry i ja jesteśmy jedynymi ludźmi na ziemi, którzy mogą przeciw tobie świadczyć! W zamian za krzywdę, którą ci zrobiłem, będzie doprawdy znikomą zapłatą, jeśli w danym wypadku zamilczę o wszystkim. Możesz mi wierzyć, że najsrozsze nawet męki nie wydobyłyby ode mnie jednego słowa! Teraz, bylebyśmy tylko potrafili zmusić Alecka Curry'ego do milczenia... Zakneblować mu usta, bo ja wiem, nastraszyć go...

— Nie da rady! — przerwał Pietrek. — Aleck znenawidził mnie od dnia, gdy jako chłopcy walczyliśmy z powodu Mony. Byłby zatem tylko jeden sposób: zamordować Alecka, tego zaś z pewnością nie uczynię. Zabiłbym człowieka wtenczas tylko, gdyby szło o życie ojca. Zabiłbym nie tylko Alecka, lecz nawet ciebie, Carter. Dla ojca — tak, dla siebie — nie.

Carter wyciągnął rękę i mocno uściśnął dłoń Pietrka, lecz równocześnie odwrócił głowę w inną stronę.

— Ogromnie jesteś podobny do twego ojca — rzekł. Z każdym dniem widzę to wyraźniej. Idę już spać. Dobranoc.

Przez ostrożność i ze względu na wieloletnie przyzwyczajenie, Carter rozkładał zawsze swoje dery poza kręgiem światła. Uczynił to i teraz, niknąc w ciemności, po czym Pietrek usłyszał w mroku zwykły szelest i chrzęst.

Lecz Carter nie zamierzał spać. Od wielu dni już tworzył pewne projekty, przy czym dziś omal się ze swoim planem nie zdradził. Obserwował teraz Pietrka siedzącego przy ogniu, zgarbione plecy

oraz bladą, zapadniętą twarz człowieka, którego tak długo i tak zajadle ścigał. Wzruszenie ścisnęło go za gardło, aż po prostu oddychał z trudem. Jak dotąd nigdy nie kochał kobiety i nigdy, dla żadnego mężczyzny nie czuł żywszej przyjaźni, lecz obecnie z Pietrkiem wiązało go coś więcej niż zwykła sympatia. Była to miłość mężczyzny do mężczyzny, uczucie silne i prawdziwe.

W całym swym życiu surowym i chłodnym Carter nie zaznał chwili bardziej wzniosłej. Nie mogło się z tym równać ani w przybliżeniu uczucie triumfu, jakie ogarniało go na przykład przy schwytaniu jakiegoś złoczyńcy. Gdy tak leżał obserwując Pietrka, rozmyślając nad dalszymi losami jego i Mony, uśmiechnął się naraz posępnie i bez cienia dobrego humoru, zwykłym swoim grymasem, który dawniej odstręczał od niego ludzi budząc powszechną niechęć.

Po czym szepnął sam do siebie, ledwo poruszając wargami.

— Tak mi się coś zdaje, Pietrku, że nie masz się czego gryźć! Mam coś takie wrażenie, że zarówno Aleck Curry jak i prawo będą się musieli obejść smakiem. W każdym razie niewątpliwie przyłożę do tego odpowiednich starań.

Co ustaliwszy łatwiej mu już było usnąć.

Pietrek długo jeszcze siedział przy ogniu.

Brzozowe polana płonęły rozsypując się na czerwone i czarne węgle, w miarę zaś jak cienie gęstniały wokół obozu, chłopak czuł się coraz bardziej opuszczony i samotny. Dotrzymywały mu towarzystwa jedynie rozliczne wizje wytworzone w gasnącym zarzewiu. Z jasnością niesamowitą, aż bolesną w swej dokładności, powracały obrazy lat minionych, dzieciństwo, młodość, ojciec uwielbiany i tak zawsze bliski, marzenia i sny, z których dzisiaj nie zostało nic prócz popiołu. Ze spokojem i odwagą zrodzonymi z nadmiernego cierpienia, gotów był na przyjęcie wszystkiego, cokolwiek go w dalszym życiu czeka. Walka, w znaczeniu fizycznego zmagania, dobiegła już końca, więc nareszcie mógł wrócić do domu. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości i nawet instynkt samozachowawczy nie mógł tutaj nic zmienić. Co go czeka po powrocie do osady Pięciu Palców, o tym niech już los decyduje.

Miał w obecnej chwili wrażenie, że Mona znajduje się tuż obok niego i że wyraża protest gwałtowny. Walcząc w obronie ojca stał się przecież wyrzutkiem społeczeństwa. Świat jest szeroki i wielki, posiada niezliczoną masę kryjówek. Czyż nie lepiej skryć się gdziekolwiek, narzeczona zaś będzie mu towarzyszyć.

Pietrek położył się wreszcie spać z twarzą zmienioną cierpieniem, rankiem zaś Carter chłodny i rozważny zaczął dyskutować na ten sam temat.

— Mogłeś się chyba przekonać — mówił — jak olbrzymie Są lasy. Wędruj na północ, nad Yukon lub na Alaskę. Dopilnuję już, aby Mona trafiła do ciebie bezpiecznie.

Pietrek pokiwał głową przecząco.

— Przekonałem się również jak to jest, gdy się człowiek kryje wśród błot i chaszcz, mając ukochaną osobę powierzoną swojej pieczy. Takim właśnie byłby los Mony, całe lata udręki, aż do haniebnego końca. A koniec przyjdzie, prędzej czy później. Wolę już spłacić dług prawu i mieć zupełną swobodę — potem.

Była to ostatnia próba, jaką uczynił Carter. Od tej pory spokojnie towarzyszył Pietrkowi w jego powrotnej wędrówce, pozornie, czy też w rzeczywistości całkowicie pogodzony z losem.

W połowie maja znaleźli się w pół drogi między jeziorem St. Joe oraz High's Land, oddaleni od osady Pięciu Palców jeszcze o dobrych sto osiemdziesiąt mil wędrówki.

— Za tydzień będziemy na miejscu — rzekł pewnego dnia Pietrek.

— Chyba że potoki i strugi spęcznieją od roztopów — dodał Carter.

Wiosna miała tego roku czar niezwykły. Powietrze przesyciła słodka woń. Sosny, jodły i cedry

roztaczały zapach żywiczny, krzepiący niby balsam leczniczy. Pękały pąki topoli. Ptaki wracały z wyraju. Na stokach wzgórz, kędy objawiała się silniej operacja słoneczna, śnieg stajał już całkowicie, zieleniała szmaragdowa murawa, te zaś spośród kwiatów, które wykiełkowały pod śniegiem, poczynały nawet kwitnąć. Z ułamanych gałęzi ściekał gęsty sok, a pomiędzy ziemią i niebem, dniem i nocą trwał cichy szept, niby głos budzącego się życia, wezwanie do kojarzenia się w pary, do macierzyństwa, do radosnego szczęścia i beztrioski.

Obaj, Pietrek i Carter, jakkolwiek wyczuwali zmianę w przyrodzie, nie brali bynajmniej udziału w powszechnej radości. Wezbrane strumienie i rzeczki powstrzymały ich w pochodzie, tak iż najpierw zwłoka poczęła się liczyć na godziny, później zaś na całe doby. Carter cieszył się z tego, lecz się z zadowoleniem nie zdradzał. Zmieniał się z dniem każdym coraz bardziej. Twarz jego po dawnemu chłodna, zbrudzona głębokimi liniami, zachowała wyraz surowy, lecz przebijała w niej już pewna miękkość, w oczach zaś przygasło okrucieństwo. W głębi duszy jednakże czuł niejaką obawę na myśl o dniu przybycia do osady Pięciu Palców, obawę, ale nie strach.

Pietrek nie objawiał wcale szarpiącego nim niepokoju, lecz w oczach coś mu czasami mętniało, co Carter tłumaczył sobie po swojemu. Pietrkowi nie szło bynajmniej o osobiste niebezpieczeństwo, gdyż tak się już zżył z przekonaniem, że trzeba uiścić dług wobec prawa, iż przestał się lękać przyszłości.

Bał się natomiast zmian, jakie mogły zajść w osadzie podczas jego dwuletniej prawie nieobecności. W ciągu tak długiego czasu Aleck Curry mógł zdziałać wiele złego. Nie wyobrażał sobie wcale, jakie to zło mogło przyjąć formy, lecz tym bardziej dręczyły go posępne myśli.

W wigilię dnia, gdy mieli się już przeprowiać przez High's Land, Carter w oględnej formie dotknął obaw Pietrka.

— Znajdziesz Monę zdrową i całą, przy tym równie wierną jak przed laty, nim odszedłeś wraz z ojcem. Chyba tylko jeszcze piękniejszą, gdyż z dziewczyny wyrosła tymczasem na prawdziwą kobietę. Nie niepokoję się też o nią ani trochę. Myślę wciąż o innej sprawie.

— Na przykład?

Carter znacząco wzruszył ramionami.

— Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, co by to było za fortunne zdarzenie, gdyby w ciągu tych dwóch lat przytrafiło się co złego Aleckowi Curry'emu. Na przykład śmierć. Ostatecznie przecież śmierć chodzi po ludziach.

Pietrek zerknął na Cartera, chcąc się przekonać, czy policjant czasem nie żartuje. Lecz Carter miał twarz surową, bez cienia uśmiechu.

— Ależ czemu się tak dziwisz? — dowodził. — Aleck, jakkolwiek niewątpliwie spokrewniony z diabłem, ulega przecież różnym ludzkim przypadłościom. Gdyby się tak znalazł pod ziemią, albo gdyby zginął bez wieści, czy też gdyby go usunęła ze służby władza wyższa niż ten zakazany wuj, byłbyś natychmiast wolnym człowiekiem, czyli że w dniu przybycia do osady ojciec Albanel mógłby uderzyć w dzwon weselny. Możliwe, że śniło mi się tylko, ale mam takie wrażenie, że Aleck Curry albo już zeszedł ci z drogi, albo też uczyni to niebawem. Powiedzmy na przykład, że korzystając z twojej nieobecności naprzykrzał się Monie...

— Wątpię. Szymon Mac Quarrie lub też Piotr Gourdon gotowi by go za to zabić!

— Właśnie.

Carter zapalił fajkę nie mówiąc już ani słowa, i nawet oczu nie podniósł na udręczoną twarz Pietrka.

Tę noc spędzili na północnym stoku wzgórza, tworzącego dział wód dla całego kontynentu.

W dwa dni później, pierwszego czerwca, przecięli południowe odgałęzienie kolei żelaznej i

rozbili obóz pomiędzy tą linią kolejową właśnie a Jeziorem Superior.

Carter słał swoją pościel staranniej niż zazwyczaj.

— Ostatnia nasza noc — powiedział. — Jutro powinniśmy minąć przełęcz jeszcze przed zmierzchem i z wieczora, przy księżycu trafimy do osady. Czy bardzo jesteś podniecony?

— Wolałbym wyruszyć natychmiast w dalszą drogę — odparł Pietrek.

Carter uśmiechnął się przyjaźnie. Ostatnimi czasy jego surowa twarz miewała nieraz tego rodzaju przebłyski.

— Dałbym chętnie resztę swego życia — rzekł ściszym głosem — byleby przez parę godzin ktoś czekał na mnie z takim utęsknieniem, z jakim Mona Guyon czeka na ciebie! Czy to nie zabawne, że minęły całe lata, zanim w ogóle pomyślałem o czymś podobnym. Lecz teraz wciąż krążą mi po głowie tego rodzaju tematy. Żałuję też niejednej rzeczy.

— Twierdzisz, że rzucisz służbę w policji, skoro tylko będziesz mógł — zauważył Pietrek spozierając w ciemność rozpostartą pomiędzy nim a domem. — Gdy będziesz już całkowicie wolny, przyjdź do naszej osady. Szymon Mac Quarrie, Piotr Gourdon, ojciec Albanel i w ogóle wszyscy przyjmą cię z otwartymi rękoma. Mona, Antosia, Józia pokochają cię na pewno za twoją prawość i za to również, że koniec końców usiłowałeś nam pomóc. No i kto wie, czy na ostatek nie znajdzie się jakaś miła dziewczyna...

Carter kaszlnął w mroku, zupełnie jak gdyby zakrztusił się usiłując coś przełknąć. Całkowita ciemność nie dozwalała dojrzeć wyrazu jego twarzy.

— Dobranoc, Pietrku — rzekł po chwili.

— Dobranoc — odpowiedział Pietrek.

Rozdział XXIII

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Carter jak zwykle wymościł sobie posłanie w głębokim cieniu, i tam też zdrzemnął się po dłuższej chwili. Niebawem wzeszedł księżyc, lecz nadal spowijał go cień, gdy tymczasem Pietrek spał przy ognisku. Około północy policjant się przebudził. Spojrzawszy na zegarek stwierdził, że minęła właśnie dwunasta. Zasnął więc ponownie, gdy zaś przecknął się po raz wtóry, gęsty mrok zajął miejsce światłości miesięcznej.

Carter wiedział, iż całkowita ciemność poprzedza nadejście świtu, wstał zatem z posłania i wyslizgnął się z obozu dając ostrożnie krok za krokiem, byle w najmniejszym stopniu nie naruszyć panującej ciszy. Po upływie kwadransa pochłonęły go mrok i oddalenie. Wtenczas zatrzymał się przez chwilę. Brzask rozjarzył się ponad szczytami drzew, lecz dopiero gdy spłynął niżej, aż do leśnego poszycia, Carter mógł ujrzeć drogę przed sobą. Spojrzał wtenczas na zegarek, na kompas i ruszył prosto na południe.

Szedł szybko nie obciążony ani plecakiem, ani strzelbą. Brzask z wolna zmieniał się w światło dzienne. Carter myślał, że Pietrek zbudził się już lub też przecknie niebawem. Za godzinę, za dwie najdalej, zda sobie sprawę z decyzji towarzysza. Mając niewątpliwą przewagę czuł mimo to emocję wyścigu, wiedząc równocześnie, że w razie jeśli pozwoli się Pietrkowi dogonić, przegrana będzie podwójna. Od osady Pięciu Palców dzieliła go jeszcze spora przestrzeń, tymczasem Pietrek był dobrym piechurzem i doskonale orientował się w puszczy.

Wysoko na niebie gromadka białych obłoków przybrała odcień różowy. Wstało słońce. Twarz Cartera nosiła znów surową, złowrogą maskę myśliwego, którego zwierzyną bywał niejednokrotnie człowiek. Zawczasu przygotował sobie nieco żywności, więc posilał się teraz idąc. Nie tracił nawet czasu na wyszukiwanie przez strugi dogodnych przejść, po naniesionych prądem kłodach drzewa lub też po zwalonych burzą pniach, lecz brodził na przelaj nurzając się po pierś w wodzie mroźnej od tającego lodu i śniegu. Dopiero koło południa przysiadł na chwilę i spożył resztę zapasów.

Im dalej, tym większa zachodziła w nim zmiana. Z normalnego człowieka przeobrażał się raz jeszcze w żądną krwi łasicę, sunącą po świeżym tropie. Pod wieczór wionął nań chłodny dech jeziora. Nadciągał mrok. O zmierzchu wnurzył się z ostatniej smugi boru i stanął, mając u nóg ciemną toń jeziora pluszczącą o głązy przybrzeżne.

Doznawał obecnie uczucia wielkiego triumfu. To był jednak nie lada wyczyn, poradzić sobie w ten sposób z zasadzkami głuszy i na tak olbrzymiej przestrzeni zboczyć z obranego kierunku zaledwie o jakie sześć mil. Pietrek nie zdoła go w tym względzie pobić, chociaż się w tych stronach wychował.

Gęstniejąca coraz bardziej ciemność znacznie utrudniała teraz drogę, więc w ciągu najbliższych dwóch godzin Carter posuwał się bardzo wolno. Niebo było przedziwnie czyste, lecz skały, głązy i urwiste zbocza dawały nogom niepewne oparcie, liczne gwiazdy zaś rzucały zwodnicze cienie. Wraz z wzejściem księżyca Carter dotarł do wielkiego urwiska, jednolitą stromizną górującego nad stawem. Ze szczytu do tafli wodnej było dwieście stóp. Osada Pięciu Palców leżała stąd zaledwie o pół mili.

Przysiadłszy po raz ostatni, z zagadkowym uśmiechem na wąskich wargach, Carter obserwował okrągły księżyc szybko wschodzący ponad borem. Tak się ten księżyc śpieszył, jak gdyby ogromnie zależało mu na tym, by co prędzej osiągnąć punkt szczytowy na nieboskłonie. Policjant był strasznie

znużony, odzież miał mokrą i poszarpaną. Teraz dopiero, będąc tak blisko celu, zdawał sobie sprawę, przez jak wielkie przeszedł tarapaty. Niewątpliwie Pietrek pozostał daleko w tyle, toteż krótki wypoczynek przed ostatecznym wypełnieniem zadania nie mógł mieć żadnych złych następstw.

Dla pełniejszego wypoczynku Carter przymknął oczy. Sen obezwładniał go raz po raz, lecz ilekroć poczynał się kiwać w drzemce, siłą woli budził się na nowo. Pokusa była jednak tak silna, że pozwolił sobie wreszcie na pięć minut snu, a spał pełnych trzydzieści.

Zbudził go chrzęst toczzonego kamienia, więc od razu wyprostował się czujnie, mrużąc oczy wobec księżycowego blasku. Wtenczas usłyszał zgrzyt podkutych butów na skale. Momentalnie oprzytomniał całkowicie. Ktoś nadchodził od strony osady dążąc wzdłuż krawędzi urwiska.

Carter dostrzegł najpierw cień postaci ludzkiej, niesamowicie wielki przy świetle księżyca i gwiazd. Człowiek rzucający ów cień posuwał się wolno i ciężko. Rozległ się chrapliwy kaszel, po czym sylwetka ludzka wynurzyła się spoza zakrętu.

Dopiero wtenczas Carter wstał. Tamten się zatrzymał. Księżyc śmiał się do nich z góry. Gwiazdy zdawały się błyszczeć jaśniej. Dzielilo ich zaledwie tuzin kroków. Niepewnie skrócili obaj tę odległość do połowy. Serce Cartera uderzyło gwałtownie. Nie potrzebował już śpieszyć do osady Pięciu Palców, gdyż miał przed sobą człowieka, którego szukał.

— Curry! — rzekł w formie powitania. Aleck gapił się na pół niedowierzająco.

— Czy to ty, Carter?! — bąknął.

Dał jeszcze parę kroków zaglądając z bliska w twarz kolegi.

— Ależ to ty!

Przy świetle księżyca Carter zdawał się strasznie chudy i blady śmiertelnie; przez kontrast zapewne, Aleck wyglądał jeszcze tęższy i bardziej rozrośnięty. Wyciągnął teraz rękę na powitanie, lecz Carter udał, że nie widzi tego gestu.

— Tak, to ja! — rzekł głosem chłodnym niby lód. — Jakie to zabawne, żeśmy się tutaj spotkali, Curry. Szedłem właśnie do osady, by się z tobą zobaczyć.

Aleck usiłował przesyć wzrokiem ciemności poza plecami Cartera.

— No i co, jakże ci się powiodło? — spytał. Głos miał drżący z podniecenia. Zgarbił nieco szerokie bary, by zajrzeć z bliska w surowe rysy Cartera. Rozchyłał grube wargi zwężając i bez tego już wąskie oczy; tak strasznie ciekaw był odpowiedzi, że rad był ją wydrzeć przemocą.

— No i co? — powtórzył.

Carter zwlekał rozmyślnie w sposób obelżywy. Uśmiechnął się nawet.

— Tak, miałem szczęście! — rzekł wreszcie, gdy żyły na czole Alecka aż nabrzmiały z wielkiego napięcia. — Donald Mac Rae umarł, a Pietrka prowadzę ze sobą jako więźnia.

W pół godziny później w osadzie Pięciu Palców dzwon ponad drewnianym kościółkiem rozzwonił się słodko, wieszcząc wszem wobec, że ojciec Albanel powrócił właśnie z miesięcznej włóczęgi po puszczy i że jutro, czyli w najbliższą niedzielę, msza odbędzie się jak zwykle. W ciszy nocnej pieśń dzwonu wybiegła daleko w knieje, docierając do najbardziej ukrytych zakątków, niosąc z sobą błogosławieństwo i spokój.

Pietrek, znajdujący się w kotlinie pośród dwu wyniosłych wzgórz, usłyszał znajomy głos i przystanął na moment, by podziękować Bogu, że właśnie ten słodki dźwięk wita go u progu domowych pieleszy.

Na odległym urwisku, gdzie światło księżyca i gwiazd jaśniało szczególnie jaskrawo, dźwięk dzwonu ozwał się również ze specjalną wyrazistością. Potem dzwon umilkł. Zamarło nawet jego echo. Lecz dwaj mężczyźni trwali nadal w tej samej pozycji.

Carter wyrósł jak gdyby przez tę chwilę, wyprostował się bardziej jeszcze, przy czym rysy jego

przybrały pozór kamiennej maski. Był gotów do czynu. Aleck Curry natomiast sprawiał wrażenie olbrzymiego goryla zebranego do skoku.

— Carter, jeśli mówisz poważnie, zabiję ciebie! — rzekł głosem zdławionym wściekłością.

— Mówię zupełnie poważnie! — odparł Carter. — Zadałem sobie fatygę wyłuszczenia przed tobą całej sprawy. Lecz oczywiście nie rozumiałeś i nigdy nie zrozumiesz. Jesteś gadziną! Zdradzasz uczciwość i własny mundur. Sądzisz, że dzięki władzy, jaką posiadasz nad Pietrkiem, nasycisz się zemstą i krasą Mony w dodatku. Ale nic z tego. Przestrzegam cię raz jeszcze, że jeśli korzystając ze swej przewagi zaproponujesz Monie handel, w którym towarem będzie jej honor i wolność Pietrka, jeśli, skoro da ci w twarz, a uczyni to, jak Bóg na niebie, wydasz w zamian jej narzeczonego władzom, wtenczas ja sam pójdę do najwyższych władz sądowych i wygarnę całą prawdę. Prawdy tej wystarczy w zupełności, by ciebie zniszczyć. Opowiem, jak najpierw proponowałeś mi łapówki, a potem groziłeś mi; wyłuszcę nieczyste sprawy oraz przytoczę przykład z Jackiem Gautier znad Jeziora Bożego. Nie pomnę żadnego z twych licznych łotrstw. Zażądam śledztwa w sprawie śmierci młodej dziewczyny indiańskiej znad Arrowhead. Ja...

Nie zdążył już dokończyć zdania. Aleck Curry, tający w sercu od tak dawna zarzewie nienawiści, rozpalony żądzą silną niby szaleństwo, wyczytał w słowach kolegi nie tylko wyrok na samego siebie. Opinia, niesława rodziny, utrata stanowiska, wszystko to nie miało zbyt wielkiego znaczenia. W śmiertelnie bladej twarzy Cartera oraz w jego błyszczących oczach zobaczył coś więcej: zagładę wszystkich marzeń dotychczasowych. Już się nie pomści na Pietrku, już nie zdobędzie nigdy Mony. Jeśli Carter istotnie spełni groźbę, jeśli doniesie władzom, jak się rzecz miała z żoną Metysa Gautier oraz dlaczego umarła młoda dziewczyna indiańska znad Arrowhead, w takim razie żadnym jego oskarżeniom nikt już nie da wiary. Prawo, któremu tak długo służył, zwróci przeciwko niemu karzącą swoją dłoń.

Lecz Aleck zastanawiał się niedługo nad możliwością kary. Zbrodnicze plany rodziły się dziwnie łatwo w jego na pozór ciężkim umyśle. Słuchając *groźb* Cartera dostrzegł od razu przepaść zionącą za plecami kolegi oraz zdał sobie sprawę z wynikłych stąd możliwości. Gdyby Carter znalazł się tam w dole martwy, a Pietrek trafił w kajdankach z powrotem do osady, Aleck Curry osiągnąłby przez to samo szczyt triumfu. Jakże łatwo bowiem przyjdzie zrzucić na Pietrka całą winę za śmierć Cartera!

Księżyc zdradził zbrodniczy zamysł malujący się w jego rysach, i wtenczas właśnie Carter urwał przemowę w pół zdania, by podjąć rozpaczliwą obronę wobec walącej się nań góry kości i mięśni.

Błyskawicznie zrozumiał, że zamiarem przeciwnika jest strącić go w przepaść, toteż ciasno opasał go ramionami i wspólnie grzmotnęli o ziemię. Potem, na krótką chwilę, zimny strach ścisnął serce Cartera. W ciągu wspólnych wędrówek po puszczy, ze sto razy chyba był świadkiem dowodów Herkulesowej wprost siły Alecka. Obecnie musiał się z tym siłaczem zmierzyć.

Dziś rano widział Carter myszkę leśną w zębach kuny; teraz czuł się właśnie tak jak ta bezbronna myszka. Lecz niespodzianie wspomniał Pietrka oraz Monę, ich odwagę i spryt z jakim zwyciężali zawsze tego właśnie wielkoluda. Strach opuścił go szybciej, niżli się pojawił. Przecież w życiu lubił zawsze igrać ze śmiercią! Obecnie ma po temu okazję pierwszorzędną.

Zbudziła się w nim ponadto dawna pycha. Nie był ani kuną, ani tym bardziej myszką leśną! Jest łasicą, Aleck Curry zaś jest wielkim zwierzęciem nieznanego gatunku, lecz przecież w najgroźniejszym nawet przeciwniku łasica potrafi zawsze znaleźć słabe miejsce. Carter doskonale zdawał sobie sprawę, że walczy nie tylko w obronie własnej. Walczy za zmarłego niedawno starca, za ślepego Donalda Mac Raego, którego duch niewątpliwie znajduje się gdzieś w pobliżu. Walczy także za Pietrka. I wreszcie walczy za kobietę!

Chudymi członkami oplótł nogi i ręce Alecka, jak gdyby zamiast mięśni i kości cały był złożony z

rzemieni i sprężyn. Przewalali się po skałach to tu, to tam, skuleni, to znów wygięci, głowami bijąc o głązy, przy czym jak dotąd szybka orientacja Cartera równoważyła zawsze ciężar i siłę Alecka Curry'ego. Obaj dyszeli ciężko, czasem zaś w zetknięciu okutych trzewików o skałę sypały się z niej iskry.

Raz Aleck jęknął rozpaczliwie, gdy Carter zdołał mu wsadzić palce w oczy; z kolei Carter stęknął, skoro Aleck wyłamał mu głowę wstecz, omal nie naruszając kości pacierzowej. Walczyli z niemiłosiernym okrucieństwem dzikich ludzi.

Księżyc przesłonił drobny obłoczek. Po nim nadpłynęła nowa chmura, wielka i ciężka, jak gdyby wrażliwe duchy zaciągały kurtynę pomiędzy światem zewnętrznym, a tragicznymi zdarzeniami na skale. Przybladło światło gwiazd, jak gdyby i one również wołały nie oglądać morderstwa. Ponad krawędzią urwiska zawył wiatr dając początek żałobnej pieśni przy zwłokach ofiary. Minuty wlokły się jak godziny. Stęknięcia, jęki, charczenie, głuche odgłosy ciosów odmierzały bieg sekund. Mgnienia ciszy zupełnej, gdy obaj zapaśnicy leżeli bez ruchu, jak gdyby społem zabrała ich śmierć, dłużyły się niby wieczność. Powoli przetoczyli się na brzeg urwiska, aż zawisli już nad samą krawędzią.

Wtem noc jak gdyby wzdrygnęła się z odrazy. Czarna chmura całkowicie przesłoniła księżyc, tak iż nie sposób było dojrzeć, co się dzieje na ziemi, a chmura ta sunęła po niebie z powolnością przerażającą. Skoro jednak księżyc ponownie zerknął na urwisko, nad krawędzią, zamiast dwóch postaci ludzkich leżała już tylko jedna. Człowiek spoczywał skulony, z łkaniem chwytając oddech. Potem powoli zwłóknął się z miejsca, z trudem ciągnąc po skałach na pół bezwładne ciało i przepadł w niskich chaszczach rozkrzewionych już bujnie na obszarach dawnej pogorzeli.

Przy blasku tegoż księżyca, w parę godzin później, Pietrek dotarł do skraju osady Pięciu Palców. Z nieba pierzchły wszelkie ślady chmur, a plejady gwiazd płonęły światłem dziwnie jaskrawym. Pietrek wiedział, że dochodzi północ, skoro zaś spojrzął w dół ze szczytu pagórka, po którym przechadzał się niegdyś ręka w rękę z Moną, słodka i głęboka cisza wionęła ku niemu z kotliny.

Osada pogrążona była we śnie. Nie widział żadnych świateł i na razie nie słyszał żadnych dźwięków. Potem doleciało doń znajome zbyrczenie dzwonek na szyjach bydła puszczonego na paszę oraz daleki niski szum jeziora, które w najpogodniejszy dzień bałwanilo trochę pośród pięciu skalnych cyplów.

Czas jakiś trwał bez ruchu spozierając w dół, gdzie ciemne zarysy chat tonęły w księżycowej poświacie, jak gdyby je schwymano w lśniącą sieć pajęczą z nici złotych i srebrnych. Serce biło w nim mocno, tak mocno nawet, że musiał je przycisnąć dłonią, a potem przełknąć ślinę, by jako tako złapać oddech.

Tam w dole, na odległość głosu prawie, znajdowała się Mona. Pietrek przestał być na chwilę człowiekiem dorosłym, doznał bowiem szalonej ochoty, aby przyłożyć ręce do ust i wołać na całe gardło niby chłopak, że już wrócił, że wnet się zobaczą. Był po prostu na pół przytomny, lecz zdołał się pohamować w porę i tylko w gardle wezbrało mu coś niby szloch.

Zstępując w dół zboczył rozróżnił spośród wielu innych chatę Piotra Gourдона. Znajdzie tam Monę, jeśli...

Serce przestało bić. A jeśli z Moną coś się stało, cokolwiek bądź: choroba, wypadek jakiś... Jeśli Mona stąd odeszła? Dwa lata to tak długi okres czasu. W ciągu dwu lat tyle rzeczy mogło ulec zmianie.

Potykał się, nogi mu się plątały. Wtem stanął ze zdławionym okrzykiem. Dotarł do gładkiego skrawka łąki, gdzie Mona grzebała zawsze natrętne jeżozwierze, dziesiątkami zabijane co roku przez zniecierpliwionych osadników. Tu i ówdzie czerniała świeżo poruszona ziemia. Koło małego

kopczyka najświeższej chyba daty leżała porzucona łopata. Był to ich szpadel, stary szpadel z ułamanym brzegiem, z żelazną rękojeścią, którą Szymon musiał zmajstrować niegdyś zamiast drewnianej zjedzonej przez jeżozwierze. A więc Mona nadal zamieszkiwała osadę! Żyła, była zdrowa, spała w małej izdebce, gdzie wyobrażał ją sobie co wieczór pogrążoną w modlitwie.

Zdjął plecak porzucając go obok świeżej mogiłki. Potem podążył dalej, by zatrzymać się wreszcie pod oknem Mony.

Było lekko uchylone. Słyszał szelest firanki targanej wiatrem płynącym od jeziora. Obawiając się naruszyć senną ciszę, Pietrek zawołał półgłosem:

— Mono!

Przeciąg wydał firankę na zewnątrz. Jakby się z nim droczył ten skrawek płótna, jak gdyby dawał mu znak niby trzymana w dłoni chusteczka.

Wtem Pietrek spostrzegł zawieszony na gwoździach pod drewnianą ścianą długie pręty bambusowe, używane przez Piotra Gourдона jako wędziska. Ze sto razy chyba, wracając z boru późno po nocy, kołatał do okna Mony jednym z tych prętów, ona zaś natychmiast wysuwała głowę, by posłać mu w dół pocałunek końcami palców i życzyć dobrego snu. Obecnie, z sercem skaczącym w piersi jak oszalałe, Pietrek ujął bambusowe wędzisko i trącił ramę okienną. Firanka od razu przestała trzepotać na wietrze, w każdym razie on nie słyszał już nic zgoła prócz gwałtownego łomotu własnego serca. Musiał chyba mieć w piersi dwa serca, nie zaś jedno, że potrafiły czynić taki hałas.

Zakołatał znowu w ten sam sposób co za dawnych lat, po czym cofnął się w głęboki cień opasujący chatę Piotra Gourдона niby mroczna frędzla.

Ktoś zbliżył się do okna. Pietrek wiedział o tym. Jednak mając otwór okienny tuż nad głową nic nie mógł dostrzec. Czekał w najwyższym napięciu, czy usłyszy odpowiedź na swój sygnał. Jeśli Mona go przywoła, wysunie się natychmiast z mroku na oświetloną przestrzeń, a wtenczas...

Firanka zatrzepotała znowu. Z głębi pokoju ozwał się jakiś szelest. Trwał krótką chwilę, po czym uchylły się drzwi wiodące na schody. Zatupotały kroki, szybkie, lekkie, nieśmiałe, aż spoza węgła chaty pojawiła się czyjaś postać, i bardzo blada, drżąc silnie stanęła w księżycowym świetle.

To była Mona, Mona taka, jaką ją pamiętał przed godziną, wczoraj, nie, przed dwoma laty, Mona niezmienną zupełnie, trochę tylko wyższa i stanowczo jeszcze piękniejsza. Na koszulę nocną zarzuciła długi płaszcz, i Pietrek widział, jak przytrzymuje go kurczowo u piersi jedną ręką, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemności, by wydrzeć nocy tajemnicę. Przez chwilę nie mógł się wcale poruszyć. Po prostu nie miał sił. Potem, wysuwając się ku światłu usiłował coś powiedzieć, lecz wydarł mu się jedynie nieokreślony jakiś dźwięk. Był opalony jak Indianin od słońca i wichrów; odzież miał całą w strzępach. Mona dostrzegła go i poznała. Zachwiała się, niby kwiat na wietrze mający zbyt wątłą łodygę i pobladła jak lilia. Potem krzyknęła, dziko, przesywając, a Pietrek porwał ją w ramiona.

Nieco później trzymała oburącz jego twarz. Oczy miała promienne jak gwiazdy, usta zaś szkarłatne od pocałunków. Lecz niebawem twarzyczka jej zmierzchła, po czym szepnęła z czułością niewysłowioną:

— Pietrku, wiem już wszystko. Carter dał mi znać o ojcu twym i o tobie...

Przyciągnęła go ku sobie opierając głowę jego o swe piersi. Czuł pod policzkiem bicie jej serca. Wargami muskała jego włosy.

— Bogu jednemu wiadomo, jak strasznie mi twego ojca żal! — rzekła cicho.

A Pietrek poczuł się trochę tak, jak wtenczas gdy był jeszcze małym chłopcem i Mona przyszła doń o zmroku, na skraj boru, pocieszać go i krzepić. Obecnie myślała również najpierw o jego troskach, a potem dopiero o własnym szczęściu. Tuląc go i pieszcząc opowiedziała w urywanych

słowach, jak Carter raz po raz przysyłał jej z drogi wiadomości i jak zgodnie z jego poleceniem nie dzieliła się z nikim tymi nowinami, lecz zachowywała je wyłącznie dla siebie oraz jak dniem i nocą oczekiwała jego powrotu.

— Carter obiecał mi, że ciebie tu doprowadzi bezpiecznie! — szepnęła pod koniec. — Twierdzi bowiem, że pokochał zarówno ciebie jak i twego ojca.

Rozdział XXIV

UPRAGNIONA CISZA

Jakiś człowiek przywłókł się w pobliże chaty Piotra Gourдона i upadłszy na ziemię, gdzie cień leżał najgęściej, pozostał skulony i bez ruchu. Znajdował się tam już w chwili, gdy Pietrek zapukał do okna Mony, lecz zachowywał się tak cicho, że nikt ani podejrzewał jego obecności. Ukradkiem, wstrzymując nawet oddech obserwował kochanków przy świetle księżyca i gwiazd. Stali tak blisko, że mógł do nich sięgnąć wędziskiem znacznie nawet krótszym niżli to, przy pomocy którego Pietrek zapukał do okna narzeczonej. Człowiek słuchał, jak Mona opowiada o Carterze i o tym co Carter dla niej zrobił.

Wysłuchawszy tego do końca nieznajomy wycofał się z wolna, czyniąc to tak ostrożnie i z taką przebiegłością, jakby się bał ogromnie, że może zostać odkryty. Dopiero gdy się znacznie oddalił od chaty, okrążywszy ją przy tym, tak iż się znalazł po przeciwnej stronie budynku niżli dwoje młodych, powążył się wreszcie stanąć na równe nogi. Uczynił to wolno i ze zdławionym jękiem. Nie mógł się jednakże całkowicie wyprostować. Ramiona trzymał zgarbione. Nie miał kapelusza ani czapki; odzież jego przypominała niechlujne strzępy; rękawy wydarte, pierś całkowicie obnażona z koszuli. W garści ścisnął kij i kuśtykał o tym kiju przed siebie niby kaleka.

Spieszno mu było najwidoczniej, lecz mimo wyraźnego wysiłku mógł się tylko wlec bardzo powoli. Starał się także wciąż mieć chatę Piotra Gourдона pomiędzy sobą a dwojgiem młodych. W cieniu jednej z dalszych chat przystanął, oddychając głęboko, jak gdyby to, czego dokonał przed chwilą, wyczerpało go zupełnie.

Jeden po drugim mijał w ten sposób domki osady, by poprzez małą szmaragdową łączkę dotrzeć wreszcie do drewnianego kościółka. Tu zatrzymawszy się nieco dłużej, stwierdził z zadowoleniem, że na przestrzeni pomiędzy kościołem a krawędzią boru drzewa rzucają gęsty cień.

Ojciec Albanel nigdy nie zamykał na klucz drzwi domu bożego; wędrowiec otworzył je więc po chwili bez trudu i wszedł do wnętrza. Jednakże zamknął je zaraz za sobą przezornie. Potem jął się przedzierać pomiędzy ławkami zatopionymi w blasku księżycowym. Wreszcie uchylił jedno z okien i po omacku znalazł wiszący tuż przy ścianie sznur od kościelnego dzwonu.

Nigdy od czasu powstania osady nie słyszano, by dzwon kościelny huczał w ten sposób co dziś. To nie był zwykły głos niedzielny. Pod ręką ojca Albanela dzwon przemawiał zazwyczaj słodko i kojąco, wieszcząc na ziemi pokój ludziom dobrej woli, czasami znów zawodził smętnie, gdy należało opłakiwać tych, co odeszli. Dzisiaj szalał po prostu, jak gdyby w poczuciu odniesionego triumfu, w dzikim rozpasaniu, wołając, że każdy musi się natychmiast zbudzić i porwać na nogi. Cały las dudnił tą pieśnią, powtarzało go echo odbite od jeziora i wzgórz. Ludzie po omacku szukali świec i zapalek. Tu i ówdzie błysnęło już światło, zamigotał drobny ognek, a dzwon huczał nadał, hałasował póty, aż się otrząsnęli ze snu co do jednego wszyscy mieszkańcy osiedla.

Dopiero gdy w każdym oknie płonęło już światelko, człowiek, uwieszony dotychczas u sznura kościelnego dzwonu, wyślizgnął się przez okno, zeskoczył na ziemię i skradając się w mrocznym cieniu drzew pobliskich pomknął w gęstwę boru. Tu nie zatrzymał się na dłużej, jakkolwiek najwidoczniej był całkowicie wyczerpany z sił, czy to na skutek podeszłego wieku, czy też z racji ciężkiej jakiejś choroby. Potykając się i jęcząc, podparty na kiju, przepadł w lesie.

Jako jeden z pierwszych wyszedł z chaty Piotr Gourdon, z gołą głową, w spodniach jedynie i w koszuli. Przed samymi drzwiami znalazł Monę, z rozpuszczonymi długimi włosami. Obejmował ją

jakiś obcy człowiek, a tak się zapamiętali oboje, że nie słyszeli nawet kroków starego. Piotr Gourdon szarpnął z pasją dziewczynę za ramię i dopiero wtenczas spostrzegł, że ten człowiek to Pietrek Mac Rae.

Niebawem nadbiegł pędem James Clamart, i to on właśnie rozgłosił po osadzie radosną wieść. Począł bowiem wrzeszczeć co siły, czyniąc tyle samo prawie hałasu, co rozszalały nad kościołem dzwon.

— Pietrek wrócił! — darł się James Clamart. — Pietrek Mac Rae wrócił!

Wieść rozprzestrzeniła się z niesamowitą wprost szybkością i już po chwili każdy wiedział, dlaczego dzwon zbudził ich po nocy. Pietrek Mac Rae wrócił po dwuletniej włóczędze, więc ojciec Albanel uderzył w dzwon, by oznajmić wszystkim radosną wiadomość.

Nadbiegły najpierw Józia Gourdoa, później Antosia i odciągnęły na bok Monę, gdyż chciały również Pietrka uściskać. Z kolei przybiegła Adetta Clamart. Na widok Pietrka wrzasnęła cieniutkim głosem, zarzuciła mu ramiona na szyję i ucałowała go serdecznie wobec wszystkich, nawet wobec rodzzonego męża. A potem znów poczęła ścisnąć Monę, płacząc z radości.

Tłum rósł. Śmiech, płacz, wesołe okrzyki czyniły niestworzony hałas, lecz niebawem zapadła głęboka cisza, gdy wysoki, chudy starzec wynurzył się z ciemności i jął się przeciskać przez ciżbę. Był to bowiem Szymon Mac Quarrie.

Znalazłszy się twarzą w twarz z Pietrkiem stary nie wymówił z początku ani słowa, chwycił go tylko oburącz i trzymał czas jakiś na długość ramion, przy czym surowe jego rysy drgały dziwnie. Lecz oto Mona przewinęła się obok, a wtenczas Szymon wziął oboje w objęcia i przytulił siwą głowę do tych młodych głów.

Pośród ciżby przeleciał radosny szept, gdyż nadszedł właśnie ojciec Albanel. Po twarzy małego misjonarza płynęły łzy rozrzewnienia, a nie mogąc mówić ścisnął i tulił to Monę, to znów Pietrka.

— Rzecz jasna, że ojciec Albanel uderzył w dzwon! — szeptały kobiety pomiędzy sobą.

Po dziś dzień mieszkańcy osady Pięciu Palców wierzą, że tak było w istocie.

Należy jednakże podkreślić, że nocy tej ojciec Albanel czuł się zupełnie dobrze, nie był wcale zgięty ani też pokrecony chorobą i z pewnością chodząc nie podpierał się kijem.

Pietrek miał po prostu wrażenie, że śni, że przeżywa rozkoszny sen, w którym otacza go przyjaźń i miłość, a rozpacz i złe myśli nie mają tu wcale dostępu. Dopiero znalazłszy się w chacie starego Szymona, pod dachem, który w ciągu tylu lat zastępował mu dom rodzinny, wspomniał istnienie Alecka Curry'ego i dług, jaki ma spłacić ludzkiej sprawiedliwości.

Stary Szkot wysłuchał cierpliwie długiej opowieści wychowanka, dziejów dwuletniej niemal włóczędzy od dnia, gdy w noc po pożarze uciekli łódką na jezioro. Potem znów Pietrek dowiedział się z kolei, że Aleck Curry zbudował sobie szałas na skraju boru i odwiedzał osadę nader często, zatrzymując się zazwyczaj dość długo, nieraz nawet tydzień czy dwa. Teraz również przebywał w okolicy. Medalej jak dzisiejszego wieczoru Szymon spotkał się z nim twarzą w twarz. Dziwił się nawet bardzo, że głos dzwonu oraz zamieszanie spowodowane powrotem Pietrka nie zwabiły policjanta. Zapewne oboje w borze w towarzystwie jednego z inżynierów będących na służbie rządowej, których się tutaj kilku kręci. Jutro pojawi się niewątpliwie.

— Czy nie masz żadnego pojęcia, co się stało z Carterem? — spytał Szymon.

Pietrek potrząsnął głową przecząco.

— Po prostu znikł. Nie rozumiem wcale dlaczego. Możliwe, że on także pojawi się tutaj jutro.

— A jak sądzisz, Pietrku, kto uderzył w dzwon? Mimo silnie ogorzałej skóry Pietrek zalał się rumieńcem.

— Sądzę, że to ojciec Albanel spostrzegł mnie i Monę przy świetle księżyca. Zawsze lubił

spacerować nocą przy ładnej pogodzie.

Szymon uśmiechnął się zagadkowo.

— To z pewnością nie ojciec Albanel dzwonił! — rzekł z głębokim przekonaniem.

— Doprawdy? — Pietrek przyjrzał się staremu uważnie. — W takim razie to byłeś ty, Szymonie?

To ty pierwszy nas spostrzegłeś?

— Nie, jeśli chodzi o mnie, spałem. Spałem mocno. Lecz mimo to wiem, kto pociągnął za sznur.

To był Carter.

Pietrka przebiegł dreszcz.

— Nie, to niemożliwe. Carter nie uciekłby ode mnie po to tylko, by dzwonić na alarm. Poza tym...

Uciał w pół zdania, Szymon bowiem porwał się niespodziewanie na równe nogi i począł wyglądać oknem. Nie odwracając głowy, rzekł:

— Wybieram się natychmiast do kościoła. Ale pójdę okrężną drogą, pod lasem, żeby nikt mnie nie zobaczył. Masz ochotę iść ze mną, to chodź.

Ukradkiem, poprzez polanę zalaną światłem księżycowym pomknęli ku lasowi. Skradali się wśród drzew w głębokim cieniu. Gdy wreszcie dotarli do kościoła Szymon spróbował drzwi.

— Zamknięte! — rzekł. — A to dopiero dziwaczne! Okrążywszy budynek znaleźli się pod oknem. Pomagając sobie nawzajem wleźli kolejno do środka, po czym stary Szkot zużył kilkanaście zapalek, zanim się przekonał, że wewnątrz na pewno nikogo nie ma. Wreszcie otwarłszy zamknięte na zasuwę drzwi wydostali się znów na polanę.

— Głupstwo zrobił chłopak! — mruczał stary Szkot pod nosem. — Powinien był zostawić drzwi otwarte. My nie zamkniemy ich w każdym razie. Po co ludzie mają suszyć sobie głowy, kto tu był i czego szukał?

Zamilkł i nie otworzył ust, aż się znaleźli z powrotem we własnej chacie. Pietrek, któremu wyczerpanie podróży teraz dopiero całkowicie dało się we znaki, zamierzał już się wspiać po drabinie na znajomy stryszek, gdy Szymon oparł mu dłoń na ramieniu.

— Chłopcze — szepnął — cokolwiek się teraz stanie, zapomnij, że Carter przybył z dalekiej północy wraz z tobą i że cię w pobliżu osady opuścił. Pamiętaj, Pietrku! Wyrzuć to całkowicie z pamięci. Jeśli cię kto na ten temat zagadnie, musisz po prostu skłamać. Sądzę bowiem, że to Carter uderzył w dzwon dzisiejszej nocy, a je

li się przy tym okaże, że Alecka Curry'ego spotkała równocześnie jakaś niemiła przygoda, wynikłyby pewne plotki, pewne podejrzenia, a my dwaj przecież doskonale wiemy, jak dalece to wszystko byłoby niemądre i bezpodstawne.

Słowa były mgliste i wykrętne, lecz myśl mimo to zupełnie jasna, ale Pietrek poświęcił jedynie drobną cząstkę uwagi sprawom poruszonym przez starego Szkota, tak dalece pochłaniała go Mona. Zасыpiając marzył jedynie o niej i wyłącznie o nią się troszczył.

Po upływie trzech godzin snu zaledwie zbudziło go gdakanie kur Szymona Mac Quarrie'a. Zaraz też krzyknął staremu w dół, że śniadanie zamierza spożyć z Moną i że ponieważ po drodze wydarł się ze wszystkiego i w ogóle wygląda jak dziki człowiek, więc niełatwo mu przyjdzie odzyskać wygląd przyzwoity. Dobre dwie godziny szorował się i mył zawzięcie, obcinając paznokcie, goląc się i przystrzygając włosy, po czym wciągnął najlepsze ubranie pozostawione w chacie jeszcze przed ucieczką.

Był gotów dopiero za kwadrans szósta, a już o godzinę wcześniej widział światło w okienku Mony, przy czym obecnie z komina nad kuchnią Józi Gourdon bił w niebo słup siwego dymu.

Pietrek skradał się do chaty Piotra Gourдона drogą okólną i byłby przysiągł, że udało mu się dotrzeć do drzwi bez zwrócenia niczyjej uwagi. Jednakże skoro po cichu stanął w progu, Mona miała

oczy świecące niby w gorączce i policzki czerwone jak maki. Udawała zresztą, że go nie widzi, że jest pogrążona całkowicie w porządkowaniu na stole kuchennym rozlicznych drobiazgów. Pietrek tkwił milcząco, zupełnie bez ruchu, lecz serce waliło w nim jak szalone.

Tak, Mona zmieniała się niewątpliwie, jakkolwiek w złudnym świetle księżycowym nie potrafił tego dostrzec. Wyrosła przede wszystkim, no i wypiękniała, aż się Pietrek naiwnie przeraził tej niepospolitej urody. Carter miał zupełną rację. To już nie było dziecko, lecz kobieta. Gapił się na nią, nie mogąc oczu oderwać, pozerając ją wzrokiem od lśniących, gęstych włosów, aż po drobne stopy obute w świąteczne trzewiczki.

Mona miała policzki po prostu szkarłatne i oczy jak gwiazdy.

Wtem obróciła się twarzą ku niemu, promieniejąca, roześmiana, a Pietrek sam doprawdy nie wiedział, jakim cudem chwycił ją naraz w objęcia, przytulił najmocniej i bez żadnej już obawy począł całować tak żarłocznie po włosach, po oczach, że zdyszana, z trudem łapiąc oddech, ukryła wreszcie głowę na jego piersi.

— Boli, aj, boli! — skarżyła się. — Pietrku, taki jesteś teraz okropnie silny! Uczesałam się tak starannie na niedzielę, a ty mi zupełnie rozwichrzyłeś włosy...

Lecz przy ostatnich słowach zalotnie przechyliła się do tyłu silnie potrząsając głową, tak iż włosy rozplotły się jej zupełnie i spłynęły wzdłuż sukni migotliwą, przepyszną falą.

Pietrek rozluźnił nieco uścisk.

— Dwie najpiękniejsze chwile mego życia przypadły na niedzielę! — rzekł.

— Ta druga chwila jest dziś, prawda, Pietrku?

— Prawda.

— No a ta pierwsza?

— To było pierwszej niedzieli, gdy zabrałaś mnie ze sobą do kościoła. Sądziłem wówczas, że jesteś małym aniołkiem, śpiewałem wraz z tobą nabożne pieśni i trzymałem w palcach pasmo twoich włosów przekonany, że nic o tym nie wiesz...

— Przecież od tego dnia właśnie pokochałam ciebie, Pietrku! Wiesz od kiedy, od tej chwili, gdy ugryzłeś w ucho Alecka Curry'ego!

Pietrek wypełnił obie garści jej rozpuszczonymi włosami i znów przyciągnął ją ku sobie bliżej.

— Pocałuj mnie, Mono!

— Tss, cicho! — położyła palec na ustach gestem ostrzegawczym. — To ciocia Józia, słyszę jej kroki. Muszę uciekać i uczesać się przyzwoicie.

— Ciocia Józia jest doprawdy ogromnie niedelikatna!

— Mimo to zaraz tutaj będzie.

— Więc pocałuj prędko!

Przygotowano na podstawie bookini.pl